



BEATA WAWRYNIUK

# MOTYL NA SZPILCE



NOWY ŚWIAT

**BEATA WAWRYNIUK**

**MOTYL NA SZPILCE**

\* \* \*

Zawiadomienie o ślubie otrzymałam na trzy tygodnie przed wyznaczoną datą. To, że nie padłam bez czucia na kamienną posadzkę kawiarni, w której wręczono mi białą kopertę, prawdopodobnie zawdzięczam opiece opatrności. Siedziałam nie wierząc własnym oczom, a w głowie tłukła mi się jedna myśl: „Jak to?!”.

Wychyliłam, jeden po drugim, dwa kieliszki wiśniowego likieru. Próbowalam zebrać myśli i znaleźć odpowiedź na wyczekujące spojrzenie przyjaciółki, która z pewnością spodziewała się wybuchu euforii. Z koślawym uśmiechem wydusiłam: „Jak miło”. Po chwili ulotniłam się, tłumacząc niemożliwą do odwołania wizytą u ortopedy (eee... niespodziewany nawrót płaskostopia!).

Jak to?! Co? Pobierają się? Dlaczego? Nieee!!!

Wracałam do domu zupełnie zdruzgotana. Po drodze wstąpiłam na kufel piwa do otwartego jeszcze pubu. Było już późno i ostatnia para szykowała się do wyjścia. Poprosiłam barmana o zimne pół litra i zasiadłam przy barze. Wysoki młodzik z wąsikami łypnął na mnie sennym okiem i spojrzał pytająco na grubego faceta, który wynurzył się zza kontuaru.

-Nalej pani - przyzwolił facet, najwyraźniej właściciel, i wyciągnął papierosy.

-Co? Kłopoty z mężczyzną? - zapytał uprzejmie, rozsiadając się obok i przysuwając paczkę Marlboro.

Twierdząco kiwnęłam głową i cichutko westchnęłam. Pomyślałam, że najchętniej wtuliłabym czerwony nos w jego tłuste ramię i rozplakała się jak mała skrzywdzona dziewczynka. Bo że zostałam skrzywdzona, nie ulegało wątpliwości. Szef znowu odmówił mi podwyżki, w domu nikt nie czekał z kolacją, a kolejna przyjaciółka właśnie oznajmiła, że wychodzi za mąż. Na szczęście facet nie wnikał w szczegóły. Byłoby wielce kłopotliwe przyznać, że mój problem z mężczyzną, to jego brak.

Moim jedynym oparciem jest kot. Wierzę w jego przywiązanie, mimo że sąsiadka z dołu uznaje zwierzęta za bezmyślne automaty i za każdym razem, kiedy spotykamy się na klatce, gorąco przekonuje mnie do swego zdania. Twierdzi, że traktowanie zwierząt jak istot równych sobie, z uczuciowym zaangażowaniem i poświęceniem, wprowadza zaburzenia w życiu społecznym i jest moralnie niebezpieczne. Kot najwyraźniej odczuwa jej niechęć i nieco się stresuje, bo rzeczywiście w jej obecności zachowuje się jak maszyna. Tępo gapi się w ścianę, a na głupie „psik” podwija ogon i czmycha między nogami jak ostatnia sierota. Tłumaczę babie, że w domu wykazuje znacznie wyższy poziom inteligencji, że reaguje na swoje imię i razem ze mną ogląda telewizję, ale ta śmieje się pod nosem i powtarza swoje. Mimo wszystko jego łaszenie się odczytuję jako wyraz głębokich uczuć. Może zwierzęta nie myślą, ale na pewno czują, kurka wodna!

Jednak tym razem straciłam nadzieję, że Filkowi uda się ukoić moją samotność. Ostatnimi czasy rzadko go widuję, często wychodzi

z domu i wraca późną nocą. Nie rozumiałam, co mają znaczyć te nocne wypadki, dopóki nie przyłapałam go na schadzce z rudowłosą pięknoską. Wprawdzie owej pięknoski brakowało połowy sierści i gapiła się na Filka z pozycji wielbłądziej, wyglądając jak kłębek kolczastego drutu, zdawałam sobie jednak sprawę, że dla niego, kierującego się kocią logiką i specyficznym poczuciem estetyki, może stanowić apetyczny kąsek.

Cieszę się, że dobrze mu się wiedzie, ale...

Dlaczego ja jedna spędzam wieczory przed telewizorem?! Wzdrygałam się na myśl o pustym mieszkaniu pełnym kaset wideo (filmy o miłości).

Dlaczego wszystkim się układa, wszyscy kogoś mają, pobierają się i rodzą dzieci? Dlaczego los mi oszczędza męskich skarpetek i mokrych pieluch?

Postanowiłam wyjść za mąż.

\* \* \*

Od słów do czynów niedaleka droga, jak mawiała moja babcia (à propos, wyszła za mąż w szesnastej wiosnie), tak więc już następnego wieczora udałam się do agencji matrymonialnej znajdującej się tuż za rogiem. Sympatyczna tłusta pani o falującym biuście i blond lokach zaprosiła mnie do małego pokoiku, podała kubek z herbatą i posadziła przed ekranem telewizora. W rękę włożyła pilot od wideo i nacisnęła start.

Zostałam sama. Wcisnęłam się głęboko w fotel i siorbiąc gorącą

herbatę patrzyłam w ekran, w połowie wypełniony olbrzymią sofą obitą imitacją skóry węża. Na sofie pojawiali się kolejni panowie, reprezentanci różnego typu urody i sposobu bycia. Wysocy i niscy, blondyni i bruneci, łysi, z przedziałkiem i bez, grubi i chudzi, sympatyczni lub odpychający, ale wszyscy, bez wyjątku, wpatrujący się w oko kamery z taką intensywnością, że zrobiło mi się nieswojo. Obserwując pojawiających się mężczyzn, z napięciem czekałam na wymarzony obraz...

*...delikatnym drzeniem rozbrzmie flet i skrzypce i zjawi się On, ocean mądrości i wyżyna ducha. Szepnie płomiennie, wyciągając dłoń: „Chodź, moja miła, chodź, na ciebie czekam, ciebie szukam, chodź...”*

*...plum, plum (skrzypce) plam, plam (flet) plum, plum... plam, plam... plum, plum... plam...*

- Lubię dziewczyny bez kompleksów, facet jak ja potrzebuje odpowiedniej partnerki. Żyję szybko i dziewczyna musi być taka sama, ostra i pewna siebie. No i musi lubić się bawić. Mam nadzieję, że u pani Helenki znajdę moją lady - wypomadowany koleś puścił oko. - Do tej pory spotykałem tylko różowe króliczki, wprawdzie słodkie, ale... sorry... nudne i straszne beksy. To nie to. Szukam wysokiej brunetki, najlepiej... yhm... - wykonał ruch na wysokości torsu i zaśmiał się z przekąsem: - Co się będę patyczkował, powiem wprost: mam forszę, nie będzie ci ze mną źle...

Spojrzał poza obiektyw i ściągnął brwi.

- ... aha, mój numer to dwadzieścia trzy dziesięć. No to pa, żabo,

odezwij się.

Przystojniaczek podniósł się z gracją, błysnął białymi zębami i znikł z pola widzenia.

Przez kilka sekund ekran pokazywał pustą sofę, zaraz jednak nastąpiło krótkie cięcie i już po chwili siedział na niej niewysoki, bardzo szczupły okularnik z opadającą na czoło przydługą grzywką.

- Ja... uprawiam tai chi i ten... lubię japońskie komiksy... yyy... co by tu jeszcze... - drżącą ręką poprawił okulary. - ... Chciałbym... eee... jadę nad morze i... i ten... jadę nad morze... - ruchem głowy odrzucił do tyłu opadające na oczy włosy. Spojrzał w głąb pomieszczenia. - Co...?

Usłyszałam czyjś stłumiony szept. Nerwus słuchał, poprawiając krawat i kiwając głową.

- ... ten... chciałbym na molo zostać z tobą solo! - wypalił niepewnie.

Jąkając się dodał jeszcze kilka rymów.

- Numer dwadzieścia trzy jednaście - powiedział bez przekonania, podniósł się zrezygnowany i wyszedł.

Po ekranie przesuwali się kolejni panowie, prezentując cały wachlarz niewerbalnych motywów, zdaje się z jakiegoś tańca godowego. Raczyli mnie nim wszyscy bez wyjątku: mówili półgłosem albo szeptali, głaskali się po brodzie, po brzuchu, po udach, rozluźniali krawaty, zakładali ręce na kark i odchylali się zrelaksowani albo dla odmiany przysuwali się na brzeg siedzenia i znacząco patrzyli mi w oczy. Zerkali spod przymrużonych powiek, jak twardzi faceci z

reklam papierosów, pokazywali muskuły i zapewniali o iskrzącej namiętności. Po godzinnym seansie, zmęczona i zniechęcona, włączyłam pauzę i dopiłam zimną herbatę. Czułam wyraźnie, że w tej jaskini miłości nie trafi mnie grot Amora.

Podróż po męskim świecie zalotnych wąsików, bicepsów i fantazji seksualnych nie przyniosła mi upragnionego celu, za to nieoczekiwanie uspokoiła i wprawiła w całkiem dobry nastrój. Jestem sama, bo posiadanie faceta, który męskość skoncentrował w kwadratowej szczęce, to gra niewarta świeczki. Wyszłam, na nowo przekonana o słuszności przejścia przez życie w pojedynkę.

Na wszelki wypadek, gdyby jednak trafił się cudem zachowany egzemplarz Prawdziwego Mężczyzny, zostawiłam swoje zdjęcie i numer telefonu z hasłem: „Tylko poważne propozycje”. Pisząc krótką i konkretną ofertę, wiedziałam, że muszę sprawę stawiać jasno. Żadne „szaleństwo ciał przy szumie fal”, jak chciał chudy liliput w okularach, nie wchodziło w grę. Ja szukam głębi. I miłości.

Kupiłam w delikatesach pudełko lodów owocowych i mleko dla Filcia i wesoło ruszyłam do domu.

- Aaaaaaa!!!

Taki dźwięk wydałam z siebie, gdy przekroczyłam próg mieszkania. Rzuciłam lody i mleko i runęłam na podłogę. W drzwiach prowadzących do kuchni leżał Filek. Nie byłoby w tym nic dziwnego i uznałabym, że śpi, gdyby nie leżał w niezwyklej dla niego pozycji: na grzbiecie, z przekręconą na bok główką i rozrzuconymi kończynami.



Mam duże doświadczenie w obcowaniu z kotami i nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Filcio dyszał.

„Otruty” - pomyślałam.

Nie zastanawiając się, kto i dlaczego targnął się na życie kota (sąsiadka?), złapałam go na ręce i wybiegłam z domu. Pędząc w dół, myślałam tylko o jednym: ratować Filka przed niechybną śmiercią. Jednak w okolicach parteru uświadomiłam sobie, że biegnę zupełnie bez celu, byle niżej, jak gdyby niżej znaczyło zdrowiej. Zatrzymałam się. Z bijącym sercem próbowałam zebrać myśli. Książka telefoniczna! Weterynarz!

Powoli wracałam do równowagi. Nie chcąc targać kota z powrotem na górę, wybiegłam przed blok i ułożyłam miękkie ciało na trawniku. Pędem ruszyłam do domu. Kiedy dotarłam do mieszkania, okazało się, że musiałam doznać niezłego wstrząsu, bo drzwi wejściowe stały otworem. Chwyciłam książkę. Przerzucając strony i jadąc palcem po kartkach, szukałam hasła „lecznice”. I wtedy mnie zmroziło - mój palec zwolnił i wreszcie zatrzymał się, gdy dotarło do mnie, co zrobiłam. Zupełnie zapomniałam, że przez nasze podwórko kilka razy dziennie przetacza się sfora bezdomnych psów. Gapiąc się tępo na numer Centrum Chirurgii Plastycznej, ujrzałam scenę, której byłam bezsprzeczną autorką. Kłębowisko ciał, jazgot i fruujące pierze. Filuś!!!

Przerażona, nie mogąc uwierzyć we własną bezmyślność, puściłam się w dół. Wypadłam z klatki i stanęłam w drzwiach, opierając się o futrynę, charcząc i dysząc jak topielec cudem

uratowany z odmętów. Filka na trawniku nie było. Spodziewając się, że za chwilę ujrzę krwawy kotlet, jaki pozostał po moim kocie, chwiejnym krokiem ruszyłam przed siebie. Jakież było moje zdziwienie i radość, gdy okazało się, że Filuś, cały i zdrowy, siedzi na ławce i z napięciem w oczach obserwuje skaczące po chodniku wróble. Chciałam go chwycić w ramiona i uścisnąć z radości, ale Filek najwyraźniej nie podzielał mego entuzjazmu. Spojrzał na mnie błędnym okiem, zeskoczył z ławki i z wyprężonym ogonem ruszył przed siebie.

-Filuś, Filutek, choć do mamusi! - zawołałam wzruszona.

Filek znikł za drzewem.

- Filuniu, kotku, co ty? - jęknęłam, dźgnięta prosto w serce.

Żadnej reakcji. Zdębiałam. W jednej chwili bezbrzeżną tkliwość wyparła nagła wściekłość. Takie lekceważenie ludzkich uczuć, nerwów i poświęcenia?! Co to ma być?!

- Filek!!! - ryknęłam - Do domu!

Nic.

Usiadłam na krawężniku i rozplakałam się fontanną łez.

\* \* \*

Powoli weszłam na górę i stanęłam w drzwiach. Zobojętniała na wszystko, patrzyłam na rozrzucone książki, na białą plamę rozlanego mleka. Przechodząc obok łazienki, z przyzwyczajenia zerknęłam w lustro. Matko! Ze środka mojej twarzy straszyla czerwono - fioletowa bulwa, paskudna imitacja nosa, a czarne smugi tuszu na policzkach nadawały mi wampirowaty wygląd. Gdybym miała pecha i wpadła na

siebie w ciemnym zaułku, pewnie bym dostała zawału. Tłumacząc Filka, uczciwie skonstatowałam, że od tak upiornej pani też bym zwiewała gdzie pieprz rośnie. Szybko się jednak zreflektowałam. Filek zachował się podle i mój wygląd nie miał tu nic do rzeczy. Kot, w dodatku przyjaciel, powinien patrzeć głębiej niż na przykład pierwszy lepszy facet, a poza tym zdarza mu się przecież oglądać mnie w lepszym stanie. Małpa! Zachował się nikczemnie. I zapłaci za to! Koniec z wątróbką, koniec z jajecznicą na maśle, koniec!

Weszłam do pokoju i położyłam się. Byłam pełna dostojnego spokoju. Leżąc bez ruchu, czułam narastającą melancholię i smutek, który spowił mnie miękkim woalem mistycznej nostalgii. Wzruszona własną wrażliwością, upajając się poczuciem głębi i oddalenia od spraw tego świata, powoli zapadałam w drzemkę. Los Filka był mi obojętny. Wszystko było obojętne, dalekie i nieważne. Niczego nie oczekiwałam od życia. Chciałam tylko leżeć samotnie, jak średniowieczny asceta, zanurzona we własnym wnętrzu i kontemplować subtelne poruszenia duszy. Pomyślałam o zapaleniu kadzidła, gdy nagle powietrze przeszył dźwięk telefonu. Po pięciu sygnałach, zniecierpliwiona, podniosłam słuchawkę i wyszeptałam przenikniętym głębią głosem:

-Słucham.

-Dzień dobry, lubi pani jogurt owocowy niskotłuszczowy? - usłyszałam rzeński głos starszej pani.

- ...?

-Albo serek homogenizowany z musli i rodzynekami?

-Przepraszam, to chyba pomyłka. To numer...

- Proszę pani - z energią odezwała się staruszka - nasza agencja konsumencka przeprowadza badania rynku dotyczące spożycia przetworów mlecznych...

- ... jaka agencja?

- No, mówię przecież. Konsumencka. Ankietujemy przez telefon. Udzielam pani głosu.

Milczałam zaskoczona, nie wiedząc, co powiedzieć.

-Proszę pani, nie będę wisieć na tym drucie do końca świata. To chyba nie jest problem odpowiedzieć na proste pytanie. Jogurcik, serek. Lubi czy nie? Jestem biedna emerytka - dodała tonem, jakby pikietowała przed budynkiem rządu - dorabiam na telemarkecie. Chyba pani nie odbierze emerytowi chleba...

-No dobrze, chwileczkę, muszę się zastanowić - odparłam niechętnie. Tupet staruszki był niewiarygodny, ale wpajany od dziecka szacunek dla starszych kazał mi zachować spokój. - Lubię jogurt, jagodowy. Serki też jadam, ale rzadziej, waniliowe - odpowiedziałam z ociąganiem. - To wszystko?

-Kiedy ostatnio jadła pani coś na mleku?

Zazgrzytałam zębami.

-Wczoraj piłam kawę ze śmietanką... może być?

-No, nie bardzo. To nie jest typowe danie na mleku. Ale niech będzie. - W słuchawce zaszeleścił papier. - Wczoraj. Następny punkt... albo wie pani co... - babcia zawahała się, ale zaraz pociągnęła - ... dajmy spokój z tą nudną listą. Od razu przejdę do

kwestii, która mnie najbardziej interesuje. Uwaga... - rozmówczyni ściszyła głos - hasło... zacierka!

-Zacierkę bardzo lubię, ale sama nie gotuję. Jadam u cioci na wsi...

-Co? - przerwała mi babcia.

W tym momencie oczami bujnej wyobraźni ujrzałam staruszkę wywalającą gały - tak obrazowe było jej „co”.

- Co się pani tak dziwi, dobre żarcie nie jest złe - zarechotałam, zapominając o mistycznej powadze.

I nagle, zupełnie zdezorientowana, usłyszałam cichutkie chlipanie.

-Ja się nie spodziewałam... ja... nie spodziewałam się, że spotkam... - tu nastąpił krótki szloch i pociągnięcie nosem. - Ile pani ma lat?

-Ja? Proszę pani, ja... - w panice próbowałam zebrać myśli. Co ja takiego powiedziałam?

-Ile? - stanowczo przerwała mi babcia.

-Dwadzieścia sześć.

-Młode pokolenie... - powiedziała wzruszona. Po chwili w słuchawce na nowo zbulgotał przejmujący szloch.

-Ale... proszę pani, przecież ja nie mówię, że nie pomogę, ja chcę pomóc, naprawdę, odpowiem na wszystkie pytania, tylko niech pani nie płacze. - Nie wiedziałam, co mam o całej sprawie myśleć. Poczulałam się nagle jak okrutna i niegodziwa dręczycielka wszystkich staruszek świata. Ale co ja takiego...

- - Dziecino moja, to łyzy szczęścia. Czy ty wiesz, od jak dawna szukałam kogoś z pani pokolenia, kto wie ,co to zacierka? Jak się pani uchowała? Pani pochodzi ze wsi?

-No... nie... ale... przepraszam... czy pani nie przesadza?... - zasugerowałam ostrożnie. Nagle uderzyła mnie myśl, że może biedna staruszka ma nierówno pod sufitem.

-Przesadzam? Kochana, wykonuję kilkadziesiąt telefonów dziennie i starsi owszem, kojarzą, ale młodzi... Ci najmłodszy to czasem nigdy krowy nie widzieli. Częściej oglądają wielbłądy niż jałówki. Oj, dziecko, miasto schodzi na psy. Komputery, komory i fury, jak mówi mój wnuk, i zero natury. A przecież nasze korzenie to wieś spokojna, wieś zielona, bursztynowy świerzop i gryka jak śnieg biała. Bez niej Polska nie jest Polską. Prostota, chleb z masłem, pyzy i kartoflanka, jakie to smaki, jakie zapachy. To dom po prostu... - babcia wzruszyła się na dobre. - Tylko powrót do natury, tylko tam odnajdziemy utracony spokój. Czytała pani Rousseau? A Prousta... Czas wsi przywrócić utraconą rangę, niech pani spojrzy na historię...

Słuchałam z narastającą irytacją. To prawda, chciałam pomóc, ale to nie znaczy, że mam spędzić wieczór, słuchając historii polskiego chłopca, poczynając od Piasta, poprzez Drzymałę, po „weselnego” Czepca. Co mnie obchodzi krowy, świnie i prasy mechaniczne, kiedy właśnie, przed paroma minutami, w natchnionej medytacji, dotknęłam sedna mojej egzystencji. Poczułam, że nie mogę dłużej być sama, że potrzeba mi bliskości i ciepła drugiego człowieka,

że chcę mieć CHŁOPAKA!!!

Spojrzałam na zegarek, dochodziła siódma. Matko! Przecież o siódmej trzydzieści jestem umówiona z Miśką!

Miśka, moja przyjaciółka, ma trzydzieści lat i jest starą panną, to znaczy uchodzi za starą pannę pośród grona sparowanych znajomych. Nie tylko nie ma męża, ale, o zgrozo, nawet chłopaka i, co więcej, nic sobie z tego nie robi. Mieszka w wynajętym mieszkaniu, prowadzi własną, jednoosobową firmę wystroju wnętrz, wieczorami przesiaduje w kinie i twierdzi, że jest szczęśliwa. Wszystkie zakochane patrzą na nią z niedowierzaniem, dopóki nie pokłócą się ze swoimi facetami. Wtedy wpraszają się do Miśki, wypłakują się jej w mankiet i wycierając oczy z namaszczeniem słuchają rad, jak postępować z męską częścią ludzkiego rodu. Miśka, nie wiadomo skąd, posiada szeroką wiedzę na temat mężczyzn. Niektórzy ironizują, że jest męską duszą uwięzioną w kobiecym ciele, ale ona ma po prostu wielką intuicję i, szczerze mówiąc, dziwię się facetom, że nie rzucają się jej do nóg z błaganiem o rękę. Byłoby im z Miśką jak w raju. Nie jest może najurodziwsza, preferuje męski styl ubierania się i w ogóle ma w sobie coś z chłopaka, ale czy to ma jakieś znaczenie? Straszniej lubię, chociaż nie zawsze tak było...

W dzieciństwie szczerze jej nie znosiłam, bo ja, wychuchana przez rodziców, w białych podkolanówkach i warkoczach, nie nadawałam się do jej paczki złożonej z młodszego brata, dwóch kuzynów i czterech psów, więc tępiła mnie bez litości. Nazywała „mleko pod nosem” i kazała się zabierać za każdym razem, gdy

znalazłam się zbyt blisko niej. Pewne zdarzenie na zawsze zmieniło nasze stosunki...

Bardzo chciałam przynależeć do tej bandy obdartusów i często łąziłam za nimi, zachowując bezpieczny dystans. Raz zabłądziliśmy na cmentarz. Zbliżał się wieczór, starałam się więc iść jak najbliżej grupy. Nagle Michol, jak ją wtedy w duchu nazywałam, odwróciła się i wrzasnęła: „Mleko pod nosem, wynocha!”, zamachnęła się i rąbnęła mnie prosto w nos. Upadłam. Z nosa buchnęła krew. Michol, najwidoczniej przerażona, stała nade mną jak wryta. Nie czułam bólu. Podniosłam się i nagle nastąpiło coś, czego nikt się nie spodziewał. Rzuciłam się na nią jak kot i potoczyłyśmy się po alei. Michol odzyskała rezon, zaczęłyśmy się szarpać i okładać pięściami. Drugi raz dostałam w nos. Tego nie zniosłam. Ogarnęła mnie pasja, a wraz z nią otrzymałam taki zastrzyk energii, że jednym ruchem przerzuciłam ją na plecy, usiadłam na niej i wymierzyłam zaciśniętą pięść prosto w jej twarz. Patrzyłyśmy na siebie. Michol miała czerwoną spoconą gębę i włosy pełne zeschniętej trawy. Na jej bluzce pojawiły się czerwone plamki mojej krwi. Siedziałam na niej, ciężko dysząc. Byłam cała napięta i obie wiedziałyśmy, że wystarczy jeden jej ruch, a wycelowana pięść spadnie prosto na jej głowę...

Powoli podniosłam się i nie oglądając się za siebie, ruszyłam w kierunku cmentarnej bramy. Kątem oka widziałam, jak kuzyni podnosili Michola, otrzepywali ją z piachu i szeptali gorączkowo. Słyszałam jej zdławiony głos: „Zamknijcie się”. Szłam do domu, lekko kulejąc i rozcierając po twarzy krew i dopiero teraz napływające



ły. Skręciłam w jakąś bramę i przykucnęłam za śmietnikiem. Drżały mi ręce. Nagle porwał mnie szloch. Płakałam i płakałam i wtedy poczułam na plecach dotknięcie czyjejś dłoni. Obejrzałam się. Za mną, z wyciągniętą ręką, stała Miśka i głupkowato się uśmiechała. W dłoni trzymała chusteczkę.

- No już, głupia, nie rycz. Dawaj gębę.

Naplula na chustkę i zaczęła wycierać mi policzki...

-... w takiej sytuacji nie można tego lekceważyć... - perorowała staruszka. - Mój wnuk mówi, że...

-Proszę pani! - przerwałam bezlitośnie. - Przepraszam, ale nie mam czasu. Może zadzwoni pani kiedy indziej. Do widzenia. - Odłożyłam słuchawkę. Uff...

\* \* \*

-Dobrze wiesz, że przede wszystkim liczy się intelekt. - Miśka siedziała na łóżku obłożona katalogami. - Chcesz faceta, dla którego byłabyś tylko zgrabnym futerałem? Nie! No więc siadaj i nie wzbijaj kurzu - rzuciła, przeglądając foldery, kiedy ja, posuwistym krokiem baletnicy, przemieszczałam się po pokoju, wpatrując się w wiszące nad łóżkiem zwierciadło.

-Nie znasz jakiegoś dobrego fotografa? Zrobiłabym sobie sesję. W rozwianych włosach wyglądam jak marzenie...

Miśka nie zareagowała.

-Intelekt intelektem, ale... - wygięłam się w zgrabny łuk. - ... o ciało trzeba dbać, by rósł nam duch. Przecie, jak mówi poeta, w

zdrowym ciele...

-Zdrowe ciele - przerwała mi Miśka, wcale na mnie nie patrząc.

-Misiu - zakwiliłam - bądź dobrą przyjaciółką i zdradź, cóż myślisz o mej ziemskiej powłoce?

-Może być - skonstatowała obojętnie. Nie oczekiwałam więcej. Miśka przyzwyczaiła się już do mojego, jak to nazywała, neurotycznego zainteresowania lustrem ściennym, ja zaś do jej głębokiej obojętności dla spraw ciała.

-Skoro tak, to dlaczego faceci nie gapią się na mnie na przystankach tramwajowych i nie rzucają na szyny z krzykiem: „Nie odjeżdżaj, o grecka bogini!”? Czym wytłumaczysz tę anomalię? - śmiałam się, podnosząc do góry ręce i udając starożytny posąg.

-Nie wiem, może z powodu tyłka - rzuciła, wertując kartki jakiegoś pisma.

Znieruchomiałam.

-Słucham? - wykrztusiłam.

-Ej, niezłe zasłonki. Dobrze by pasowały do tych blad różowych mebli, - Przekręciła pismo w moją stronę, najwyraźniej nie zorientowana, że mój świat zadrżał w posadach.

-Co masz na myśli? - wycodziłam przez zęby.

-Aaa... - machnęła ręką - robię pokój u Packowej z parteru. W ramach sąsiedzkiej współpracy. Forsy z tego nie będzie, ale ona mi za to...

-Nie chodzi mi o zasłonki!

Miśka, zaskoczona tonem mojego głosu, podniosła głowę. Zrozumiała. Spojrzała, zmrużyła oczy jak malarz przy sztalugach, pogapiła się przez chwilę i znów zabrała się za studiowanie magazynu.

- E, nie. Zdawało mi się. To pewnie przez te spodnie.

Co!!! ZDAWAŁO MI SIĘ?! Ja chyba śnię! I to ma być przyjaciółka?! Tak po prostu i zwyczajnie rzuca inwektywy w kierunku mego zadu, nie zważając, że to może mieć katastrofalny wpływ na moją wieloletnią walkę z kompleksami?

-I dopiero teraz mi to mówisz? - parsknęłam rozgoryczona.

-Co? - zdziwiła się Miśka.

-Proszę, nie musisz być delikatna. Powiedz mi to wprost.

-Ale co?

-Że mam wielkie, tłuste, ogromne dupsko! - o mało nie wyskoczyłam ze skóry. - Przez cały czas wiedziałaś i nie byłaś uprzejma mnie poinformować?! Zapisałabym się na aerobik! - wycharczałam.

-O matko, zwariowałaś? - Miśka wstała i ruszyła do kuchni. Wyjęła z lodówki kawałek sernika i podsunęła mi pod nos. - Chcesz ciacho? Po pierwsze, nie masz wielkiego, tłustego dupska, a po drugie i tak jesteś za leniwa, żeby ćwiczyć.

-Nie bądź taka mądra - odparłam przetykając ciastko, wcale nie uspokojona. - Musisz powiedzieć mi otwarcie, zdawało ci się czy nie?!

Miśka przewróciła oczami. Podniosła palec i oświadczyła

uroczyście:

- Zdawało mi się. Nigdy nie widziałam śliczniejszego tyłeczka.  
A głupia jesteś jak nie powiem co.

\* \* \*

-To niemożliwe! Miśka! Ty przecież mówiłaś, że nigdy... Miśka!

- stałam gapiąc się na nią z przerażeniem. Po tym, co oświadczyła, nie miałam wątpliwości, że świat stanął na głowie.

- Kto to jest?

-Edek.

-Kto?! Ten włochaty bizon, o którym jeszcze niedawno mówiłaś, że nawet na bezludnej wyspie...

-Tak mówiłam, ale... wpadł któregoś dnia i wszystko się zmieniło. Przez kolanko.

-Dotykał cię?!

-Mnie nie, kolanko.

-Zaraz - wciągnęłam powietrze, próbując się uspokoić. - Jeśli jestem przy zdrowych zmysłach, a wierzę, że tak, to twoje kolanko... tfu... przestań zdrabniać jak zakochany dzieciak! Twoje kolano to też TY!!!

-Zgłupiałaś? Chodzi o kolanko w łazience. Zlew mi się zatkał i Edek naprawił. Nie musiałam wzywać hydraulika.

Przez chwilę gapiłam się na Miškę tępym wzrokiem, ale szybko oprzytomniałam. Jeszcze raz wciągnęłam powietrze i powoli, jakbym rozmawiała z roztrzęsionym wariatem trzymającym palec na przycisku bomby atomowej, powiedziałam;

- Z tego, co wiem, to właśnie Edek jest hydraulikiem, nie ma studiów, co zawsze miało dla ciebie znacznie, nie jest, przepraszam za szczerość, Adonisem, ma złotą koronkę i...

Musiałam przerwać monolog w obronie ideałów, bo kiedy spojrzałam na Miśkę, słowa utknęły mi w gardle. Miśka, ten bojownik przeciw związkom z góry skazanym na klęskę, siedziała zapatrzona w okno, z błogą miną i tajemniczym uśmiechem na twarzy. Patrzyłam na nią zbita z tropu. Była jakaś taka...

-Miśka - szepnęłam - ty chyba naprawdę...?

-No...

\* \* \*

Wracałam do domu, gapiąc się we wszystkie witryny sklepowe i wypatrując odbicia falujących pośladków. Miśka twierdziła, że jej się zdawało, jednak wychodząc, uchwyciłam jej zaciekawione spojrzenie skierowane na mój zadek. Boję się, że z grzeczności nie mówi mi prawdy, ale nie jest w stanie kontrolować odruchów podświadomości.

*Niech jeszcze i to...*

*25 października, wieczór*

*Znowu to samo, znowu wpadłam w depresję czarna jak noc i kot czarownicy. Dzień miałam koszmarne. Najpierw kot wykręcił mi numer, potem wykręcił kota ogonem, potem dowiedziałam się, że żyłam iluzją, wierząc w przyzwoitość mojej figury (po powrocie do domu obejrzałam się dokładnie w lustrze i natychmiast z nerwów zjadłam pół czekolady - jeden pośladek niebezpiecznie się rozrósł, a drugi zwiotczał: DLACZEGO?!!!). Na koniec, ostoja moja, Miśka,*

*kobieta sukcesu bez faceta, ostoją być przestała. Ma chłopaka, i to wielkiego Edka.*

*Co ze mną? Może zadzwonię do tej agencji matrymonialnej zapytać, czy nikt się nie zgłosił. Nie, tak nisko nie upadłam.*

\* \* \*

-Halo! Tu Helena z agencji Ambrozja. Podobno pani dzwoniła. Bardzo dobrze się składa, bo mam dla pani kandydata. Pamięta pani tego przystojnego bruneta w krawacie w prążki.

-Tego kucharza z Jawy?

-O, tamten już dawno poszedł pod młotek. Nie. Chodzi o tego miłego chłopca z Powiśla. Bardzo mu pani odpowiada. On też myśli poważnie o życiu. Prosił, żebym państwa umówiła. Kiedy pani może?

O, matko! Nie pamiętałam żadnego chłopca z Powiśla. Chyba go przeoczyłam.

-Może być jutro! - powiedziałam drżącym głosem i chyba się zarumieniłam. - A gdzie?

-Kolega proponuje Kolumnę Zygmunta, godzina dwudziesta. Odpowiada to pani?

-Dobrze, dwudziesta, dziękuję - odpowiedziałam niepewnie. Kolumna Zygmunta. Niebezpiecznie. W pobliżu mieszka połowa moich znajomych.

-To dobranoc, udanego spotkania.

-Halo, chwileczkę, ale jak ja go poznam?

-Niech pani to jemu zostawi. Już on panią wypatrzy.

\* \* \*

Zobaczyłam go z daleka i od razu zrozumiałam, że popełniłam życiową pomyłkę. Teraz sobie przypominałam. „Czarujący Cezary”. Tylko nie on, tylko nie ten bubek, który twierdzi, że kobieta to ukoronowanie życia mężczyzny, dbająca o domowe ognisko westalka, cicha przystań i nimfa, jednym słowem, łabędź jako zakamuflowana kura domowa.

I na nieszczęście miał różę. Ogromną. Nie cierpię, kiedy facet przynosi ze sobą takie kolczaste badyle, bo po pierwsze: dziewczyna musi to taszczyć i jeśli, nie daj Boże, zapomniała rękawiczek, przez cały wieczór marzną jej palce. Po drugie: niewinny kwiatek zmienia się nagle w wymowny symbol, wyróżniający nas z tłumu i ogłaszający krzykliwie, że oto jesteśmy na RANDCE.

Rozejrzałam się za jakąś uliczką, w którą niepostrzeżenie mogłabym skręcić, kiedy bubek mnie dostrzegł. Zamachał wesoło, jak policjant na skrzyżowaniu, i wystrzelił w moją stronę. Kiedy mnie dopadł, przyklęknął na kolano, wycelował kwiatem w środek mojej twarzy i sapiąc zawołał: „Witaj, o piękna istoto. Nie cieszy mnie srebro, nie cieszy mnie złoto. Twój uśmiech śle szczęście w me serce sterane, od dzisiaj kochane”.

„O matko, to jakiś obłąd” - pomyślałam i wyrwałam mu różę, żeby jak najprędzej skończyć tę szopkę.

Bubek wstał, otrzepał kolana, przejechał pod nosem wierzchem dłoni i wyszczerzył zęby.

-No to się spotkaliśmy, księżniczko. Od razu dasz buziaka czy

każesz czekać? - rozłożył ramiona.

-Każę czekać! - zawołałam pospiesznie, gdy zrobił krok w moją stronę. Pomyślałam, że jeszcze gotów się na mnie rzucić.

-Takie lubię, stanowcze i z dystansem. Bo mężczyzna potrzebuje zdobywać - koleś puścił oko.

„To się zdobądź na wysiłek i wymyśl, co zrobić z tym i tak już dla mnie skończonym wieczorem” - pomyślałam, a głośno odparłam: - Niestety, nie mam za wiele czasu. Co proponujesz?

- A co byś chciała robić?

„Nie, nie, nieee!!!”

Nie. Znowu to samo. Znow facie każe mi decydować i wymyślać atrakcje na randkowy wieczór. Już chciałam mu odparować, że najchętniej pograłabym w ciuciubabkę dookoła kolumny, gdy bubek wystawił ramię i tajemniczo wyszeptał: „Idziemy”.

Zaraz zbeształam się w duchu. Zawsze obiecuję sobie nie oceniać ludzi po pozorach, a tu znowu wykazałam się ubóstwem duchowym. Szliśmy w kierunku rynku. Spojrzałam na niego kątem oka. „W jednym pani Helena miała rację” - pomyślałam - „przystojny. I jakie ma piękne imię: Cezary. No, zobaczymy”.

\* \* \*

Siedzieliśmy w małej zadymionej kafejce przy stoliku nakrytym czerwonym obrusem. Popijałam cappuccino i obserwowałam stojący przede mną torcik czekoladowy. Mój towarzysz delectował się małą czarną i szarlotką. Gdy tylko kelner przyniósł ciastka, od razu



pożałowałam wyboru. Szarlotka Cezarego była dwa razy większa od mizernego torciku i w dodatku obłożona została górą bitej śmietany. Poza tym mój czekoladowy smakołyk zdradzał objawy przeterminowania.

-Co, nie masz ochoty na odrobinę słodczy? - Cezary jadł, wymownie patrząc mi w oczy i oblizując wargi po każdym kawałku. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, kiedy nagle zadzwonił telefon.

-Sorry, zapomniałem wyłączyć komórkę - uśmiechnął się przeproszająco i odłożył widelec. - Pozwolisz, że odbiorę? Potem ją blokuję. Okej?

-Proszę - odparłam uprzejmie.

-Halooo... - przeciągnął wesoło, ale nagle spowaźniał. Spojrzał na mnie i odchrząknął. - Nie mogę teraz rozmawiać... tak, jestem w kawiarni... Kaśka ci powie...? Zaraz, przecież to ty mówiłaś, że nie chcesz!

Potem nastąpiła długa pauza. Cezary słuchał, patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem, dźgał widelcem resztki szarlotki, a na jego ustach powoli rozkwitał anielski uśmiech. Obserwowałam tę scenę z rosnącym niepokojem.

- Dzióbeczku! - wypalił nagle, a ja o mało nie spadłam z krzesła.  
- Dlaczego mi tego wcześniej... Dzióbku, ja też...

Spotkały się nasze oczy. Skrępowany szepnął w słuchawkę: „Zaraz do ciebie oddzwonię” i wyłączył telefon. Przez chwilę gapił się na mnie z wyrazem cielejącej szczęśliwości, zaraz jednak oprzytomniał,

a jego twarz całkiem zmieniła ton, wyrażając tylko jedno: DETERMINACJĘ.

- To straszne, co teraz usłyszysz, i masz prawo dać mi w mordę, ale... muszę iść.

Spojrzał na mnie badawczo, prawdopodobnie wypatrując symptomów hysterii.

- Bo widzisz - ciągnął dalej - uważam, że jesteś przemiłą dziewczyną, ale...

Nagle zadrżała mu broda, jęknął i przeszukał kieszenie. Wyjął chustkę w czerwoną kratę i przetarł nią oczy.

- Dziób... ta dziewczyna... ten telefon... ona chce wrócić! Milczałam zupełnie ogłuszona. Jaka dziewczyna? Jakie wrócić? To jakiś żart? Jestem na randce czy nie?!

- Jestem z Dzióbkiem od dziesięciu miesięcy, ale dwa tygodnie temu Elwirka oświadczyła, że chce ode mnie odpocząć, a potem, że nie będziemy się spotykać, bo ma za dużo nauki... ona studiuje psychologię... i jak to usłyszałem, to pomyślałem: okej, nie pierwsza i nie ostatnia. A potem zobaczyłem twoje zdjęcie. Wiesz, jaka jesteś do niej podobna? I pomyślałem... A teraz ona dzwoni i mówi, że się pomyliła, że zupełnie nie może się skupić... Rozumiesz?

Patrzyłam na niego i miałam ochotę wbić mu widelec w oko i rozsmarować bitą śmietanę na jego słodkiej gębie. Zamiast tego wzruszyłam ramionami i powiedziałam: - Idź.

Zerwał się, uśmiechnął przepaszająco i wybiegł.

Jeszcze przez chwilę siedziałam przy stoliku, popijając kawę i

skubiąc ciastko, pogodną i jasną twarzą tuszując kolejną w moim życiu miażdżącą katastrofę. Dostać kosza i to tak spektakularnie, przy pierwszej kawie, po byle telefonie, to mogło się zdarzyć tylko ostatniej niedojdzie. Rozejrzałam się po wnętrzu kawiarni. Przy stoliku obok jakaś para tuliła się do siebie, nikogo nie dostrzegając. Dziewczyna śmiała się głośno, chłopak czule zaglądał jej w oczy... Z satysfakcją skonstatowałam, że oboje mają wielkie przerwy między jedynkami i wyglądają jak zakochane nutrie. Zaczęłam zbierać się do wyjścia, kiedy nagle wyrosła przede mną milcząca postać kelnera. Mężczyzna trzymał w wyciągniętej ręce jakiś zadrukowany świstek. Podziękowałam grzecznie, nie mając ochoty na żadne ulotki, jednak kelner uparcie sterczał. Wtedy coś mnie tknęło.

- Tamten pan nie zapłacił?

Kelner pokręcił głową.

\* \* \*

Jechałam pustymi ulicami. Latarnie rzucały ostre światło, błyszczały mokre chodniki. Autobus przeciął Jerozolimskie i bez pośpiechu ruszył na Mokotów. Panował przenikliwy ziąb, otuliłam się szczelnie płaszczem i z zacięciem patrzyłam w okno.

... O co chodzi? O co chodzi??? Dlaczego żaden facet nie wytrzyma ze mną dłużej niż pół godziny, dlaczego inne dziewczyny ledwie ziewną, a już mają adoratorów, a ja nic, ciągle nic...

... czy mam jakieś rażące braki w wyglądzie lub intelekcie? Coś jest ze mną nie tak? Przecież nie jestem brzydka, skończyłam studia, znam się na malarstwie, wiem, co to moment Plancka, felgi i kto to

jest Jerzy Dudek, robię cudowną potrawkę z kurczaka i umiem upiec tort... dlaczego ci gapowaci faceci tego nie widzą?...

... no dobrze, taka jest prawda i oni to czują, jestem rozbitkiem emocjonalnym, idealnym potwierdzeniem teorii Freuda... najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa, proszę bardzo: wakacje w zapadłej wsi, z ciotką schizofreniczką i z tym jej synkiem spod ciemnej gwiazdy...

... matko, co ja wygaduję, przepraszam Tadek...

... debil, nigdy mu nie zapomnę, jak mnie zamykał w kurniku z tym cholernym gąsiorem...

... nie, nie, spokojnie... jestem atrakcyjna, atrakcyjna i myśląca, lubię siebie, lubię siebie, naprawdę lubię siebie...

... jestem emocjonalnym i finansowym bankrutem! Ten zimny kelner wydebił ode mnie ostatnie pieniądze... nie do wiary, pięćdziesiąt złotych za głupie ciastka... spokojnie...

... znowu nie mogłam znaleźć portfela... trzeba zrobić porządek w torebce, powyrzucać te głupie papierki po batonach i stare bilety... lubię siebie...

...do końca miesiąca sześć dni, umrę z głodu i nikt nawet nie zauważy. Czy to w ogóle kogoś obchodzi, że moje życie to katastrofa?!

Ej, zaraz! Gdzie ja jestem?! Dlaczego ten autobus skręcił? Zjazd do zajezdni? W mordę!

\* \* \*

- Dziękuję, nie palę...

„Odczep się pan” - pomyślałam w duchu i przeszłam na drugi koniec przystanku. Że też mam takie zezowate szczęście. Od kilku minut smali do mnie cholewki facet, który swobodnie mógłby być moim dziadkiem.

Pięć minut gapił się na mnie wzrokiem wygłodniałego łosia, wreszcie podszedł i zaproponował papierosa. Wzruszyłam ramionami. Też coś: pół godziny temu zostałam poniżona przez grubianina i niedołęznego Don Juana, a teraz natura próbuje mi wynagrodzić bolesne przejścia, podsuwając emerytowanego romantyka? Czy naprawdę nie zasługuję na nic lepszego? Podziękowałam grzecznie, zachowując chłodny dystans.

Po chwili zagadnął o godzinę. Powiedziałam, że zbliża się dwudziesta trzecia i w tej chwili uświadomiłam sobie, że jest zupełnie ciemno i oprócz mnie i amatora nocnych zalotów na przystanku nie ma nikogo. Czekałam na ostatni autobus, który powinien przyjechać całe półtorej minuty temu. Co z tą komunikacją, w mordę!

- A pani tak sama, nie boi się...?

Spojrzałam na niego i pomyślałam, że nie wygląda na zawodowego mordercę. Tacy kojarzą mi się raczej z klasą i tajemniczą elegancją, jak w filmach Hitchcocka. Facet wyglądał jednak na takiego, którego należy się strzec. Niby niepozorny, miły pan, a za pazuchą...

„Nie zbliżaj się pan” - pomyślałam, gdy jedyny przechodzień, gość z pekińczykiem, znikł za rogiem.

Byłam dziś wyjątkowo bojowo nastawiona do świata. Dość

uprzejmości i naiwnej wiary w ludzką życzliwość. Doświadczałam wewnętrznego buntu i było to bardzo miłe uczucie. Stawię czoło całemu światu i zwyciężę... albo zginę. Ujrzałam siebie, niesioną na tarczy, jak średniowieczny rycerz, wśród dźwięków kołatek i zawodzeń płaczek w czarnych powiewnych szatach, kiedy dziadek ponownie zagadnął:

- Miła pani, przepraszam, że znów niepokoję, ale szukam młodej osoby i pani akurat się nadaje.

Skoczyło mi ciśnienie.

- Przykro mi, ale pan się pomylił! JA nie szukam towarzystwa! Proszę mnie zostawić w spokoju!

Mogłam sobie pozwolić na gniewny ton, bo właśnie zobaczyłam wyjeżdżający z za zakrętu autobus. Dla bezpieczeństwa podeszłam blisko krawężnika, cały czas mając na oku starego dziadygę.

- Och - zaśmiał się - przepraszam... rzeczywiście, mogło to zabrzmieć niestosownie... ale ja... jestem artystą... - tłumaczył pakując się do autobusu - ... malarzem. Szukam twarzy do obrazu historycznego. Maluję dwór carycy Katarzyny. - Rozsiadł się na sąsiednim siedzeniu. - Pani wydaje mi się idealna.

Spojrzałam na niego spode łba. Nie powiem, jego słowa mile polechtały moje wygłodniałe ego, ale miałam się na baczności. Tacy wymyślają różne sposoby, żeby zwieść młode, naiwne dziewczę.

- Ja tutaj wysiadam, proszę do mnie zadzwonić. - Wcisnął mi w rękę wizytówkę. - Do zobaczenia, mam nadzieję.

\* \* \*

Weszłam do mieszkania i rozejrzałam się po skromnym wnętrzu. Pokój robił wrażenie więziennej celi: puste ściany, na półkach były jak ułożone książki, porozrzucane ciuchy, kilka kwiatków na parapecie, krzywo przypięta firanka. Co się ze mną dzieje? Zachowuję się jak abnegat i wypalony dekadent. Żeby to chociaż był artystyczny nieład, twórczy chaos, demiurgiczny trans, ale nie, to zwykła nora, nihilistyczny chlew. Jak mogę prowadzić uporządkowane życie wewnętrzne, przeżywać satysfakcjonujący romans zakończony ślubnym kobiercem, kiedy żyję w chlewie! Błę! Złapałam za telefon.

-Czy ty wiesz, która jest godzina? Nie możesz na te swoje depresje wybierać bardziej przyzwoitej pory? - Miśka wyraziła oburzenie, ale wiedziałam, że nie mówi serio. - No, gadaj, co ci znowu leży na wątrobie.

-Oglądałaś ostatni odcinek Masakra w Chinatown?. Idealnie obrazuje moje życie. Moje życie to masakra w Chinatown.

-Piłaś coś? Nie wygłupiaj się! Co się stało? Zachlipałam w słuchawkę.

-Wystawił mnie!

-Kto? Znowu?

Znowu?! Co ona sobie myśli? Ktoś mnie wystawił, to fakt, ale na pewno nie znowu!

- Nie, nikt.

Nie byłam gotowa do upokarzających zwierzeń. A jednak potrzebowałam wsparcia.

- Los mnie ciągle wystawia, no wiesz, nie mam męża, dzieci,

mam głupią pracę...

-I pewnie nie masz forsy?

-... yhm.

-Dociągniesz do pierwszego?

- Tak. Ostatecznie zjem Filka, albo Filek mnie, właśnie negocjujemy. Pocieszysz? - zażartowałam przez łyzy.

Miśka z powagą przyjęła rolę mentora.

-Szczerze mówiąc, miałam ci to powiedzieć już dawno. Dla mnie sprawa jest prosta, nie posiadasz skryzalizowanego planu na życie, dlatego lawirujesz, łapiesz wrony za ogon...

-Chyba sroki...

-Łapiesz i wypuszczasz. Potem przeżywasz kryzys i znowu zaczynasz od początku. Niczego się nie uczysz.

-W takim razie, co mi radzisz?

-Co z azalią?

Nie do wiary! Miśka poluje na ten kwiatek, odkąd go dostałam od niejakiego Olesia (sprawa przedawniona, ale roślinka kwitnie), i wykorzystuje każdą moją mieliznę życiową, żeby mnie skłonić do, jak to nazywa, bezinteresownego daru. Przemilczałam pytanie.

- Dobra, następnym razem. Na dziś moja rada jest taka: zrób listę zasad, których chcesz się w życiu trzymać. A potem się ich trzymaj...

To było to. Świątełko w tunelu. Idealne rozwiązanie: jasno wyznaczone cele, ustalony plan działania, własny kodeks postępowania. To jak posiadać wewnętrzne państwko, którego jest się prawodawcą, siłą rządzącą i sprawcą. Zapaliłam się do tej myśli.



Zapraǳnęłam stworzyć Księgę Praw i Zasad Czcigodnej Ewy Bielskiej. Może kiedyś moje prawnuki będą ją przechowywały jako bezcenny starodruk i szczyliły się przodkiem o nieugiętej woli i głębokim morale. Postanowiłam rzecz przeprowadzić fachowo. Przygotowałam czystą kartkę papieru, pióro, zapaliłam świecę i przy dźwiękach Enyi wykaligrafowałam pierwsze zdanie: Kodeks Moralny Ewy B. Zastanowiłam się. Może przewodnik? To lepiej brzmi. Wyjęłam kolejną kartkę. Napisałam jak następuje:

*Przewodnik Życiowy Ewy B.*

*Art. 1. Zasady.*

*§ 1. Akceptować siebie całkowicie!*

*§ 2. Nigdy, przenigdy nie porównywać się z nikim, nawet z samą sobą sprzed pięciu lat (wtedy nie miałam zmarszczek, nawet mimicznych, a teraz mam i śmieję się z tego: ha, ha, ha).*

*§ 3. Myśleć pozytywnie, w każdej rzeczy zobaczyć przynajmniej trzy dobre strony. Na siłę, choćby przez łzy, widzieć świat pozytywnie!*

*§ 4. Nie myśleć obsesyjnie o małżeństwie, nie patrzeć na każdego mężczyznę w autobusie jak na potencjalnego ojca dzieciom.*

*§ 5. Budować głębokie relacje z przyjaciółkami i doskonalić w sobie cechy, które chcę widzieć w przyszłym mężu, jednocześnie cały czas pamiętając o §4.*

To na początek wystarczy, a teraz kolej na cel.

*Art. 2. Cel.*

*§ 1. Znaleźć męża.*

*§ 2. Znaleźć nową pracę. Praca musi mnie interesować, wyzwalać mój potencjał i siły twórcze.*

*A. KOŃCZĘ Z KARIERĄ FAKTURZYSTKW!*

*B. Możliwe zawody:*

*dziennikarka, pisarka książek dla dzieci, pisarka książek dla dorosłych, scenarzystka, malarka, aromatoterapeutka, psychoterapeutka, wydawca. Obraz do wizualizacji: biały dworek, kwitnący ogród, ja przy sztalugach i gromadka dzieci.*

*§ 3. Zarabiać ciężkie pieniądze.*

*§ 4. Urodzić dzieci - pieniądze potrzebne na szkołę rodzenia, poród rodzinny i znieczulenie.*

A teraz realizacja:

JAK TO ZROBIĆ???

Spojrzałam na zegarek, dochodziła północ. Na dziś wystarczy. I tak odwaliłam kawał dobrej roboty. Jutro machnę tylko ścisły plan działania i rozpocznę realizację. Że też wcześniej na to nie wpadłam, to takie proste. No nic, lepiej późno niż wcale.

\* \* \*

Obudziłam się z tępyim bólem głowy. Śnił mi się prezes walący pięścią w biurko, siny ze złości i z pianą na ustach. Stałam przed nim,

kuląc się ze wstydu i strachu. Chciałam się schować za stertą wydrukowanych faktur, bo miałam na sobie tylko czerwone majtki i szelki, ale przykuł mnie do miejsca kamiennym wzrokiem. Wrzeszczał na całe gardło: „Co to za czerwone gacie, mówiłem, że masz być na biało - granatowo, jak na akademii!”. Baśka siedziała na biurku w białej bluzce i ciemnej spódnicy, wesoło machając nogami...

Usiadłam na łóżku z rajstopą wciągniętą do połowy i zapatrzyłam się w podłogę. Przez głowę przeleciało mi kilka czarnych myśli dotyczących beznadziejności mojej egzystencji, kiedy wzrokiem natrafiłam na zapisaną kartkę. Przede mną leżało moje nowe życie. Czułam, że wczorajsza energia zupełnie mnie opuściła i chwilowo nie posiadam niezbędnego entuzjazmu, by ujarzmić ten zimny październikowy poranek, postanowiłam jednak nie poddawać się bez walki.

Wstałam, podniosłam ręce i wciągnęłam powietrze. - Jestem panią swojego życia. Jestem spokojna i opanowana - wyszeptałam wypuszczając powietrze. Odetchnęłam głęboko kilka razy. - Wybieram spokój, wybieram łagodność, wybieram miłość. - Zrobiłam kilka skłonów, cały czas wykonując ćwiczenia oddechowe. - Mądrość, która mieszka we mnie, otwiera mnie na twórcze zmiany. Zmiany dokonują się bezboleśnie i naturalnie. - Ponownie zrobiłam głęboki wdech. Pociemniało mi w oczach.

Powlokłam się do łazienki. Spojrzałam w lustro. Uśmiechnęłam się do wórów pod oczami i wyartykułowałam niskim przyjaznym głosem: „Akceptuję i kocham siebie”. Zerknęłam na zegarek i

podskoczyłam jak oparzona: jasny gwint, wpół do ósmej, znowu spóźnię się do pracy!

\* \* \*

Usłyszałam głośnie pukanie. Spojrzałam na zegarek, dochodziła dwudziesta. Wsunęłam nogi w kaptcie i szczelnie otuliłam się kocem. Kot płatał mi się pod nogami, ocierając się i mrucząc.

-Psik, Filek, spadaj.

Uchyliłam drzwi.

-Stój, wracaj, głupku jeden!

Filek, korzystając ze sposobności, przecisnął się przez szparę w drzwiach i czmychnął na klatkę.

- Łap go pan! - wrzasnęłam.

Za drzwiami stał młody mężczyzna i zdezorientowany patrzył za Filkiem. Nagle zrobił potężny sus w bok i za chwilę trzymał za kark zaskoczonego kota.

- Proszę.

Filek wyrywał się i żałośnie miauczał.

- Dziękuję, niech pan wejdzie. I proszę zamknąć drzwi. Inaczej ten wariat znowu ucieknie.

Kot pomaszzerował do pokoju, wyraźnie obrażony.

- Dobry wieczór. Jestem z administracji. Przepraszam za tak późną porę, ale mieliśmy długie posiedzenie. Słyszała pani o sporze dotyczącym remontu? Nie? To będzie duże przedsięwzięcie, zarząd przeznaczył na to spore pieniądze. Ale od razu pojawił się problem. Chodzi o kolor emalii na klatkę schodową. Mamy w dyrekcji jedną

plastyczkę, która upiera się przy zgniłej zieleni, kilka osób proponuje beż, parę lekki róż. Sprawa niby banalna, a jednak cały wieczór trwała debata i nic nie ustaliliśmy. Kiedy w grę wchodzi duże sumy, chce się, żeby wszystko było na medal. Tak więc postanowiliśmy zrobić referendum, każdy się wypowie i decyzja zapadnie większością głosów. W tej sprawie właśnie przychodzę. Ma pani jakieś preferencje?

Słuchałam go z dręczącą świadomością, że stoję przed nim nieuczesa, bez makijażu, w przydeptanych kapciach, w dodatku owinięta w bury koc, w którym absolutnie nie jest mi do twarzy. Świadomość była tym okropniejsza, że nigdy wcześniej nie widziałam tak przystojnego mężczyzny. Ależ ma ładnie wykrojone usta, wyglądają jak kawałeczki pomarańczy. I jakie śliczne niebieskie oczy.

-Ma pani ulubiony kolor?

-Słucham...? Błękitny - palnęłam bez zastanowienia.

-Tego nie rozważaliśmy, ale już notuję. Pani Ewa Bielska, numer dwadzieścia sześć. Przedstawię pani propozycję innym mieszkańcom. Dziękuję bardzo i jeszcze raz przepraszam za najście.

-Ale ja tu tylko wynajmuję, może lepiej spytać właścicielkę - powiedziałam, nie wiem po co.

-Nic nie szkodzi, skoro pani z nami mieszka, jest pani na takich samych prawach.

Nagle wpadł mi do głowy genialny pomysł.

-Czy na wasze zebrania może przyjść każdy, kto ma ochotę?

-Te na najwyższym szczeblu są niestety zamknięte, w przeciwnym razie byłby zbyt duży chaos i żadna uchwała by nie zapadła. Zresztą, nawet w zamkniętym gronie mamy ciągle problem z porozumieniem. Ale są też zebrania niższego stopnia i te są dostępne dla każdego. A co, ma pani chęć wesprzeć nas w pracach spółdzielni?

-Nie wiem, tak pytam.

-Zebrania są w czwartki o osiemnastej. Zapraszam. Niech pani trzyma zwierzaka. Dobranoc.

Zamknęłam drzwi z przecuciem, że od tej chwili moje życie nie będzie już takie samo. Zerknęłam w lustro. Jak tylko dostanę pieniądze, wybieram się do fryzjera. Najwyższy czas coś w sobie zmienić. Dzwonię do Miśki. Jej też się przyda mała metamorfoza.

\* \* \*

-Cześć, Miśka. Co myślisz o wyprawie do salonu urody na seans anamnezy? Przypomnisz sobie, jak piękną byłaś w bożym zamierzeniu, ale przez własną nieudolność jesteś, kim jesteś. Myślę, że czas odrestaurować nasze facjaty.

-Nie mam takiej potrzeby - Miśka odparła sucho na moje pełne polotu zaproszenie. - Ale możesz przyjechać, będziemy pić wódkę i kłąć.

-Matko, co się stało? Edek?

-Nie wspominaj o tej nędznej kreaturze. Przyjeżdżasz?

-No jasne, ale poczekaj. Nic mi nie powiesz?

Miśka odłożyła słuchawkę, co było nieomylnym znakiem, że

nad Edkiem zawisły ciężkie chmury.

Spojrzałam w lustro i zgromiłam się wzrokiem. Jak mogę? Na wieść o niepowodzeniu miłosnym Miśki poczułam wyraźną ulgę... Chyba niedobrze z moim kręgosłupem moralnym. Trzeba to będzie gruntownie przemyśleć, ale tymczasem jadę... Ależ jestem ciekawa...

\* \* \*

Miśka wpuściła mnie do środka i dała znak głową. Spojrzałam za jej wzrokiem. Przy drzwiach stały wielkie kamasze, niewątpliwie Edka. Weszłam do pokoju. Właściciel obuwia siedział na fotelu i skubał listki na wpół zwiędłej róży. Na mój widok podniósł się ciężko i wyciągnął grabę.

- Cześć, Ewa. - Uśmiechnął się smutno. Uścisnął mi rękę i zajrzał w oczy, błagalnie, jakby szukał ratunku. Nigdy jeszcze nie widziałam go w takim stanie. Zrobiło mi się szczerze żal tego potężnego mężczyzny, który teraz wyglądał jak mały zagubiony chłopiec. Spojrzałam na Miśkę. Stała, gapiąc się w okno. Poczułam się jak prawnik, który przybył na negocjacje rozwodowe.

- Ewa, zrób sobie herbatę, Edek już wychodzi, odprowadzę go do drzwi.

Biedne chłopisko. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale zrezygnował. Podał mi różę.

- Wstaw do wody, szkoda kwiatka.

Ścisnęło mi się serce.

Z kuchni, wsypując herbatę do kubka, usłyszałam proszący szept Edka i zimną odpowiedź Miśki: „Przykro mi Edek, nie”.

\* \* \*

-Opowiadaj! - usiadłam po turecku w moim ulubionym fotelu, ściskając w dłoniach gorący kubek, przygotowana na wysłuchanie rozdzierającej historii miłosnej. Dobrze pamiętałam rady poradników psychologicznych, że zraniona kobieta musi się przede wszystkim wygadać.

-Nie ma o czym! Edek należy do przeszłości!

-O, matko!

-Wyszło szydło z worka. Jest takim samym płytkim facetem jak cała reszta... no... może oprócz mojego brata.

-Jak to? Przecież właśnie dlatego ci się podobał, że, jak się wyraziłaś, emanuje głębią osobowości...

-No i dlatego jestem wściekła. Z tyłu pieców chleb jadłam, a niczego się nie nauczyłam! - Miśka rzuciła się na tapczan. Zaskrzypiały sprężyny.

„Kawał dziewczyny z tej Miśki” - pomyślałam i wybuchnęłam śmiechem.

- Misiu, trochę więcej gracji, w końcu jesteś panną na wydaniu. Miśka spiorunowała mnie wzrokiem i uśmiech błyskawicznie znikł z mojej twarzy. Przypomniałam sobie, że w mrocznych momentach swojego życia Miśka potrafi być przerażająco zimna i zdehumanizowana: przywołuje gościa do porządku, zwracając się do niego w niecenzuralnych słowach i wystawiając delikwenta za drzwi. Raz doświadczyłam jej bezwzględności, kiedy pokazała mi nowo zakupioną sukienkę. Stała przede mną w eleganckiej, krótkiej do



kolan kiece, w pozycji, jakiej nie powstydzilby się zawodowy bramkarz, w seledynowych adidasach i skarpetach frotte. Kontrast był tak porażający, że, jak każda normalna kobieta, zareagowałam histerycznym chichotem. Już po chwili nie było mi do śmiechu, gdy świetna akustyka klatki schodowej odbiła wielokrotnym echem wściekłe trzaśnięcie Miśkowych drzwi.

-Misiu, nie wściekaj się, tylko mi spokojnie opowiedz, co się właściwie stało. Edek ci zrobił jakąś przykrość?

-Przykrość to mało powiedziane, zniszczył wszystko, co było dla nas ważne. Wiesz przecież, co szanuję w facecie.

-Ducha!

-A co idealny facet ma dostrzegać w kobiecie?

-No, rozumiem. A co, Edek zmienił front?

-Na całej linii. Od paru dni robił małe zaczepki. To szemrał, że nie chodzę w spódnicach, mówił, że mam ładne usta, ale ich nie podkreślam, pokazywał jakieś szmaty na wystawach. Powoli zaczęło we mnie wrzeć, ale znasz mnie, jestem cierpliwa. Jednak wczoraj przeszedł samego siebie. Pokazałam mu nowy projekt, prawie skończony, piękne poddasze w stylu art deco, brakowało tylko sypialni. W jednym magazynie znalazłam kolor wykładziny zgodny z życzeniem klienta, to pokazuję mu i tłumaczę, a na tym zdjęciu, na wielkim wyrze, leży modelka z Picassem na twarzy. I pytam go: „Edziu, co o tym myślisz?” A wiesz co on na to? Wiesz co powiedział?! „Misiu, czemu ty się tak nie malujesz?”! I szlag mnie trafił! - Miśka machnęła ręką, o

mało nie wylewając mi herbaty.

Czułam, jak rośnie we mnie napięcie. Wiedziałam, czego Miśka oczekuje. Powinnam z naganą wypowiedzieć się o nędzy powyższej uwagi, podkreślić jej prymitywizm i pocieszyć Miškę słowami: „Nie przejmuj się, jeszcze trafisz na swego, każda zhora...” i tak dalej, nie było to jednak możliwe. Miśka okazała swoje oburzenie niewłaściwej osobie: miłośniczce kosmetyków, nagminnej bywalczynie drogerii, niespełnionej adoratorce piękna. Miśka przeszła się nerwowo po pokoju. Już otwierałam usta, gotowa ściągnąć burzę na swą biedną głowę, gdy nagle zaczęła zrezygnowanym tonem:

- To nie znaczy, że jestem przeciwna upiększaniu, to w końcu mój zawód, ale wiesz, jakoś łatwiej jest zrobić salon z kominkiem niż twarz, zwłaszcza własną - westchnęła. - Czasem myślałam, żeby czegoś spróbować... - usiadła naprzeciw mnie. - Przyjrzyj mi się... coś byś tu poprawiła...?

Zadrżał we mnie instykt kosmetyczno - fryzjerski. Odsunęłam chwilowo myśli typu: „Nie wierzę własnym uszom”, by całkowicie skupić się na Miškowej głowie.

-Warto by podciąć włosy i trochę pocieniować. Masz lekko okrągłą twarz, więc delikatne pazurki wprowadzą łagodny owal, róż na kościach policzkowych też zadziała pozytywnie. Te opadające powieki można by skorygować ciemniejszym cieniem, a przy nasadzie brwi jaśniejszym - to powiększy oko. Rzeczywiście masz ładne usta, mam taką fajną kredkę, pokażę ci...

-Chwileczkę - wtrąciła się Miśka, kiedy właśnie miałam poddać szczegółowej analizie jej wyraźnie naczynekową cerę. Moja rozbudzona fantazja nie zauważyła, że pod Miśkową skórą tętni narastające zniecierpliwienie. - Więc uważasz, że trzeba mnie całkowicie przemodelować. Czy jest we mnie chociaż jedna rzecz, która może zostać nietknięta sztuczną ręką chemii i komercji? - zagadnęła spokojnie, ale wiedziałam, że to cisza przed burzą.

-Miśka - rzekłam spłoszona - nie tylko ciebie trzeba przemodelować, ale i mnie. - Ponieważ spokojnie słuchała, odważnie pociągnęłam. - Pomyśl sama, dlaczego mężczyźni przechodzą obok nas obojętnie? Gapią się na plakat z papierową lalą, chociaż obok stoisz ty... albo ja... - dodałam solidarnie - kobiety z krwi i kości. To jest zwycięstwo komercji. Nie chcemy naginać się do męskich gustów, zastąpić osobowości tapetą, ale... potraktować siebie estetycznie. Miśka, jesteśmy kobietami, musimy to podkreślić, pokazać, być z tego dumne. Chowamy się z tą naszą płcią, myśląc, że jesteśmy wolne od małpiej mody, a tak naprawdę to się boimy wypiąć pierś i stanąć z podniesioną głową jak ta... jak jej... Nike!

- Dobra... - Miśka zniecierpliwiona machnęła ręką. - Skończ już ten swój memoriał. Mówiłaś coś o wizycie u kosmetyczki. Znasz jakąś dobrą?

Och, ta Miśka, uścisnęłabym dziewczynę, że hej. Poczułam powiew nowej ery.

\* \* \*

-„Filmowa uroda urzędnika administracji pchnęła młodą kobietę do wyłożenia pieniędzy w salonie kosmetycznym”. Jak ci się widzi taki nagłówek w gazecie? Albo: „Kobiety wszystkich nacji łączcie się pod lampą kwarcową w masce ziołowej z nagietka i lnu”. - Miśka, pijąca średnio raz na kwartał, po drugim drinku wykazywała symptomy alkoholowego tąpnięcia. - Jak ma na imię ten twój urzędnik?

-A czy to ważne, piękny jest, to na razie wystarczy - odparłam rozmarzona, powstrzymując czkawkę. - Wybieram się na posiedzenie rady. Kiedyś sąsiadka mówiła, że za dwugodzinną posiadówkę, jeśli zgłosisz jakiś projekt albo dasz dobrą radę, no wiesz, wypowiesz się, dostajesz trzydzieści złotych. Mówiłam ci, że jestem bez forsy.

-No właśnie, strasznie rozrzutna jesteś. Pozbyłabyś się tego kota. To on ci tak opróżnia kieszenie. A na kosmetyczkę masz?

Pokręciłam głową. Mimo sympatii i całkowitego zaufania, jakie żywię dla Miśki, nie zwierzyłam się jej z kompromitującej przyczyny mojego ostatniego deficytu. W obliczu takiej porażki kobiecie pozostaje tylko milczenie.

-Pieniądze się znajdują. Zarobię jako modelka. Pamiętasz tego malarza?

-Tego od carycy? Wierzysz mu?

- Nie! - parsknęłam śmiechem. - Dlatego pójdziesz ze mną. Może przydasz się do Stańczyka.

Miśka zarechotała.

-To nie u Kaśki. Stańczyk był u tego... no stary, jak cię zwali? - chichotała. - U Kaśki to nie był Stańczyk!

-Jakiś błazen musiał być - rżałam dolewając do szklanek. - Coś się dla ciebie znajdzie!

Miśka, klepiąc się po udzie, śmiała się histerycznie, próbując coś powiedzieć.

- Ale ja... ja nie znam rosyjskiego!

Rechotałyśmy jak dwie wariatki.

\* \* \*

- No i co? Ma pani coś na swoje usprawiedliwienie? - zapytał szef następnego ranka, rzucając mi zza biurka piorunujące spojrzenie.

To prawda, trzeci raz w tygodniu spóźniłam się do pracy, ale ani razu bez usprawiedliwienia. Dwa poprzednie poślizgi były wypadkami losowymi i tylko po części nastąpiły z mojej winy: w poniedziałek umyłam głowę i stwierdziłam z przerażeniem, że wyłączyli prąd, a nie byłam na tyle przewidująca (ha, ha, ha), żeby zakupić suszarkę na baterie. Na dworze minus piętnaście. Kłops. Drugi raz wpędził mnie w kłopoty rodzony protoplasta - dwa lata temu (biję się w pierś) nieopatrznie zachęciłam tatkę do przejrzenia durnowatego komiksu o życiu kosmitów i od tamtej pory wsiąkł w temat na amen. Świeżo upieczony klubowicz „Miłośników UFO” wybrał się do stolicy na inauguracyjne spotkanie, na którym miał wygłosić krótki odczyt: Latające talerze - fakty czy mity?, pomylił autobusy i utknął gdzieś na dalekim Ursusie. Na moje nieszczęście

miał przy sobie komórkę. Zadzwoił w momencie, gdy właśnie grzecznie wychodziłam do pracy. Stłumiłam złe myśli, które prostą drogą wysyłały tatusia na Czerwoną Planetę, i z mapą przy nosie transportowałam go przez pół Warszawy do punktu docelowego.

Szef łyknął obie historie, choć miałam wrażenie, że przy sprawie tatusia zaczął tracić cierpliwość. Dzisiejsze spóźnienie też miało swoją przyczynę. Nie wiem, co się dzieje z Filkiem. Znów znalazłam go półprzytomnego. Leżał na parapecie w sypialni i ledwo dyszał. Zadzwoiłam do weterynarza i umówiłam się na wizytę dziś wieczorem. Kiedy skończyłam rozmowę, Filcio oprzytomniał i pożarł pół talerza płuczek, które miały wystarczyć na dwa dni. Naprawdę się niepokoję.

- Pani Ewo, co tym razem nie pozwoliło pani dopełnić obowiązku przychodzenia na czas? Nie chcę być natarczywy, ale miło by było, gdyby pojawiała się pani o ósmej. Czy to zbyt wygórowane żądanie?

Wyraźnie czułam kpinę, ale cóż mogłam odpowiedzieć.

- Szefie, przepraszam - zaczęłam przyjacielsko - mam ostatnio kłopoty z moim kotem, trochę choruje. Dziś rano znów miał atak, musiałam chwilę zostać. Ma pan psa, to sam pan wie, jak to jest. A, właśnie - uśmiechnęłam się ciepło, próbując załagodzić sytuację - jak Burek?

- Brutus! Ma się dobrze - uciał szef i poczułam, że jest naprawdę zły. - Pani Ewo, tak nie możemy pracować. Rozumiem, że można

mieć czasem kłopoty, ale, będę szczery, pani ma je ciągle. To kot, to rury, to Chińczyk na lotnisku... - O nie, wyciąga sprawę sprzed miesiąca, a przecież mu tłumaczyłam, że chodziło o wujka, który wracał po rocznej nieobecności w kraju, a którego nie miał kto przywitać. Wujek w końcu nie przyleciał, za to poznałam sympatycznego pana z Hongkongu, który obiecał nauczyć mnie chińskiego. Miałam nawet dwie lekcje, ale kiedy okazało się, że oprócz „cześć” i „kocham cię” nie jestem w stanie niczego zapamiętać, dałam sobie spokój. - Mnie nie interesują pani „arcypilne sprawy”, ja chcę mieć raport na biurku!

-Na kiedy pan go potrzebuje? - spytałam z kwaśną miną.

-Na wczoraj!

Nagle złapał się za serce.

- Pani Ewo, koleżanka wprowadzi panią w nową politykę firmy, ja nie mam zdrowia. Jest pani wolna.

Bąknęłam pod nosem przeprosiny, ale szef już nie słuchał, wygrzebując z szuflady jakieś tabletki. Jeszcze tego brakowało, żebym własnego szefa wysłała na tamten świat.

\* \* \*

-Ty, Ewka, powiedział ci?

-Tak, że mnie wylewa! - rzuciłam ze złością. Że też ta Baśka musi we wszystko wściubiać nos. Dostałam reprimendę, to fakt, ale to nie jej rzecz.

-Więc jednak. Myślałam, że tylko straszy.

-Co? Wściekł się trochę i tyle. Nic wielkiego.

-Nic wielkiego, a jednak wylewa. Do kiedy pracujesz?

„Co ona gada, odbiło jej?” - Spojrzałam na nią jak na wariata.

-Ewka, ocknij się, bo nie rozumiem. Powiedział czy nie?

-Co miał powiedzieć? - wydusiłam przez zęby. Wściec się można z tą Baśką.

-No... że cię zwalnia.

-Jak... zwalnia! - zbaraniałam. - Kazał tylko, żebyś mi przedstawiła nową strategię firmy. .

- To właśnie to. Polityka oszczędnościowa. Likwiduje stanowisko i obcina koszty. Ewka, strasznie mi przykro. Zresztą spodziewałam się, że coś takiego wymyśli, nie wiedziałam tylko, na kogo wypadnie. Masz coś innego na oku?

Patrzyłam na nią tępo, a w mojej głowie pobudzone adrenaliną neurony rozpaczliwie układały awaryjny plan działania: „Zebrania w administracji to raz, pozowanie szemranemu artyście to dwa, mogę też wystawić Filka do konkursu piękności. Ma warunki i chyba nieźle płacą, a jak nie, to sprzedam kocią skórkę i cześć” - pomyślałam, a głośno odparłam: - Jeszcze nie, ale coś wymyślę.

Wyszłam z pokoju.

„Spokojnie, trzeba zebrać myśli. Tylko spokojnie. Nie jest źle, naprawdę nie jest źle, co dobrego dostrzegam w tej sytuacji? La, la, la, jak wesoło mi, la, la, la, jestem spokojna, zupełnie spokojna, posłucham wróbelków... spokojnie, spokojnie... Wylewaaa mnieeee?!!!”

\* \* \*



*Droga Babciu!*

*Kiedyś mi powiedziałaś, żebym się nie przejmowała przeciwnościami losu, bo co mnie nie zabije, to mnie wzmocni. Piękna sentencja, ale w moim przypadku chyba nie działa. Życie mi dokopało, wgniotło w podłoże i nie wiem, czy się podniosę. Przepraszam, babuniu, za ten pesymizm, ale moje życie w obecnej formie jest do bani. Do wielkiej mydlanej bombiastej bani. Wiem, że Tobie mogę się zwierzyć, bo jesteś najtwardsza w naszej rodzinie i moja żółć egzystencjalna nie wpłynie negatywnie na twój nastrój. Nie mogę tego powiedzieć rodzicom, znasz ich. Mama by zaraz dostała wysypki, tato gorączki i zamiast jednego problemu miałabym dwa. Piszę zatem do ciebie, babciu, prosząc o zachowanie równowagi. Mój problem to: nie mam pracy, pieniędzy, męża, dziecka i perspektyw. Przyznasz, babciu, że bania na całej linii.*

Zamyśliłam się nad kartką. Dlaczego los jest dla mnie taki niełaskawy? Za co się wezmę, wszystko szlag trafia. Działa przez jakiś czas, jakby na zachętę, a potem dostaję w łeb aż miło. O co tu chodzi? Czyżby tkwiła w tym jakaś mądrość, której nie potrafię odczytać? No dobrze, jaka na przykład? Marność nad marnościami i memento mori? Pięknie. Tyle że ja akurat memento! Poza tym nie chcę wiele... mężczyznę, miłość, niebo bez chmur, życie w tonacji dur... i mały biały domek... (w ogródku będę hodować maciejkę i bez, a domek konieczne musi mieć ciemne okiennice)... i jeszcze chcę troje dzieci tuptających bosymi stopkami po dębowej podłodze salonu,

siedzieć wieczorami przy kominku, popijać czerwone wino (widziałam takie fajne kieliszki w IKEA), głaskać śpiącego Filka i słuchać, jak mąż wygrywa na fortepianie mazurki Chopina. Czy to tak dużo? A na początek to chciałabym mieć pieniądze na kosmetyczkę. Dzwonię do malarza.

Nagle zerwałam się na równe nogi. Która godzina?! Przecież mamy dziś wizytę u weterynarza! Filek, ty mnie naprawdę drogo kosztujesz. Podrywaj tyłek i w drogę.

\* \* \*

Filek i weterynarz patrzyli na siebie przez krótką chwilę, po czym lekarz zabrał się do szczegółowych oględzin.

-Nie ma wątpliwości. Rozwiązanie powinno nastąpić za jakiś tydzień - rzekł z uśmiechem i delikatnie poklepał Filka po głowie. Filek zamruczał.

-Ale co, zatrzał się czymś? Czemu jest taki ospały?

-W tym stanie to nic dziwnego, gromadzi siły. Jak już będzie po wszystkim, werwa powróci.

-Ale to samo przejdzie? Nie potrzeba jakiegoś lekarstwa?

-Ależ pani jest zabawna. A kobieta w ciąży potrzebuje leków? Rodzi i stan wyjątkowy mija.

Patrzyłam na faceta rozbawionym wzrokiem.

-Szczerze mówiąc, nie rozumiem, co ma kobieta w ciąży do mojego kota? Niech mi pan powie otwarcie, na co mój kot jest chory?

-Na nic nie jest chory. Te zmiany są tylko skutkiem ciąży, poza

tym jest zdrowy jak rydz. Trzeba było od razu powiedzieć, przez telefon, to bym pani nie fatygował. Mogą się dziać jeszcze różne dziwne rzeczy i proszę to kojarzyć tylko z ciążą. Wszystko jasne? Z czego się pani śmieje?

Przyjrzałam mu się uważnie: nienormalny czy co?

-Panie doktorze, musi pan jeszcze raz przebadać kota, bo ta diagnoza całkowicie odpada.

-Dlaczego odpada?

-Matko, przepraszam, ale czego was tam uczą na tej weterynarii? To jest Filek, rozumie pan, a jak sama nazwa wskazuje, jest to osobnik płci męskiej i... ojejku... - jęknęłam - ...niech pan się nie wygłupia, ciąża jest wykluczona.

Roześmiałam się, choć szczerze mówiąc trochę mnie zirytowało nie - 3 douczenie tego młodego lekarza i to tak rażące.

Doktorek nie odpowiedział na mój uśmiech. Spojrzał na mnie lodowatym wzrokiem, podniósł Filka i bez ceregieli skierował w moją stronę koci zadek.

- Widzi tu pani jakieś ja... - przerwał i odchrząknął - męskie narządy rozrodcze? - dokończył zimno. - To jest kotka i za tydzień będzie miała małe. To jest ostateczna i niepodważalna diagnoza. Czterdzieści złotych.

\* \* \*

Stałam pod masywną kamienicą i zadarłam głowę. Atelier, według opisu malarza, miało znajdować się na poddaszu tej dziewiętnastowiecznej praskiej oficyny. Ciemna brama nie zachęcała

do wejścia, mimo to popchnęłam ciężkie, na wpół spróchniałe drzwi. W głębi podwórza, w oderwanym od ściany, wiszącym na jednym kablu domofonie, pod numerem siedemnastym tkwiła napisana odręcznie karteczka: Teodor Symbol, artysta malarz. Nacisnęłam guzik, drzwi na klatkę puściły. Wchodząc na górę, z półpiętra ujrzałam wąski prostokąt światła i czyjaś nogę w kapciu. „Zapraszam serdecznie, bardzo się cieszę”. Za chwilę zobaczyłam malarza w białym fartuchu, z pędzlem w jednej i z paletą w drugiej dłoni.

W pokoju wielkości małej hali sportowej stały rozstawione sztalugi, pod ścianami walały się farby, brudne słoiki z pędzlami i na wpół dokończone prace. Na środku, pod żarzącą się żarówką, znajdował się wysoki podest, zapewne dla modela, ustrojony kolorowymi tkaninami i kwiatami.

- Niech się pani rozgości, o, tutaj można usiąść. - Gospodarz zrzucił z krzesła jakieś szmaty i przejechał ręką po pluszowym obiciu. - Dawno nie było sprzątane, pani Wacia, przyjaciółka, nie przychodzi od kilku tygodni, dlatego tu taki nieład. Napije się pani herbaty?

Skinęłam głową. Malarz zniknął za burym przepierzeniem. Nagle w jednej ze ścian pracowni otworzyły się drzwi i wynurzyła się z nich ufryzowana głowa.

- Mistrzu! - wrzasnęła na całe gardło. - Już czy nie? Przeziębienie się przez pana w tej cholernej garderobie! O, dobry wieczór! - dostrzegła mnie. - Mistrz robi pani herbatę? Mistrzu! - zawyła. - Mi też!

Właściciel atelier pojawił się z parującym dzbankiem.

- No niech się pani pokaże, pani Mariolu.

Burza ciemnokasztanowych loków pokazała się w całej krasie. Pociemniało mi w oczach. Pani Mariola była - ni mniej, ni więcej - nagusieńka od stóp do głów, a jedyną osłonę jej bujnych kształtów stanowiły przyklejone gdzieś bladoróżowe kwiatki. Największy kwiat, krwistoczerwona róża, umieszczona została pośrodku piersi. Gapiałam się na nią oczarowana, zazdrośnie podziwiając ogromny biust wielkości dwóch pięknie dojrzałych melonów. Malarz zakreślił wskazującym palcem, na co pani Mariola okręciła się wdzięcznie wokół własnej osi i stanęła w pozie a la Wenus z Milo.

-Bello, moja bogini, jest pani ucieleśnieniem słodczy. Tak właśnie to sobie wyobrażałem. A pani się podoba? - zwrócił się w moją stronę.

-Bardzo - przytaknęłam. - Ale... to na dwór Katarzyny? - spytałam niepewnie.

-A nie, porzuciłem ten projekt - malarz machnął ręką. - Mam coś o wiele lepszego. Zna pani Primaverę Botticellego? To dzieło ludzkiego geniuszu, niedocenione zresztą. Zapragnąłem sięgnąć po ten sam motyw, oczywiście z całą pokorą. Nazwę go Wiosna Botticellego. Rozumie pani, wiosna jako powrót, ponowne nawiązanie łączności ze starym mistrzem, po długiej nocy świt jego sztuki. Chcę sięgnąć do tamtej wrażliwości, lematu, techniki. Pani Mariolu, niech pani wejdzie na podest. I rączki przed siebie, tak, rzuca pani kwiatki i jednocześnie, pamięta

pani, urok, wdzięk, czar... Główka wyżej... Doskonale!

Teodor Symbol jeszcze przez chwilę rozsmakowywał się w widoku rubensowskich kształtów swojej modelki, po czym przeniósł spojrzenie na moją skromną osobę i bezpardonowo zmierzył mnie wzrokiem. Wbił we mnie wskazujący palec:

-Widzę panią w roli rusały! - szepnął ekstatycznie. Zaklaskał w dłonie i powtórzył jakby w malignie: - Widzę panią w roli rusały! - Rozgorączkowany ruszył w kierunku garderoby. - Pani Mariolu, czy mamy jeszcze trochę tego białego płótna? Tego od Pompejusza! Albo nie - zatrzymał się w pół drogi. - Może różowy muślin, co nam został z moskitiery. Zaraz, jakby to najlepiej zrobić...

-Mistrzuniu, a co pan powie na siatkę! - pani Mariola wydała się równie przejęta jak artysta. Mistrzowi zapłonęły oczy.

-To by dało piorunujący efekt. Niewymuszony erotyzm, a jednocześnie niewinność dziecka. Merlin, masz u mnie obiad. Gdzie ta siatka?

-Chyba w garderobie. - Naga Wenus zatupotała bosymi stopami. Usłyszałam hałas, przekładanie jakichś pudeł, przesuwanie czegoś ciężkiego. - Jest! - usłyszałam triumfalny głos. - Wiedziałam, że ta cholera musi gdzieś tu być.

Za chwilę ujrzałam czerwoną od wysiłku, rozradowaną twarz pani Marioli. W ręku trzymała zielone zawiniątko, które starannie rozłożyła na podłodze. Spojrzałam przerażona - oka w siatce mierzyły nie mniej niż pięć centymetrów średnicy. Owinięta w toto będę goła,

jak mnie Pan Bóg stworzył.

-To chyba sieć na grube ryby - zażartowałam, chociaż nie było mi do śmiechu. Pomyślałam, że jeśli sądzą, że dam się omotać tą zieloną pajęczyną i wstawić na podest jako kolejne wcielenie wodnika Szuwarka, to się głęboko mylą.

-Moja Merlin, pomóż pani Ewie i zaraz przyjdźcie tu obie, to zrobię mały szkic.

Dotąd milcząca, otumaniona całą sytuacją, nagle przemówiłam:

- Przepraszam, ale ja się w to nie ubiorę.

Malarz i jego muza wlepili we mnie gały.

- Aaa... pieniądze - mój dobrodziej żartobliwie poklepał się po kieszeni. - Płacę pięć złotych za godzinę. Czasami dodaję obiad ekstra.

Mimo że moja żywa wyobraźnia natrętnie podsuwała mi obraz wychudzonego Filka oraz hordy jego pomiotu, patrzących na mnie wygłodniałym wzrokiem, postanowiłam być twarda.

- Nie chodzi o pieniądze, ja się po prostu nie rozbiorę. Pani Mariola zachichotała.

-A kogo się pani wstydzi, tu nikt obcy nie przyjdzie, a mistrz patrzy okiem artysty, może pani zapomnieć, że to mężczyzna.

-Zaraz Merlinko. Pani to mówi kategorycznie? To kwestia zasad?

-Tak - kiwnęłam głową.

-Owijamy panią w białe płótno, na to siatka, dodamy zioła i trochę bluszczu. Szanuję cudze zasady i nie będę się spierał.

Pani Mariolu, do dzieła!

Pani Mariola skinęła na mnie ręką i pomaszerowała do pokoju obok. W obszernej garderobie stały mocno podniszczone manekiny, różnej wielkości pudła i kosze, z których wylewały się kolorowe tkaniny. Na wbitych w ścianę gwoździach wisiały stare, ale wciąż piękne kostiumy: suknie, mundury i halki.

-Wszystko wygrzebane w lumpeksach. To moja robota - dumnie podkreśliła Mariola w odpowiedzi na moje zaciekawione spojrzenie.

-To też? - wskazałam na pięknie haftowaną suknię ślubną.

-Też. Czasem trzeba powalczyć, szczególnie o te lepsze kawałki, ale jak już coś sobie upatrzę, to nie ma zmiłuj. Dla mistrza wszystko co najlepsze.

Spojrzałam na nią z podziwem.

- Mariola jestem - wyciągnęła rękę. - Wiem, jesteś Ewa - dodała, kiedy otworzyłam usta.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie.

- Ty się nic nie bój, mistrz nie da ci zrobić krzywdy, to dobry człowiek. A teraz przebierz się i, jak mówi mistrz - Mariola chichocząc wyprężyła pierś - oddajmy ciało w służbę ducha.

\* \* \*

Wracałam do domu późnym wieczorem. Już na parterze usłyszałam dobiegające z góry miauczenie. Psia kostka, nie kupiłam nic dla Filka. Obróciłam się na pięcie i zniechęcona ruszyłam do nocnego, który naliczał. Taką marzę, że za litr głupiego mleka trzeba



płacić prawie podwójną cenę. szłam powoli, noga za nogą. Bolało mnie całe ciało. Może ten malarz to i dobry człowiek, ale przez bite dwie godziny kazał mi stać w lekkim przykucu z podniesioną do góry ręką. Robiłam za rusałkę wynurzającą się z wodnej toni... a wzrok jej biegł w zamglone przestrzenie i stała niepewna i blada, a imię jej było... ile?

- Cztery czterdzieści - kasjerka gapiała się na mnie z rozdrażnieniem.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem. Przecież to tylko mleko i małe batoniki. A niech ich... Godzinę sterczałam w toni, blada i patrząca, za głupie mleko i głupi batonik... a niech ich...

\* \* \*

- Cześć, Sylwia! Za dwa tygodnie twój ślub, więc dzwonię, żeby zapytać, co chciałabyś - to znaczy chcielibyście, dostać w prezencie! Kiedyś mówiłaś, że lubisz koty. Masz jeszcze ochotę na małego kocurka? No nic... zadzwonię później. Cześć.

- No i co? - zagadnęła Miśka, gdy odłożyłam słuchawkę. - Weźmie?

- Ma wyłączony telefon. Nagrałam się.

Stałam przed Miśką jak skazaniec przed egzekucją. Miśka zawsze: przychodziła mi z pomocą, gdy przystępowałam do analizy popełnianych przez siebie życiowych pomyłek, ale nie należała do najłagodniejszych sędziów. Wyznawała zasadę, że przyjaciel musi być ostry i przywracać: błądzących (mnie) na łono cnoty (rozsądku), dlatego wiedziałam, że jej słowa będą jak salwa plutonu

egzekucyjnego: krótkie, celne, ostateczne. Poddalam się jej jak owieczka.

- Misiu, czy zdajesz sobie sprawę, że moja sytuacja jest beznadziejna? Straciłam pracę, mam puste konto, rachunki do zapłacenia i jeszcze na dokładkę Filek okazał się... Wiesz co? - ściszyłam głos, patrząc z ukosa na kota - nie mogę pogodzić się z tą nagłą zmianą płci. Czuję się... czuję się...

- Rozumiem, totalus beznadziejus. Słuchaj, stara, usiądź wygodnie i skorzystaj z porady specjalisty od chorób totalnych, Michaliny Węgiełko. Po pierwsze, co z azalią?

Co mi po azalii, gdy moje życie się wali.

-Jest twoja.

-Z łaski?

-Z bezinteresownego daru.

-No to miło z twojej strony. A teraz odpowiedz sobie na podstawowe pytanie: czy lubiłaś tę pracę?

- Nie!

-Jesteś rzeczowa, to dobrze świadczy o stanie zmysłów. Pytanie drugie: co chciałabyś robić?

-Na pewno nie chcę być niańką watahy kociaków! - zaperzyłam się.

-A czy ja pytam, czego nie chcesz?

-Chcę mieć pracę, którą będę kochała, do której będę biegła jak na skrzydłach...

-Co to może być?

-Sama nie wiem...

-No dobrze. Zastanówmy się. Do czego masz wewnętrzny ciąg, myślmy głośno. Lubisz chipsy, stare filmy, gazety, wafelki waniliowe i cappuccino. W diabelskim tyglu uwarzyłabym z tego na przykład... - wykręciła młynka ramionami, jakby była jędzą z Szekspira rodem - ... sprzedawczynię słodczy w przytulnym kinie na prowincji. Uśmiechniętą.

-Miśka, wygłupiasz się, a ja naprawdę czuję chłód ostrza na mej bladej szyi - zażartowałam, mimo czarnej wizji mojej przyszłości. Lubię, kiedy Miśka wyjeżdża z tym swoim poetyckim humorem.

- Słuchaj, póki co nie jest źle, masz swojego malarza, z głodu nie umrzesz... Zebranie! - wypaliła nagle. - Miałaś się tam udzielać za trzydzieści złotych, tak? Kiedy?

-Jutro.

-No to dziś zajmij się sztuką. Dzwoniłaś do pana artysty? No to dzwoń.

Nie zdążyłam podnieść słuchawki, kiedy zadzwonił telefon.

- Sylwia? Cześć! W sprawie kota?... Nie chcesz... Wieczór panieński?... U mnie? Dlaczego u mnie? No dobrze. Z Miśką czy bez? - zaśmiałam się złośliwie. - No jasne, że bez... Miśki nie byłoby wieczoru. No to przyjeżdżaj... halo, halo, Sylwia, ale ja nie mam nic do jedzenia. Przywieziesz? No to czekamy. - Odłożyłam słuchawkę i rozpromieniona spojrzałam na Miśkę. - Misiu, chwilowo troski won, będziemy miały... laba - daba - balangę! - zakręciłam biodrami.

Miśka spojrzała na mnie podejrzliwie.

-Wieczór z Sylwią? Pamiętasz ostatnią imprezę? Skończyłaś w kiblu z jakimś buddystą, rozmawiając o sensie istnienia.

-Miśka, to było wieki temu. Może nie wiesz, ale teraz jestem innym człowiekiem, Mam silne poczucie własnej wartości i kocham siebie! I chcę się bawić! - wywinęłam piruet i skoczyłam na sofę obok Miśki. Zarechotałyśmy zadowolone.

\* \* \*

Usłyszałyśmy silnik samochodu i jak na komendę rzuciłyśmy się do okna. Trzy piętra niżej stał lśniący Peugeot. Wysiadł z niego wysoki mężczyzna w skórzanym płaszczu, obszedł samochód i z gracją otworzył drzwi od strony pasażera. Na chodnik wysunęła się szczupła nóżka w zgrabnym pantofelku. Mężczyzna wystawił dłoń i z samochodu wysiadła Marilyn Monroe, tyle że brunetka. Dziewczyna przytuliła się do napiętego torsu swego księcia, a on delikatnie pogładził jej włosy. Sylwia spojrzała w górę, dostrzegła nas i pomachała zamszową rękawiczką. Po chwili wbiegła na klatkę. Peugeot ruszył z piskiem opon i znikł za rogiem. Usłyszałyśmy pukanie do drzwi.

- Dziewczyny, nie zdążyłam niczego kupić, mam tylko dwie butelki wina i ciastka. Ale Jerzy zamówił nam pizzę, powinna być za dwadzieścia minut.

Sylwia obcmokała powietrze wokół mojej i Miśkowej twarzy, jakbyśmy wydzielały z siebie jakiś świątobliwy eter, i zasiadła na fotelu, zgrabnie zakładając nogę na nogę. Wyjęła z torebki od

Guccięgo maleńką srebrną komórkę i szybko wystukała SMS, głośno wypowiadając sylaby: dzie - ku - jemy za pi - zzę bu - ziol - ki.

- No, dziewczynki - spojrzała na nas, chowając telefon do torebki otwieramy winko. Ewcia, gdzie masz korkociąg?

Głupio się przyznać, ale nie posiadam takowego instrumentu wśród skromnego zasobu moich sprzętów domowych. Rzadkie popijanie z Miśką zawsze inaugurowało uroczyste wepchnięcie korka do środka butelki. Ostatnio, zde gustowana naszym zachowaniem a la budka z piwem, szczerze postanowiłam zakupić odnośny ekwipunek, ale zabrakło mi funduszy. Pozostało więc mało eleganckie, aczkolwiek skuteczne posunięcie. No, ale przecież Sylwii tego nie proponuję.

-Daj to wino - rzuciła Miśka i wyszła do kuchni. Po chwili wróciła z otwartą butelką. W wiśniowym płynie podskakiwał gąbczasty korek.

-Co, tak? - Sylwia roześmiała się w głos. - Tak pijałyśmy z dziewczynami na biwaku w ósmej klasie. Masz chociaż kieliszki?

-Szampanki.

-Mogą być - Miśka odpowiedziała na lekko zde gustowane spojrzenie Sylwii. - Kiedy się wynajmuje mieszkanie, człowiek żyje skromnie, nie zbiera przedmiotów, żeby w razie przeprowadzki być w pełni mobilnym, rozumiesz?

-Dobrze, niech będzie ostatecznie. Nalewajmy wino i zaczynamy. Drogie ladies, muszę wam wszystko opowiedzieć o

moim Jerzyku.

Nagle usłyszaliśmy *Bolero* Ravela.

- To moja handy - Sylwia złapała za torebkę. - Chyba message od prezesa. - Odczytała wiadomość. - Tak, jutro rano mamy meeting z firmą szkoleniową. Chcemy skorzystać z ich propozycji e - learningu. Wiecie, takie szkolenie przez Internet. Dziewczyny, taka jestem zabiegana, że nie wiem, czy nie zapomnę o własnym ślubie. A właśnie, z kim przyjdziecie? Będzie wspaniała zabawa, zejdzie się cała śmietanka wydawnicza, będzie paru dziennikarzy, spodziewamy się newsa w prasie. Chcecie zobaczyć sukienkę? Mam zdjęcia, Jerzy pstrykał mi fotki w salonie, żebym mogła się sama zobaczyć i zdecydować. Co myślicie o tej? Śliczna, prawda? I całkiem niedroga, cztery tysiące ze wszystkim, to znaczy z welonem i rękawiczkami... oho, chyba pizza. Ewciu, otworzysz?

„Tak jest, pani prezes” - pomyślałam. Lekko podminowana ruszyłam do drzwi. Jakiś ponury młokos wręczył mi pizzę i rachunek. Jasny gwint, nie mam pieniędzy, zresztą to Sylwia wyskoczyła z tą głupią pizzą, ale pójść teraz do niej i poprosić o pieniądze...? Wzdrygnęłam się na myśl o takim upokorzeniu. Znowu to samo! Myślałam o sympatycznym spotkaniu, na którym ujawnię w pełni moje nowe oblicze, a zamiast tego czuję, że ' poczucie własnej wartości zsiada mi się jak mleko, rozpuszcza jak płatek śniegu, znika jak wypłata. Poczułam przyływ gniewu.

-Sylwia, twoja pizza! - krzyknęłam w głąb mieszkania.

-Już zapłacona, tylko odbierz - usłyszałam zadowolony głos

panny młodej.

Nie zwracałam uwagi na wyczekujące spojrzenia małolata. W jedną rękę wzięłam ciepły karton, w drugą torbę z colą, pod brodą umieściłam torebkę z sałatkami i nogą zamknęłam drzwi. Tak obładowana stanęłam przed lustrem. Popatrzyłam na swoje mizerne oblicze i bez przekonania powtórzyłam trzy razy: „Kocham siebie”. Zrobiłam zęza, wywaliłam język i uśmiechnęłam się w duchu na myśl, że mogłabym tak wejść do pokoju i zmierzyć się z wysublimowaną elegancją panny S., która w prezencie ślubnym dostaje porcelanowy serwis do kawy z osiemnastego wieku i wykupiony roczny abonament w najdroższej restauracji w Warszawie. Przypomniałam sobie postanowienie z artykułu jeden, paragraf dwa „o nieporównywaniu się”, ale zrozumiałam, że w obecności Sylwii, która epatuje bogactwem i wytwornością niczym francuska księżniczka, będę miała twarde orzech do zgryzienia.

Powoli weszłam do pokoju. Miśka rozlewała wino. Sylwia rozmawiała przez telefon, siedząc zgrabnie na parapecie i kręcąc na palcu lśniący kruczoczarny lok. Uśmiechnęła się, ukazując równiutki rząd śnieżnobiałych zębów i wskazała wzrokiem stół, jakbym była ćwierćinteligentem, którym trzeba pokierować, bo inaczej zostanie na środku pokoju z niesionym balastem na amen. Spojrzałam na jej wyjątkowo zgrabne łydki w nieskazitelnym rajstopach. Coraz wyraźniej czułam, jak moja psychika wypiera obraz ładnej, uśmiechniętej, atrakcyjnej Ewy Bielskiej, efekt sześciomiesięcznej wizualizacji, a na jej miejsce przemyca dojrzewającą trzynastolatkę:

za chude nogi, idiotyczne okulary i trądzik. Poczułam też przyływ nienawiści do ukochanego swetra po dziadku, wyciągniętego prawie do kolan i przetartych dzinsów z frywolną łątką na pośladku, teraz pajacowatą i głupią.

Sylwia roześmiała się do słuchawki i powtórzyła kilkakrotnie: - Okej, jutro się spotykamy u stylistki, okej, okej, see you. - Wyłączyła telefon i z wdziękiem zeskoczyła na podłogę. Podniosła pokrywę pudełka i wciągnęła w płuca świeży zapach ciasta.

- Dziewczynki, zaczyna... - przerwała, bo znowu zadzwonił telefon. Tym razem był to Jerzyk, o czym nas powiadomiła bezgłośnym ruchem warg. Zaćwierkała do słuchawki: - Słucham, tygrysku - po czym pokazała, żebyśmy jadły bez niej, i wyszła z pokoju.

\* \* \*

- Ty głupia jesteś jak nie powiem co! - ofuknęła mnie Miśka, gdy schowałam się w łazience, coraz bardziej ulegając napierającym kompleksom. Miałyśmy chwilę przerwy po tym, jak Sylwia rozpoczęła trzecią z rzędu rozmowę ze swoim prezesem. Po dwóch kieliszkach Chateau La Tour Blanche, ulubionego wina Sylwii, po których podniebienie ścierpło mi tak, że z tęsknotą pomyślałam o moim i Miśkowym półśłodkim za osiem pięćdziesiąt, uznałam, że mam dziś wyjątkowo silny psychiczny i niż. Kochana Miśka, która już nie raz towarzyszyła mi w takich stanach, znów przyszła mi z odsieczą.

- Już nie raz ci mówiłam i powtarzam: jest homo sapiens i homo



yuppie, my należymy do pierwszego, Sylwia do drugiego gatunku, ale to nie znaczy, że nie możemy się dogadać. Czuję, że trzeba podbudować twoje nadwątlone ego. Czy mam ci wymienić twoje mocne strony?

Kiwnęłam głową.

- Oprócz tego, że jesteś głupia jak nie powiem co, to jesteś całkiem inteligentna, dowcipna, masz serce... i patrzysz w serce... - Miśka była już po dwóch kieliszkach. Spojrzała w lustro, wyszczerzyła zęby, przejechała językiem po siekaczach i nagle wypaliła: - Dość tego! Biorę sprawy w swoje ręce i obie was przywołam do porządku! - Złapała mnie za rękę i siłą wyciągnęła z łazienki.

Sylwia siedziała na sofie i skubała wystygłą pizzę.

- Sylwia, wyłączasz komórkę... bez dyskusji! - zareagowała na jej protestującą minę. - Ja nalewam wino, Ewa rozkłada ciastka. Nie rozchodzimy się, siedzimy i gadamy, musimy zmęczyć te dwie butelki. - Podniosła kieliszek. - Za zdrowie pięknych pań!

\* \* \*

- Wy, dziewczyny, nie wiecie, jak to jest... - Sylwia chlipała w Miśkowy mankiet. Na stole stały opróżnione butelki, dopijałyśmy ostatni toast: za udane związki. - ... Zawsze w dobrym nastroju, uśmiechnięta, rozluźniona, w amerykańskim stylu, grzeczna córeczka rodziców, grzeczna narzeczona...

Spojrzałam na Miśkę. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Z ust Sylwii takie słowa? Miśka pokazała wzrokiem, żebym nic nie

mówiła. Trzeba dać się dziewczynie wygadać.

- Ja wiem, że go kocham, ale... tak mi ten ślub zawrócił w głowie, tak mi zawirował... - Sylwia wyjęła chustkę i głośno wydmuchała nos. - ... Ja bym chciała pracować w jego wydawnictwie, to takie ciekawe: poznawać ludzi, rozwijać się, a Jerzy chce... zaraz po ślubie... Mikołaja - Sylwia rozchlipała się na dobre.

-Kogo?

-Mikołaja.

-Kto to taki?

-Nasz syn.

-Macie syna?!

-No co ty? - Sylwia podniosła zapłakaną twarz. - Jerzy chce go spłodzić w noc poślubną. Ale ja nie jestem gotowa. - Zdesperowana panna młoda połykała łzy.

Patrzyłam na nią ze współczuciem. Jednocześnie, gdzieś na obrzeżach świadomości, snułam myśli na temat kobiecej urody. Jaka to Sylwia śliczna. Ma opuchnięty nos, czerwone oczy, rozmazany makijaż, a mimo to wygląda uroczo. Ja po porcji zdrowego oczyszczającego płaczu nie mogę się pokazać ludziom przynajmniej przez dwanaście godzin.

-Musisz mu to powiedzieć: że masz plany zawodowe, ambicje, które chcesz realizować. Nie może przecież zrobić z ciebie kury domowej - odezwała się we mnie kobieca solidarność.

-Mówiłam mu i on nie ma nic przeciwko, namawia mnie nawet, żebym zrobiła drugi fakultet, obiecuje, że będę miała nianię do

pomocy i gosposię, ale... czy wy wiecie, ile mnie kosztuje utrzymanie figury, jak zajdę w ciążę roztyję się jak balon, będę miała żylaki, rozstępy, ja... ja nie chcę!

-A co na to Jerzy?

-Obiecał masażystę, kąpiele błotne, specjalną dietę, ale... Dziewczyny, wy to macie dobrze - Sylwia utkwiała w nas poważne spojrzenie - nie odczuwacie presji, którą ja muszę codziennie znosić. Jerzy jest jedynakiem. Muszę jemu i jego rodzicom urodzić juniora, następcę tronu, dziedzica. A jeśli coś się nie uda? Od miesiąca nie mam apetytu, źle sypiam. - Sylwia głośno czknęła. - Przepraszam. Jego matka jest taka apodyktyczna, to ona wymyśliła to imię. Czasem rozumiem Lady Di, musiała czuć się okropnie pod okiem królowej, to takie deprymujące tak ciągle być na świeczniku. Muszę pamiętać o tych wszystkich sztuczkach, kieliszkach, drobnych rytuałach...

- Ale ty przecież lubisz takie światowe życie - przerwała jej Miśka, która najwyraźniej straciła cierpliwość. - Zresztą nie będziesz żyła z teściami, tylko, jak się zdążyłaś pochwalić, w nowo wybudowanym domu, więc przestań się mazgaić i lepiej doradź Ewce, jak złapać takiego męża.

Sylwia wzruszyła ramionami, pociągnęła nosem i wyjęła z torebki lusterko. Jęknęła na swój widok i, lekko się zataczając, wyszła do łazienki. Popatrzyłam na Miśkę. Pomyślałam, że nie powinna tak obcesowo obchodzić się z ludzkimi uczuciami, jednak z drugiej strony przyznałam jej rację. O co tej Sylwii chodzi? Szykuje się jej bajkowe

życie, nie musi martwić się o pieniądze, nie musi uprawiać chałtury w stylu „rusalka w topieli”, może mieć ślicznego różowego dzidziusia, w dodatku z nianią i gosposią w zestawie, przystojnego męża, miesiąc miodowy na Bali, o co jej właściwie chodzi? Miśka dopiła wino i mruknęła pod nosem: - Homo yuppie...

Sylwia wróciła po chwili uczesana i odświeżona. Już chciałam przemówić jej do rozumu i wytknąć, że odgrywa umęczoną Joannę d'Arc, podczas gdy ja nie mam co do garnka włożyć, kiedy za oknem odezwał się klakson samochodu. Sylwia rozpromieniła się, otworzyła okno, pomachała jeszcze mokrą od łez chusteczką, wyciągnęła nas i zbiegła na dół. Po chwili usłyszałyśmy stukot jej pantofelków na chodniku. Wyjrzałyśmy przez okno: Jerzyk chwycił ją w żelazny uścisk, lekko odchylił do tyłu i pocałował. Zakręciło mi się w głowie.

\* \* \*

Odprowadziłam Miškę do domu i wracałam w zdecydowanie lepszym nastroju. Nie wiedziałam, czy to wpływ alkoholu, czy może mroźnego powietrza, ale wyraźnie czułam się lepiej. Po wizycie Sylwii połączyła nas z Mišką nowego rodzaju solidarność: wprawdzie nie mamy księcia z bajki ani większych szans, by kogoś takiego spotkać, mamy za to radosnego ducha i pomysły na udane życie. Opowiedziałam Miške o moim Przewodniku Życiowym, ona zaś zrelacjonowała mi telefoniczne, ugodowe rozmowy z Edkiem. Przyznała, że chce mu dać jeszcze jedną szansę. Szczerze temu przyklasnęłam. Sama pokrzepiłam się myślą o jutrzejszym zebraniu i przystojnym panu X.

Z nawyku zerknęłam w stronę skrzynki na listy. Przed oczami mignął mi skrawek białego papieru. Rachunek za prąd przyszedł w zeszłym miesiącu, telefon przyjdzie za tydzień, wyciąg z banku zdradzający ziejące pustką, konto też... a więc to może być tylko list od babci. Wzruszona rzuciłam się do skrzynki. Od razu poznałam lekko pochyłe, eleganckie pismo. Babcia! Niebiosom niech będą dzięki.

„Kochana wnusiu!”

Łzy stanęły mi w oczach. Poczułam, że nie jestem sama w moim parszywym położeniu i że jest jeszcze dla mnie jakaś nadzieja. Odsunęłam kota natrętnie obwąchującego kartkę i czytałam.

\* \* \*

Trafiłam na salę konferencyjną na kilka minut przed rozpoczęciem zebrania. W dużym holu przed wejściem tkwiła grupka ludzi, rozmawiając i paląc papierosy. Między nimi stały srebrne popielniczki na długich cienkich nóżkach, takie same, jakie pamiętam z zakładowych zabaw choinkowych, na które jako dziecko zabierali mnie rodzice. Któregoś razu, przed taką popielniczką, w gęstych obłokach dymu, ujrzałam świętego Mikołaja. Wtedy przestałam w niego wierzyć.

Nie przerywając rozmowy, kilka par oczu zmierzyło mnie wzrokiem. Kiwnęłam głową mamrocząc „dzień dobry” i zajrzałam na salę. Podłużny stół przykryty zielonym sukniem i udrapowane zasłony w oknach nadawały pomieszczeniu przytulny wygląd. Wokół stołu

ciągnął się długi rząd krzesel, siedziało tam już kilkanaście osób. Rozejrzałam się, mając nadzieję ujrzeć jakąś znajomą twarz, gdy nagle ktoś zamachał do mnie ręką. Aśka?

- Hej, dziewczyno, co tu robisz?! - zawołała.

Aśka przepychała się w moją stronę między krzesłami, co chwila wybuchając śmiechem, przepraszając i dowcipkując, a ja patrzyłam na nią z nieukrywanym podziwem. Zgrabnie skrojony kostium, gładko upięte włosy, delikatny makijaż - była idealnym przykładem kobiety sukcesu. W czepku urodzona, już w liceum odkryła swoje powołanie i ściśle określiła ścieżkę kariery. Postanowiła zostać politykiem i tak kierowała swoją edukacją, aby ów cel osiągnąć. Miała mierny z biologii, była za to prymusem z historii i ulubienicą pana od przysposobienia obronnego. Pełniła funkcję przewodniczącej szkolnego samorządu, potem, w wieku dziewiętnastu lat, startowała do Rady Powiatu, została asystentką burmistrza i z tego, co słyszałam, nosiła się z zamiarem założenia „Partii Młodych Ambitnych”. Po szkole przeniosła się do Warszawy. Skończyła politologię, zna biegle trzy języki i robi podyplomówkę ze stosunków międzynarodowych. Jednym słowem, jest osobą, której w moim obecnym stanie ducha nie powinnam spotkać. Jeśli się jeszcze dowiem, że ma cudownego męża, dzieci i świetnie godzi obowiązki żony, matki i osoby publicznej, uczy się esperanto, jeździ j na nartach w Szwajcarii i nurkuje na Malcie, pójdę do psychoanalizy.

Aśka podeszła bliżej i uścisnęła mi rękę. Dostrzegłam obrączkę.

-Wyszłaś za mąż?

-Tak, dwa lata temu. Wieki się nie widziałyśmy, dużo się zmieniło.

-Masz dzieci?

-Dwoje. - I jak?

- Wiesz, na początku było trochę ciężko pogodzić wszystkie obowiązki, ale teraz wszystko świetnie się układa.

Poczułam się nieswojo. Oczywiście słyszałam o mediach czy jasnowidzach, ale nie sądziłam, że mogę mieć z tym coś wspólnego.

- Strasznie się cieszę, że cię widzę, wspaniale byłoby spotkać się na kawie i pogadać, niestety dzisiaj wpadłam tylko na chwilę. Wyjeżdżamy na weekend, muszę się jeszcze spakować.

-Będziecie nurkować na Malcie? - przełknęłam ślinę.

-Niezły pomysł - zaśmiała się. - Tym razem jedziemy w góry, chcemy pojeździć na nartach. Co ci jest, taka blada jesteś?

Poczułam, że robi mi się słabo. To tylko żart, imaginacja, głupi zbieg okoliczności, pomyślałam i usiadłam na najbliższym krześle. Aśka usiadła obok.

- Zaraz się zaczniesz - obejrzała się w kierunku drzwi. - Widzisz tego okrągłego mężczyznę w kamizelce? To przewodniczący, sympatyczny człowiek. Ale zaraz, nie powiedziałaś mi nic o sobie. - Zerknęła na zegarek. - Ojej, muszę lecieć. Twój stary numer jest aktualny?

Aśka zapisała mój nowy numer telefonu, ucałowała mnie i wyszła. Odetchnęłam kilka razy i powtórzyłam w duchu słowa z listu babci: „Każdy ma swoją pulę szczęścia. Twoja na pewno cię nie

ominie”.

Chwilę potem wszyscy usiedli na swoich miejscach i, jako pierwszy, głos zabrał przewodniczący. Zaczęło się bardzo nudne zebranie. Przeczytano porządek obrad, następnie jakiś mężczyzna w średnim wieku wniósł o zmianę programu, ponieważ jego kolega, który przygotowywał projekt remontu balkonów, zachorował. Kobieta siedząca obok mnie ziewnęła. Lukę w programie postanowiono wypełnić przerwą na kawę. Nagle otworzyły się drzwi i wszedł lekko zdyszany mężczyzna, ten sam, który niedawno odwiedził mnie w sprawie emalii. Serce zabiło mi mocniej.

- O, pan Maciek, znowu korki?

Nowo przybyły uśmiechnął się przepaszająco.

- Jeśli szybko nie skończą remontować mostu, grozi nam strajk kierowców - zażartował łysy jegomość w okularach. - Wyjechałem z pracy pół godziny wcześniej, a i tak ledwo zdążyłem.

Pozostali obecni pokiwali głowami.

-Ma pan już wyniki referendum? To proszę nam głośno przeczytać.

-Tak, tak, chwileczkę.

Rzucił okiem po sali, najwyraźniej szukając wolnego miejsca. Wstrzymałam oddech. Krzesło naprzeciw mnie stało puste. Dostrzegł je, zbliżył się szybko i usiadł. Przez chwilę zatrzymał na mnie wzrok i lekko zmarszczył brwi, jakby próbując mnie sobie przypomnieć. Uśmiechnęłam się. Nie poznał mnie, mimo to kiwnął głową i



odpowiedział lekkim półuśmiechem. Wyjął ze skórzanej teczki plik dokumentów, zastukał nim o blat stołu, odchrząknął i przemówił:

- Większością głosów zdecydowano, że kolor emalii na klatce schodowej będzie... - zawiesił głos, jakby rozdawał Oskary - ... niebieski!

Na sali zapanowało lekkie poruszenie.

- Jak to niebieski? - odezwał się oburzony głos z drugiego końca sali - Nikt nie zgłaszał takiego wniosku, to wykluczone. - Autorka opinii, kobieta o wysoko upiętych włosach, w przerzuconym przez ramię szalu, zdawała się poważnie zdenerwowana.

Kilka osób jej przytaknęło. Kobieta ciągnęła.

-Jestem plastyczką i proszę mi wierzyć, że zgniła zieleń, o którą wniosłam, nada klatkom głębię i posmak wyrafinowania. Proszę państwa, znam najnowsze trendy z Paryża i wiercie mi, że tanim kosztem możemy mieć tu świetne wnętrza. Widzieliście państwo mój projekt, zielony idealnie dopełnia kolor posadzki, poza tym wiadomo, że ma właściwości terapeutyczne, łagodzi, uspokaja. Niebieski jest nie do przyjęcia, całkiem ] zburzy harmonię - fuknęła.

-Artycha - usłyszałam zgryźliwy szept siedzącej przy mnie kobiety.

-Pani Anno, rozumiem pani niezadowolenie, ale tak zdecydowała większość mieszkańców. A taki wniosek został zgłoszony... - pan Maciek podniósł się z krzesła. - Pomysłodawcą był... - przewertował kartki - ... gdzieś to

miałem... w każdym razie pomysł padł w trakcie referendum. Ustaliliśmy przecież, że mieszkańcy mają prawo do własnych propozycji.

-To są laicy, proszę pana, pięć lat studiowałam, żeby wyrobić w sobie poczucie smaku, poza tym... przestańmy wreszcie myśleć zaściankowo. Nie obrażając, niebieski jest dobry na Urząd Pracy w Koziej Wólce. Specjaliści muszą mieć ostatnie słowo! Mieciu, powiedz państwu, to i przecież kpina.

Spojrzałam za jej wzrokiem. Mieciem okazał się sam przewodniczący, który teraz był cały w pąsach. Przez salę przebiegł stłumiony śmiech.

- A mnie się podoba - odezwała się głośno moja sąsiadka, oglądając paznokcie. - Jestem za.

Plastyczka poderwała się oburzona. Chciała coś powiedzieć, ale najwyraźniej emocje wzięły w niej górę i nie mogła wydobyć z siebie głosu. Przewodniczący ogłosił przerwę na kawę.

Siedziałam cicho jak trusia. Jako sprawczyni całego konfliktu czułam się podle, szczególnie, że wcale nie lubię niebieskiego i jest mi równie obojętny jak zgniła zieleń. Zastanawiałam się, czy nie wycofać się stąd rakiem i nigdy nie wracać, jednak z drugiej strony zignorować taki uśmiech losu? Mój pomysł przeszedł w referendum, siedzę naprzeciw przystojnego mężczyzny... Spojrzałam w kąt sali, gdzie przy wieszakach przewodniczący rozmawiał z plastyczką. Coś jej tłumaczył, potem podał jej płaszcz i oboje wyszli. Patrzyłam na puste krzesło po drugiej stronie stołu, na zapisane kartki i elegancki

długopis wyjęty z futerału. Pan Maciek wyszedł na kawę, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi. Postanowiłam trwać na stanowisku.

Po przerwie przywrócono kolejność obrad, umieszczając kolor emalii na trzeciej pozycji. Na wezwanie przewodniczącego podniósł się starszy pan w szarej marynarce, wyjął z kieszeni pogniecione kartki i rozpoczął blisko półgodzinną przemowę na temat finansów spółdzielni, jakichś nadwyżek i innych niezrozumiałych dla mnie rzeczy. Maciek, jak zaczęłam go w duchu nazywać, słuchał słów prelegenta i bawił się długopisem. Od czasu do czasu coś zapisywał, raz wyjął z teczki kalendarz, sprawdził datę i uśmiechnął się zadowolony. Pomyślałam, że musi być tuż po trzydziestce. Zerknęłam na palce, kawaler. Dobrze ostrzyżone ciemne włosy na skroniach przyprószyła delikatna siwizna. Mocne rysy, prosty nos i pięknie wykrojone usta nadawały twarzy znamiona szlachetności.

Byłam w fatalnym położeniu. Staralam się siedzieć en face, najkorzystniejszej dla mnie pozycji, ale znudzona opozycjonistka wyciągnęła długie kończyny i, chcąc nie chcąc, skierowałam ciało lekko w bok. Poza tym, żeby nie robić złego wrażenia, zwróciłam twarz w kierunku referenta, zmuszona jednak, co przeklinałam w duchu, prezentować Maćkowi swój gorszy profil.

W pewnym momencie zorientowałam się, że na mnie patrzy...

Zamarłam...

Zastygłam...

Znieruchomiałam...

Poczułam, że drętwieje mi kark, że moje ciało sztywnieje, że fala krwi I uderza mi do głowy. Zapulsowała mi skroń. Mój prawy policzek zapłonął jak żyrafa Dalego. Przełknęłam ślinę...

Nie wiedząc, co począć, wpatrywałam się w referenta jak sroka w gnat.

Po trzech minutach zrozumiałam, że dłużej tego nie zniosę. Zdeterminowana postanowiłam przerwać ten krępujący precedens i spojrzeć Maćkowi w oczy. Wbijając wzrok w stół, powolutku, jakbym celowała ' lufą wojskowej armaty, obróciłam głowę w jego stronę i podniosłam powieki...

Maciek gapił się w ścianę za moimi plecami...

Był tak głęboko zamyślony, że nawet gdybym w ekstatycznym transie wskoczyła na stół i wykonała taniec Szeherezady z Baśni tysiąca i jednej nocy, wcale by tego nie zauważył. Nie zauważyłby nawet kaszubskich przytupów i hołubców. Ależ ja głupia jestem. Wyrzucając sobie skrajną naiwność, postanowiłam przestać zwracać na niego uwagę. Na leżącej przede mną kartce zapisałam słowa faceta w szarej marynarce: „Trzeba racjonalnie zagospodarować pozostałą kwotę, bo inaczej pieniądze przepadną”. Zaczęłam słuchać.

- Pan Bonczarek proponował założenie monitoringu, ale, proszę wybaczyć szanowny kolego, uważam pomysł za chybiony. To by kosztowało masę pieniędzy, a korzyści z tego żadnych. Jedyne włamanie, jakie tu mieliśmy, to skradzione słoiki z piwnicy pani Wandzi, zdaje się, w dziewięćdziesiątym ósmym. To prawda, że przestępczość rośnie, ale jeśli nawet nas ten problem dotyczy, to nie w

takim stopniu, żeby szpikować się kamerami. Wnoszę o przedyskutowanie sprawy i złożenie innych propozycji, przypominając, że czasu mamy mało. - Prelegent przejrzał notatki. - W zasadzie to wszystko. Proponuję rozpocząć dyskusję.

- Macie już państwo jakieś uwagi czy robimy przerwę na kawę?

- Przewodniczący spojrział na zegarek.

- Ja mam. - Młoda rudowłosa kobieta w kocich okularach podniosła rękę. - Załóżmy klub lub kawiarnię!

Dziewczyna zabujała się na krześle. Przesunęła wzrokiem po obecnych i na dłuższą chwilę zatrzymała spojrzenie na Maćku, ten zaś odpowiedział jej znaczącym uśmiechem.

- Taaa... - przewodniczący wydał się zakłopotany. - Dobra myśl, ale już tego próbowaliśmy. Pani jest za młoda, żeby pamiętać, ale kilka lat temu mieliśmy tu klub osiedlowy i nie udało się go utrzymać.

- Wzruszył ramionami i uśmiechnął się dobrotliwie, jakby przepraszająco. - Ktoś jeszcze?

Wtedy coś we mnie wstąpiło. Otworzyłam usta i usłyszałam swój własny głos:

- Możemy założyć gazetę.

Wszyscy wlepili we mnie wzrok. Przewodniczący nie dosłyszał:

- Że co, słucham?

Wstałam, z rumorem przesuwając krzesło i długie nogi sąsiadki. Lekko drżały mi ręce.

- Uważam, że najlepszą ochroną przed przemocą nie jest zakładanie krat, kamer i wynajmowanie ochrony ale budowanie więzi

międzyludzkich i przyjaźni. Mieszkam tu od miesiąca, pod dwudziestym szóstym, i szczerze mówiąc nikogo nie znam, nie wiem, kto mieszka pode mną czy nade mną... - wlepione we mnie gały zmaciły mój tok rozumowania. Byłam zdenerwowana, ale postanowiłam kontynuować. - Dobrze by było bliżej się poznać i stworzyć osiedle, gdzie nie ma ludzi anonimowych, gdzie wszyscy czują się u siebie. Świetnym rozwiązaniem jest tu gazetka osiedlowa, w której można by prezentować mieszkańców, ich osiągnięcia, Mikcesy, zamieszczać ogłoszenia, informować o decyzjach samorządu, prosić o opinie. Albo na przykład drukować twórczość niektórych mieszkańców, na pewno ktoś tu pisze wiersze.

Parę osób spojrzało na szczupłego mężczyznę w okularach. Mężczyzna poruszył się na krześle i pokręcił głową.

-No co, panie Waldku, niech pan nie będzie taki skromny - za żartował przewodniczący. - No, no, niegłupi pomysł. Pani umiałaby ją poprowadzić?

-Skończyłam dziennikarstwo.

-No, to w takim razie zrobmy tak: pani przygotuje projekt i przedłoży go na następnym posiedzeniu, a wtedy zobaczymy. Wyznamy pani kogoś do pomocy... Panie Maćku, możemy na pana liczyć?

Maciek pokiwał głową. Poczułam, że rosna mi skrzydła.

- Ja też się chętnie udzielę! - zawołała ruda w kocich okularach. Przewodniczący rozłożył ręce, jakby mówił: „Proszę bardzo”.

Nie mogłam uwierzyć w to, co się dzieje. Będę robiła gazetkę! Z

nim Miśka pęknie z zazdrości.

-Czy ktoś jeszcze ma jakiś pomysł? Proszę mówić, bo jeśli nie, to robimy przerwę. A, jeszcze jedno, pani się nie przedstawiła.

-Ewa Bielska - powiedziałam głośno.

Przewodniczący zapisał coś w kalendarzu i zaczął zbierać się do wyjścia. Maciek spojrzał na mnie, jakby moje nazwisko otworzyło jaką klapkę w jego pamięci. Nachylił się do mnie przez stół i zagadnął:

- To pani zaproponowała niebieski. Nie mogłem pani skojarzyć, ale teraz sobie przypominam. - Poczułam zapach mięty z jego ust. - Mam na imię Maciek. Wyjdźmy na korytarz, ustalimy parę szczegółów naszej współpracy.

W tym momencie podeszła ruda i chwyciła go pod ramię.

- Lidka - wyciągnęła do mnie rękę. - Idziemy na przerwę? - nie czekając na odpowiedź, pociągnęła Maćka ku wyjściu. Podreptałam za nimi.

\* \* \*

Postanowiłam położyć się wcześniej, żeby spokojnie zebrać myśli, kiedy zadzwonił telefon. Sebastian, kolega Miśki, z którym czasem wymieniamy się książkami, nazywając je „do natychmiastowego łyknięcia”, zadzwonił po blisko dwóch miesiącach milczenia.

-O, cześć. Chcesz odebrać Castanedę? Skończyłam go w zeszłym tygodniu.

-Nie. Jeszcze czytam twoją Damę Kameliową. A dzwonię z

ciekawą propozycją, słyszałem, że nie masz pracy.

Miśka... Co jej strzeliło do głowy? Me prosiłam jej o stręczenie mi potencjalnych pracodawców, a już na pewno nie tak nawiedzonych jak Sebastian. Co za przyjaciółka! Z jednej strony pociesza mnie, że „na mur beton coś znajde”, z drugiej pewnie obdzwoniła połowę znajomych, skarżąc się dramatycznie, że Ewa osiągnęła dno egzystencji i pokornie przyjmuje datki.

-A co, brakuje wam perkusisty w waszym podwórkowym bandzie? takiej mniej więcej propozycji mogłam się spodziewać.

-Rzecz jest poważna - Sebastian nie podjął rzuconej mu rękawicy. Mój przyjaciel, Emil, poznałaś go na ostatniej imprezie, organizuje grupę teatralną. Szuka zdolnych ludzi. Miśka mówiła, że grałaś w jakimś teatryku szkolnym?

Przed oczami stanęło mi wspomnienie z piekła rodem: liceum, sala gimnastyczna i ja, ubrana w strój usmolonego kominiarza, w panice gryzę palce, próbując przypomnieć sobie jednozdaniową kwestię. Od tamtej pory grywałam już tylko milczących mędrców lub nieme zakonnice.

-Słuchaj, Sebastian, dziękuję za troskę, to fajny pomysł, ale ja potrzebuję zarabiać pieniądze. Mam kota na utrzymaniu.

-Ewka, to są pieniądze - powiedział z naciskiem. - Emil z poprzednią grupą wyjeżdżał do Niemiec i kosił taką kasę, o jakiej ci się nie śniło. Jutro wieczorem jest casting w domu kultury na Jelonkach. Stara, przyjedź, ja tam będę, przynajmniej się zobaczymy.



Nie cierpię kiedy mówi do mnie „stara”. Czuję się wtedy, jakbym zaraz miała założyć dzwony, usiąść gdzieś na gołym betonie i zapalić skręta. Ja, przepraszam bardzo, jestem młodą ambitną kobietą i szukam... szukam... Właściwie ciągle tego nie sprecyzowałam. Może rzeczywiście spróbuję. Co mi szkodzi, kiedyś przecież lubiłam teatr.

- Przygotuj tylko jakiś wiersz i przychodź jak w dym. Zaklepię dla ciebie miejsce. Do jutra.

Wiersz? Jedyne wiersz, który jako tako pamiętam, to nieśmiertelna *Oda do młodości*. No tak, ale żeby te kobylę wyrecytować, trzeba ją najpierw zrozumieć. Jutro skoczę do biblioteki i coś sobie znajdę. Może to i niezły pomysł. Zobaczymy.

\* \* \*

Było już bardzo późno, kiedy znowu zadzwonił telefon.

- Cześć, Michalina z tej strony. Spałaś? Przepraszam, że tak późno, ale pomyślałam, że... hm... no więc... nie owijając w bawełnę... umówiłam się na jutro z Edkiem i chciałabym spróbować z tą kosmetyczką...

Zawiesiła głos, jakby czekając, co ja na to.

-Fajnie - powiedziałam bez cienia emocji. Postanowiłam nie okazywać entuzjazmu, żeby jej nie spłoszyć. Kiedy będzie po wszystkim, sama zrozumie, że podjęła słuszną decyzję.

-Mówiłaś o jakiejś znajomej, ale mam inny pomysł. Niedaleko mnie jest taki mały zakład odnowy biologicznej, należy do jakichś Azjatów. Myślę, że robią to z głową, no, wiesz, medycyna chińska, żeń - szeń i takie tam. No i jest tam fryzjer.

Chcę się przefarbować.

-Mam pójść z tobą? O której?

-Rano. Jakby coś było nie tak, to jeszcze zdążę, wiesz...

\* \* \*

- Kupiłaś farbę?

Miśka pokazała pudełko.

-No, ciemny kasztan, wspaniale. Będziesz się strzyc?

-Odrobinę, zresztą zobaczę, co mi doradzą.

-Poproś o hennę i depilację - przejechałam palcem po Miśkowych brwiach - ale nie za mocną. Zresztą, to w końcu specjaliści. Denerwujesz się?

Miśka wzruszyła ramionami.

- Przecież nie idę na transplantację nerek. To tylko fryzjer.

Czułam, że nie mówi całej prawdy, ale dałam spokój. Weszliśmy do środka. Skośnooka kobieta o niebywale niskim wzroście, uśmiechnęła się uprzejmie, wskazała skórzane fotele i zniknęła w sąsiednim pomieszczeniu. Po chwili usłyszaliśmy chłopot splukiwanej wody, jakieś szelesty, a potem dźwięki delikatnej muzyki, jakby dzwoneczków na wietrze. Poczuliśmy przyjemny zapach palonych ziół. Spojrzałyśmy na siebie porozumiewawczo. Tego właśnie szukałyśmy: małego przytulnego kącika, w którym można się schronić przed światem i spotkać sam na sam ze swoją kobiecą naturą. Po kilku minutach sympatyczna Azjatka wychyliła głowę i uśmiechem dała sygnał, że wszystko gotowe. Miśka zniknęła za drzwiami.

Rozsiadłam się wygodnie w miękkim fotelu i zabrałam za przeglądanie folderów i poradników kosmetycznych pełnych atrakcyjnych modelek o nieskazitelnych cerach, opisów zabiegów pielęgnacyjnych oraz porad, jak wyeksponować swoje mocne strony, a zatuszować słabe. Coś w sam raz dla mnie. Czułam się zrelaksowana i spokojna. Z pomieszczenia obok docierały dźwięki muzyki, popijałam schłodzoną wodę mineralną i już czułam się piękniejsza, otwarta na własną kobiecość, pogodzona ze sobą i światem. Wybrałam sobie kilka fryzur. Następnym razem, kiedy przybędzie mi gotówki, zafunduję sobie jedną z nich.

Nagle podskoczyłam w fotelu. Z sąsiedniego pokoju dobiegł mnie przeraźliwy rumor, jakby przewracanego krzesła.

- To ma być kasztan?! - usłyszałam krzyk Miśki. - Może u was w Hongkongu to jest kasztan, ale u nas nie!!! - zrozumiałam, że zabieg nie spełnił jej oczekiwań. Po chwili Miśka wypadła z gabinetu, zrywając z siebie pomarańczową pelerynkę.

Zdębiałam. To, co zobaczyłam, w żaden sposób nie przypominało znanej mi Miśki. Krótkie ryżo - czerwone najeżone włosy i dwie cienkie, diabelsko czarne nitki nad powiekami przypominały raczej chińskiego smoka z wieczorynki niż piękną zadbaną kobietę, jaką miała stać się ] Miśka po metamorfozie.

- Ta kretyńka skubała mi brwi, jakby kosiła trawnik! Widzisz mojej włosy, czy ja mówiłam, że chcę być ruda, czy ja coś takiego mówiłam... '; jasna cholera! - Miśka trzasnęła drzwiami i już jej nie było.

Czarnooka Chinka wyjrzała z gabinetu i skinęła na mnie ręką.  
We - ] szłam do środka.

- Plosię pani, to jakaś pomyłka, ale to nie moja wina, to ta pani psiniósła ta falba.

Dziwne, na rysunku jak byk siedzi dziewczyna o ciemnych kasztanowych włosach. Dlaczego wyszły rude? A brwi?

-Pani siama chciała zieby egzotyćnie.

-Można to chyba poprawić, jeszcze raz pofarbować?

-Nie, nie - kobieta pokręciła głową. - Niech kolezianka nie psychodzi, zia nelwowa - ukłoniła się z rozmachem i zrozumiałam, że to koniec rozmowy.

\* \* \*

Kiedy dojeżdżałam na miejsce, byłam już zdrowo spóźniona. Gapiłam się w okno autobusu i półgłosem powtarzałam refren Kokoszki - smakoszki, wiersza, który sobie koniec końców wybrałam. Pech chciał, że z jakiegoś powodu biblioteka dla dorosłych była zamknięta, zajrzałam więc do działu literatury dziecięcej, gdzie zasuszona bibliotekarka, zaczepiona nieśmiało w sprawie poezji, z entuzjazmem podsunęła mi Tuwima i Brzechwę, przy okazji fachowo uzupełniając moją wiedzę na temat Julka (którego ponoć znała), jego sławnej „myszki” i kawiarni Ziemiańskiej, zasypując mnie górami anegdot oraz racząc pogłębioną analizą twórczości słynnego skamandryty, którą u niej w domu lubią po prostu pasjami, po wielekroć powtarzając, że to ukochane wiersze jej samej, jej dzieci oraz jej wnuków i żarliwie zapewniając, że i moje pociechy z

pewnością je pokochają. Nie zdołałam wyjaśnić miłośniczce Zosi Samosi i Słonia Trąbalskiego (mimo że kilkakrotnie, gdy brała oddech, próbowałam), że pociech nie posiadam, w końcu jednak wzięłam książeczki, ufając w moc ludzkiej tolerancji.

W artystycznym natchnieniu szeptałam: „kud - ku - dak, a ja owszem, „ja tak” pocieszając się myślą, że może komisja, z uwagi na znajomość z Sebastianem, nie każe mi nic mówić, tylko od razu przyjmie z otwartymi ramionami, proponując rolę Lady Makbet.

W pewnej chwili dostrzegłam dwie pary wlepionych we mnie oczu. Kilkuletnie bliźniaczki z czerwonymi nosami, okutane w palta, czapki i szaliki, patrzyły na mnie podejrzliwie, pokazując mnie sobie palcem. Przerwałam recytację i lekko spłoszona uśmiechnęłam się do dziewczynek, na co obie, jak na komendę, pokazały mi język.

Sebastian był już na miejscu. Złapał mnie za rękę i zaciągnął w głąb korytarza, prowadząc przed jakieś drzwi. Ku mojemu zaskoczeniu cały długi korytarz i dwie przylegające do niego salki wypełniali młodzi ludzie, zainteresowani, podobnie jak ja, zasileniem szeregów teatru „Na smyczy”. To zupełnie zbiło mnie z tropu.

-Ciekawa nazwa, nie ma co. Co ona niby wyraża? - zagadnęłam kąśliwie, żeby dodać sobie animuszu. Sebastian gapił się na mnie z rozkosznym uśmiechem.

-Nie mnie się pytaj. Emil ci powie. Super, że przyszłaś, myślałem, że stchórzysz.

„Że co? Stchórzę?” - pomyślałam, przetykając ślinę i czując, że

nogi mam całe z waty. „Nie porównywać się, paragraf dwa artykułu jeden, nie porównywać się” - powtarzałam w myślach, patrząc z ukosa na wysoką dziewczynę w czarnej powiewnej sukni, półgłosem deklamującą monolog umierającej pani Bovary. W popłochu próbowałam przypomnieć sobie trzeci wers mojej Kokoszki - smakoszki.

- Wszyscy już są po przesłuchaniu, czekają na decyzję. Jeszcze tylko ta czarna i ty. Muszę lecieć, Emil prosił, żebym zrobił mu kawę. Połamania nóg. - Sebastian poklepał mnie po ramieniu i zniknął, przepychając się między gromadkami młodzieży.

Przyjrzałam się twarzom obecnych. W jakim oni mogą być wieku? Nie więcej niż dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat. Czyli są przynajmniej pięć lat młodszy ode mnie! Matko, ja chyba zwariowałam, żeby tu przychodzić i to jeszcze z takim repertuarem. Poczułam suchość w ustach i wilgoć pod pachami - pewne symptomy hysterii. W tym momencie otworzyły się drzwi prowadzące na scenę i stanął w nich chudy mały chłopak. Rozejrzała się po zebranych.

-Czy to już wszyscy?

Czarna pokazała na mnie.

-Jeszcze ona i ja. Wolę być druga.

- Zapraszam. - Chłopak otworzył szerzej drzwi. Serce waliło mił młotem. Poczułam, że moje ciało nie należy do mnie, łącznie z głosem i pamięcią. Po *Kokoszce - smakoszce* nie został nawet ślad.

Weszłam na rzęsiście oświetloną scenę. Z ustawionych przy

rampie punktowych reflektorów padało ostre światło. Na środku stało krzesło. Spojrzałam w głąb widowni i zmrużyłam oczy, jednak oprócz niewyraźnego konturu foteli niewiele mogłam dostrzec. Z ciemności odezwał się na głos:

-Proszę usiąść, chwilę sobie porozmawiamy. Jak się pani nazywa?

-Ewa Bielska - wymamrotałam.

-Zbyszek, notujesz?

Usłyszałam szelest przekładanych kartek.

-Jak? Bielska? - inny głos.

-Bielska - powtórzyłam głośniejsze.

-Ma pani jakieś doświadczenia teatralne?

-Grałam w szkolnych przedstawieniach. Całkiem nieźle mi szło zaśmiałam się nerwowo.

Oczami wyobraźni ujrzałam siebie w roli zakonnicy: stoję nad zwłokami młodego robotnika, załamuję ręce i wzdycham do nieba. Za chwilę młodzi milicjanci wykopują mnie ze sceny. Za każdym razem zbierałam brawa.

- Dlaczego chce pani pracować z teatrem „Na smyczy”?

Podejrzewałam, że padnie takie pytanie, dlatego zawczasu przygotowałam sobie stosowną odpowiedź: „Pragnę poświęcić swoją energię na działalność twórczą i z przyjemnością podejmę współpracę z teatrem <Na smyczy>, który oprócz rozrywki przekazuje duchowe wartości i nie uchyla się przed próbą odpowiedzi na ważne dla człowieka pytania” - teraz jednak uprzytomniłam sobie, że to

niebezpieczna ścieżka. Kolejnym pytaniem może być przecież: „A które z naszych przedstawień zrobiło na pani największe wrażenie? I wtedy klops. Żadnego nie widziałam. Poczułam, że czas wykorzystać mojego asa w rękawie...

-À propos. To bardzo ciekawa nazwa. Sebastian powiedział, że pan Emil wyjaśni, skąd taki pomysł.

-Pani jest koleżanką Sebastiana?

Zadowolona kiwnęłam głową. Czułam, że złapał haczyk.

-Nazwa jest znaczeniowo związana z repertuarem. Widziała pani którąś z naszych rzeczy?

-Nie miałam przyjemności - powiedziałam czerwieniąc się. Zrozumiałam, że mam przed sobą wytrawnego gracza.

-No cóż. Często się spotykamy z niewiedzą, ale to się zmieni - odezwał się inny głos, tym razem kobiecy.

-Z pewnością - szczerze przytaknęłam, ale wiedziałam, że moje notowania gwałtownie spadły.

-Proszę zatem powiedzieć - znów przemówił lider zespołu - jaki typ teatru pani lubi?

Serce przestało mi łomotać, trochę się uspokoiłam. Poczułam z ulgą, że nie jest tak strasznie, jak myślałam na początku. Odetchnęłam głęboko. Postanowiłam się rozluźnić i skupić na byciu sobą.

- Nie lubię grzebania we flakach!

Odpowiedziało mi ciche chrząknięcie. Spojrzałam w ciemność.

-Słuchamy, słuchamy, proszę kontynuować.

-Lubię obserwować grę aktorów, fabuła jest na drugim miejscu,



jednak ważne jest, żeby jakaś była. Zdarzało mi się oglądać spektakle, które właściwie trudno nazwać teatrem, takie na przykład tarzanie się po podłodze, skomlenie, krzyki. To ma podobno wyrażać tajemnicę istnienia. Ale dla mnie to nic nie wyraża - zakończyłam dobitnie.

Usłyszałam odgłos przesuwanego krzesła i jakieś szepty.

Wzięłam je i za dobrą monetę.

Otworzyłam usta, żeby kontynuować, ale przerwał mi męski głos:

- No dobrze. Przejdźmy do czynu, co nam pani proponuje?

Przełknęłam ślinę.

- Właściwie to dopiero wczoraj dowiedziałam się o przesłuchaniu i nie zdążyłam niczego przygotować - wyszczerzyłam zęby, zdając się na j wspaniałomyślność komisji. W duchu obiecałam sobie, że na następne j spotkanie wykuję dziesięć różnych monologów i będę nimi żonglować jak zawodowy deklamator.

-Aha, no dobrze. Bogna, przejmij panią.

Usłyszałam ciche kasznięcie i lekko zachrypnięty głos:

-Dusi się pani ością.

Ścierpła mi skóra. Etiudy aktorskie, tylko nie to.

-Duszę się?

-Tak, ością. Proszę wykorzystać krzesło.

-Na amen się duszę?

Z końca sali dobiegł mnie stłumiony chichot.

- Na amen.

Raz kozie śmierć, pomyślałam, i nie zważając na trzęsące się ręce i zaczęłam grać.

Złapałam się za gardło. Zacharczałam, oparłam się o metalową poręcz krzesła i rzeżąc próbowałam złapać oddech. Wytrzeszczyłam oczy, wywaliłam język i zatoczyłam się po scenie, wyciągając ręce z niemą prośbą o pomoc. Po chwili na ugiętych nogach doczołgałam się z powrotem do krzesła, usiadłam, kilkakrotnie łupnęłam się w plecy i zachrypiałam: - Lekarza...!

Nagle wstałam, zatrzepotałam rękami, nogami wykonałam kilka drgawek i padłam na krzesło jak martwa ćma.

„Całkiem fajnie mi to wyszło” pomyślałam, i podniosłam się ze śmiechem, gotowa na kolejne wyzwania. Miałam wrażenie, że rozwinęłam się od czasu moich szkolnych przygód z teatrem. Poczułam, że mogłabym to robić cały wieczór.

- Dziękujemy - znowu przemówił głos jak z zaświatów. - Teraz to wszystko, będziemy się kontaktować.

Również podziękowałam i wyszłam uszczęśliwiona własną postawą. Zrobiłaś to - mówiła do mnie każda komórka mojego ciała - nie poddałaś się. Brawo.

Z satysfakcją ruszyłam do domu.

\* \* \*

Nie zdążyłam zdjąć płaszcza, kiedy zadzwonił telefon.

- Coś ty im nagadała? Że nie lubisz tarzania się, flaków i tak dalej! - Sebastian był wściekły. - W jakim ty mnie stawiasz świetle. Pomyślą, że mam z tym coś wspólnego. I jeszcze ta farsa...

- O co ci chodzi? Powiedziałam, co myślę, to chyba dobrze, nie?

- Widziałaś ich ostatnią sztukę Rodzi się świat? Dokładnie opisałaś trzy pierwsze sceny. Dziewczyno, ty to potrafisz namotać.

Zrobiło mi się niewyraźnie.

-Powiedzieli, że zadzwonią - odparłam niepewnie.

-Na twoim miejscu bym na to nie liczył - rzucił sucho. - Trzymaj się, stara, co złego, to nie ja.

Otworzyłam usta, żeby coś jeszcze powiedzieć, ale Sebastian zdążył się rozłączyć. Gapiłam się na słuchawkę, słuchając przerywanego sygnału i próbując zebrać myśli.

Powiesiłam płaszcz na wieszaku i usiadłam na krawędzi łóżka. Wzięłam do ręki kolorowe pismo i przewertowałam kilka stron. Łza spłynęła mi po policzku, za nią następna i kolejne. Przetarłam oczy i próbowałam czytać, ale po chwili obraz zupełnie się rozmazał. Ogarnęła mnie złość. Miałam ochotę czymś rzucić, czymkolwiek, wyładować frustrację, która gromadziła się we mnie już od dawna. Jak to możliwe, że nic, dokładnie nic mi nie wychodzi? Za co się wezmę, porażka. Czego nie dotknę, plajta, Dlaczego zdradziecka natura obdarzyła mnie pragnieniem twórczego życia, kiedy do niczego, absolutnie do niczego się nie nadaję?!

Weszłam do łazienki i spojrzałam w lustro. Patrzyłam, jak łzy płyną mi po twarzy, wiją się po policzkach, skapują z brody do umywalki. Wściekła, przepelniona żalem, rozplakałam się na dobre...

Nagle usłyszałam ciche miauknięcie. Obejrzałam się. W drzwiach do łazienki stał Filek. Trzymał coś w pysku. Podskoczyłam

przerazona i cofnęłam się. Mysz?! Skąd ten kot wytrzasnął mysz i po jaką cholere ją tu przyciągnął?!

Zaraz...

O, matko!

To przecież mały kociak... Filek, urodziłeś kotka! O, matko!

Mały stworek poruszył się delikatnie i cichutko zapiszczał. Zrobiłam krok w stronę Filka, ale ten cofnął się, pokręcił się chwilę po korytarzu i położył szare ciało na podłodze. Podeszłam na palcach i przykucnęłam. Nagle zamarłam. Maleństwo nie oddychało. Filek żałośnie miauknął i nerwowo uderzył głową w moje kolano. Zbliżył się do małego. Trącił go nosem, na co malec poruszył się i leciuteńko westchnął. Zrozumiałam, że dzieje się coś niedobrego.

Filek krążył wokół malucha, coraz głośniej miauczając. Skoczyłam na równe nogi i złapałam za telefon. Trzęsącymi się rękami przewertowałam notes, wykręciłam numer pogotowia weterynaryjnego i niecierpliwie czekałam na połączenie. Gdy usłyszałam głos znajomego weterynarza, coś we mnie pękło. Krzyknęłam do słuchawki: - Filek urodził, miał pan rację, ale mały umiera, niech pan przyjedzie, szybko. - Podałam adres i odłożyłam słuchawkę. Patrzyłam na Filka, połykając łzy.

Weterynarz zjawił się po piętnastu minutach. Czekaając na pomoc, położyłam obok kociego noworodka miękką filcową szmatkę i przełożyłam na nią wątle ciało. Gdy sięgałam po malca, krążący po przedpokoju Filek podbiegł szybko, jakby sprawdzając, czy nie robię

małemu krzywdy. Głaskałam biednego Filka, próbując go uspokoić.

Lekarz szybko postawił diagnozę. Tym razem niczego nie komentowałam.

-Przykro mi, ale kociak nie przeżyje, ma niedorozwinięte płuca, to kwestia jeszcze paru minut. Takie są prawa natury - dokończył miękko, gdy dostrzegł moje zaczerwienione oczy. - Gdzie reszta kociąt, przy okazji rzucę okiem?

-Jest tylko ten jeden.

-Można? - lekarz zajrzał do pokoju. - To niemożliwe, przy pierwszym miocie rodzi się nie mniej niż cztery, pięć sztuk. Zaglądała pani do szafy?

Już chciałam mu powiedzieć, że nie ma tu więcej żadnych kotów, ale w porę ugryzłam się w język. Lepiej z nim nie zadzierać, w końcu ostatnio miał rację. Posłusznie otworzyłam drzwi szafy i zamarłam. Na dolnej półce, w stosie prześcieradeł, w wykopanym małym dołku, leżała kupka splecionych biało - rudych ciał. Lekarz spojrział na mnie z wyższością nauczyciela.

- Jak mówiłem, pięć sztuk, no, minus jeden.

„Minus jeden” przypomniał mi o chorym malcu. Wyszłam do przedpokoju i spojrzałam. Leżał bez ruchu. Dotknęłam go palcem. Już nie żył.

Weterynarz okazał się przyzwoitym człowiekiem. Zabrał martwego kotka i zaoferował pomoc, gdybym miała jakieś kłopoty. Nie wziął żadnych pieniędzy.

Wieczór spędziłam siedząc przed szafą i patrząc na śpiące maleństwa. I Filek położył się obok kociąt i zapamiętale lizał małe łebki. Ślepe maluchy kręciły się, przelażyły jeden nad drugim i cicho popiskując szukały pokarmu. Po krótkiej przepychance przyssały się do Filkowego brzucha i posapując piły mleko.

Jeden kotek wyraźnie się wyróżniał, miał na grzbiecie rudo - siwe pręgi i ciemne uszy, drugi był rudy z białym - szarym ogonem. Dwa pozostałe były identyczne, rude jak marchewka. Zamyśliłam się. Co ja z nimi pocznę? Trzeba je będzie oddać, ale komu? Może dam ogłoszenie w gazetce osiedlowej? To dobry pomysł, na pewno ktoś się zgłosi. Ale jeszcze nie teraz, niech podrosną. I niech się Filek nacieszy.

Spojrzałam w ciemne okno. Drzewa uginały się pod naporem silnych podmuchów, sypał suchy śnieg, w szparach budynku gwizdał wiatr. Przytuliłam głowę do puchatej kupki. Poczułam, że te narodziny to dobry J znak, że teraz wszystkie sprawy ułożą się jak należy, znajdę dobrą pracę, zajmę się sobą, zaopiekuję kotami. Jestem odpowiedzialna i nie zawiodę. Wszystko będzie dobrze.

Postanowiłam zadzwonić do Miśki i pochwalić się moim inwentarzem, kiedy stanął mi przed oczami upiorny obraz z salonu piękności. Wypełniła i mnie tkliwość dla kochanej Misi. Wyobraziłam sobie, jak siedzi samotnie w pustym domu, przeżywając rozczarowanie wobec świata, smutna i zagubiona. Powiem jej, że uroda jest zupełnie nieważna, że liczy się życie, miłość i przyjaźń. Zaproszę ją i pozna moje małe koteczki...

Ku mojemu zdziwieniu telefon odebrał Edek.

-Misia poszła na chwilę do sąsiadki. Zadzwońisz jeszcze czy coś przekazać?

-E... dzwonię, bo Misia była po tej odnowie trochę załamana i pomyślałam...

-A, właśnie. Szczere dzięki, Ewa, Misia wygląda... - Edek cmoknął w słuchawkę - ... szalowo, w czarnych włosach jest jej doskonale. I są takie króciutkie, jak u języka. Cudne.

-W czarnych?

-Jak hebanik. Misi też się podoba. Jest bardzo zadowolona.

-Aha...

Powiedziałam, że to cudownie. Że najwyraźniej się Misia przefarbowwała. Że wspaniale, że nie jest sama. Że ma Edka, który ją wspiera. Że jeszcze zadzwonię... i odłożyłam słuchawkę.

Super! Naprawdę fajnie. Świetnie.

Spokojnie...

Poszłam do kuchni, nalałam mleko do miseczki i postawiłam ją obok szafy. Przez głowę przebiegły mi mroczne myśli. Od wieków nie wyglądałam szalowo, nie mam faceta, który odbiera telefon kiedy nie ma mnie w domu, nie mam pracy, pieniędzy, perspektyw... za to rodzą mi się koty, które muszę nakarmić, choć nie mam forsy. I co ja teraz zrobię?! Przeszłam się nerwowo po pokoju i wyjrzałam przez okno. Głupia wichura z łomotem waliła w okno. Niebo łypało na mnie zimnymi gwiazdami. I jak tu nie zwariować?!

\* \* \*

Zamknęłam drzwi na klucz, rozpakowałam zakupy, wafelki waniliowe i czekoladę ułożyłam na talerzyku, umyłam jabłka i włożyłam je do salaterki, zaparzyłam cappuccino, kubek przykryłam przykrywką, Zapakowałam wszystko na tacę i postawiłam obok łóżka. Zajrzałam do kotów, nakarmiłam Filka, wzięłam krótką rozgrzewającą kąpiel, położyłam się pod ciepłym kocem i z kubkiem cappuccino i czekoladą w ustach zabrałam się za przeglądanie książek przyniesionych z biblioteki.

Już od dawna czułam, że potrzebuję solidnej dawki intelektualnej stawy. Że brak lektury, wypartej myślami o facetach, rozleniwiał i uwstecznił mój umysł, że moja kondycja duchowa nadaje się do generalnego remontu. Samotny wieczór z książką, milką i cappuccino zawsze stawiał mnie na nogi. Po przeanalizowaniu wszystkich faktów doszłam do wniosku, że jedynym wyjściem dla osoby w moim żalnym położeniu (brak mężczyzny, nadwyżka kotów) będzie siedzenie w domu, cisza, słodczyce i święty spokój.

Obejrzałam przyniesione książki. Niestety, z powodu pośpiechu (wpadłam do biblioteki na pięć minut przed jej zamknięciem) wybrałam lektury bez głębszego zastanowienia. W dodatku, jak zwykle, zdenerwowałam się, gdy bibliotekarka, przewiercając mnie wzrokiem, spytała j o moje nazwisko. Nie wiem, czy coś podejrzewa, ale faktem jest, że na I terenie biblioteki zmieniam tożsamość. Przez krytyczną minutę, gdy ] bibliotekarka skanuje moją magnetyczną kartę czytelnika i rejestruje wypożyczone tytuły, przyjmuję postać Aldony Kwiatkowskiej, koleżanki ze studiów, która, nie korzystając z



karty, wspaniałomyślnie mi ją ofiarowała. Wypożyczam więc książki nielegalnie, ale kiedy patrzę, najszczerzej jak potrafię, w skupioną twarz bibliotekarki, kiedy moje sumienie kała łamanie bibliotecznego prawa, pocieszam się myślą, że wcześniej, z powodu braku zameldowania w Warszawie, z każdej biblioteki odprawiano mnie z kwitkiem. A czytać muszę, i basta.

Jest jeszcze jeden powód moich bibliotecznych stresów. Cierpię na syndrom czytelnika niezdecydowanego, czytającego kilka książek naraz. W dodatku, i chyba o to chodzi zimnej bibliotekarce, czytającego tak powoli, że prawie przy każdym zwrocie czeka na mnie świstek informujący o nałożonej na mnie karze za zwłokę.

Książki prezentowały się jak następuje:

1. Adam Mickiewicz *Pan Tadeusz*. W szkole Mickiewicz był zupełnie j niemodny, ja jednak byłam pod wrażeniem. Zastanawiałam się, jak można ciągnąć trzysta stron wierszem, ani razu się nie zająknąć i tworzyć rymy tak precyzyjne i trafne, że da się je wytłumaczyć jedynie dziełem geniuszu. Wzięłam go jednak tylko dlatego, że wywołuje wspomnienie domowego ciepła. A tego właśnie potrzebuję.

2. Lew Tołstoj *Anna Karenina*. Wzięłam sobie romans, sama nie wiem po co. Dwa tomy złośliwa bibliotekarka policzyła mi podwójnie! Okropna baba, ma na mnie oko, w dodatku odkąd wpisała mnie do jakiegoś durnego zeszytu, twierdzi, że obowiązuje mnie limit w wypożyczanych tytułach.

3. Stendhal *Czerwone i czarne*. Matko, co ja z tymi romansami...

4. Sue Townsend *Adrian Mole. Lat 13 i 1/2*. Angielski humor nigdy mnie nie bawił, postanowiłam więc się do niego przekonać.

5. Uschi Fellner *Być kobietą z klasą*.

Miałam jeszcze trzy książki z prywatnych zasobów, dwie należące do Sebastiana, jedną do Miśki, czyli: *Powiadki filozoficzne Woltera* i *Rozmyślenia Marka Aureliusza* (nawiedzony Sebastian) oraz Salvadora Dali *Moje sekretne życie* (Miśka).

„Leżałam w łóżku i spałam spokojnie, kiedy spodobało się niebu zesłać Bułgarów do naszego pięknego zamku Thunder - ten - tronckh. Zamordowali ojca i brata, matkę pokrajali na kawałki. Olbrzymi Bułgar, wysoki na sześć stóp, widząc, iż przejęta grozą straciłam przytomność, zabrał się do gwałcenia”.

Matko! Sebastian od dawna namawiał mnie na Woltera, ale chyba przecenił mój poziom przyswajalności klasyki. Obu panom dziękuję. Żadnych gwałtów, żadnych mordów. Żadnych facetów.

Sięgnęłam po *Być kobietą z klasą* i przeżuając milkę otworzyłam ją na pierwszej lepszej stronie: „Czekolada szybko i skutecznie niszczy linię. W używanej często dla pocieszenia zbolalej duszy czekoladzie jest do 60 procent cukru i 35 procent tłuszczu. A więc pakiet substancji, które gwarantują utratę figury”.

Wzruszyłam ramionami i przełknęłam rozpuszczony w ustach kawałek czekolady. Przerzuciłam kartki i otworzyłam książkę parę stron dalej. Tym razem trafiłam na kawałek bardziej praktyczny: „Techniki zapobiegania łzom”. Książka podawała krótką instrukcję: „Napinaj po prostu mocno mięśnie pupy - to powstrzyma łzy”. I dalej:

„Wyobraź sobie swojego szefa lub rozmówcę nago, tylko w wieńcu laurowym. Działa momentalnie rozweselająco”. Zajrzałam jeszcze tu i ówdzie i stwierdziłam, że książkę przeczytam. Zostanę „kobietą z dolarami w oczach a jednak kobiecą. Dzielną i samowystarczalną, a mimo to delikatną i kruchą.

Poczułam się zdecydowanie lepiej. Bo czy kobieta naprawdę potrzebuje chłopca? Czy potrzebuje wpatrzonych w siebie gał i wszystkich tych sentymentalnych bzdur? Kogoś, kto jej powie, że jest piękna? Kto jej zrobi herbatę? Sama mogę powiedzieć i sama sobie zrobić. Jestem silna i kocham siebie. Poczułam, że moja kuracja przynosi oczekiwany efekt: wiarę w siebie, odwagę i głęboki spokój. Zadowolona sięgnęłam po Adriana Mole'a. Ten smarkacz, niewiele wiedzący o życiu i jego trudach, uwodziciel od siedmiu boleści, z pewnością, rozerwie mnie swoimi fantazjami o nieletniej Pandorze. Uśmiechając się pod nosem, pociągnęłam za czerwoną okładkę z krzywo ustawionego stosu książek, ale zrobiłam to tak niefortunnie, że kupka lektur się rozsypała, a leżące na samej górze *Rozmyślenia* Aureliusza spadły na ziemię prosto w kubek z cappuccino. Zerwałam się na równe nogi, wyrzucając w górę talerzyk wafelków i kawałków czekolady i rozsypując je po łóżku i podłodze. Krzyknęłam, złapałam książkę zalaną gorącą kawą, teraz dodatkowo upstrzoną rozpuszczającymi się kawałkami czekolady i pędem pobiegłam do kuchni. Rozłożyłam książkę na stole i gąbką delikatnie starałam czekoladowe plamy. Suchą ścierką odsączałam przemoczone kartki, gdy Filek, najwyraźniej obudzony hałasem, usiadł w drzwiach kuchni,

pociągnął nosem i podniecony zapachem cappuccino, za które dałby się pokroić, wskoczył na stół i wbił głowę pomiędzy pachnące kartki. Wściekła, złapałam kota za kark i zrzuciłam go ze stołu. Ręce trzęsły mi się ze zdenerwowania. Sebastian mnie zabije, to było pewne, zabije mnie i odda na pożarcie bernardynowi, z którym codziennie przechadza się po osiedlu. I będzie miał rację. Co za idiotka ze mnie. Uczyli mnie w dzieciństwie, że książka plus jedzenie równa się katastrofa, ale człowiek nigdy nie pamięta tych odwiecznych mądrości. *Rozmyślenia* wyglądały fatalnie. Usiadłam na taborecie i bezmyślnie zapatrzyłam się w tekst rozmazujący się od łez: „Nie czuj wstrętu ani nie trać odwagi i nie popadaj w zwątpienie, gdy ci się nie powiedzie uczynić wszystkiego według zasad słuszności”.

Pociągając nosem, gapiłam się na pofalowaną od wilgoci kartkę. Przetarłam oczy i przeczytałam dalej: „Lecz zepchnięty z drogi, wróć na] powrót i czuj się zadowolonym, jeżeli większa część twych czynów jest bardziej zgodna z naturą ludzką, a miłuj to, do czego wracasz”.

„Lecz zepchnięty z drogi, wróć na powrót...” - powtórzyłam półgłosem.

„A popatrz, czy nie jest korzystniejsza dla nas wielkoduszność, swoboda, prostota, szlachetność, zbożność?”

Nagle doznałam olśnienia. Nachyliłam się nad książką i przebiegałam tekst wzrokiem jeszcze dwukrotnie. Łzy ponownie stanęły mi w oczach. Tym razem ze wzruszenia. Ściągnęłam pośladki (rzeczywiście pomogło) i ucałowałam wilgotną kartkę z wdzięczności

dla Marka Aureliusza, cesarza i filozofa, który przemówił do mnie tak trzeźwo i mądrze przez dzielące nas prawie dwa tysiące lat. Wielkoduszność, prostota, szlachetność. Oczywiście! Nie popadaj w zwątpienie. Zepchnięta z drogi wróc na powrót. Do Przewodnika Życiowego! Matko, gdzie ja go wsadziłam? Należy go koniecznie znaleźć, rozbudować i wprowadzić w życie. Poczulałam powracający spokój. Pogłaskałam Filka i przeprosiłam go za gwałt na jego woli. Wlałam mu do miseczki resztki cappuccino. Książkę rozłożyłam na kaloryferze. Bez irytacji sprzątnęłam pokój, ułożyłam książki, wytarłam zalany kawą dywan. Położyłam się do łóżka. Wyciągnęłam się wygodnie. Czym ja się właściwie martwię. Nie mam pracy, to fakt, chodzę na nieudane randki, to też fakt, jestem bez grosza, to także fakt, ale liczy się przecież wiara w siebie i słuszność drogi, którą się podąża. Wszystko, co mnie spotyka, to tylko przejściowy etap, który mnie zahartuje i wzmocni. Postanowiłam, po chwilowej burzy, jeszcze raz spróbować odnaleźć wewnętrzną harmonię. Po namyśle doszłam do wniosku, że najlepszą drogą będzie pogрузić się w lekturach, życiu intelektualnym, ascetycznym, cichym. Zajmę się własnym rozwojem i duchem, a reszta przyjdzie... Poleżałam przez chwilę oddychając i relaksując się. Zerknęłam na zegarek. Na dwójce zaczynał się właśnie dwusetny odcinek... Nie! Sięgnęłam po książkę. Pod książką, jak na złość, leżał pilot od telewizora. Włączyłam tylko na chwilkę, kiedy zadzwonił telefon:

-Co robisz? - odezwała się Miśka, gdy podniosłam słuchawkę.

-Czytam - powiedziałam, uczciwie gasząc telewizor.

Zauważyłam z przyjemnością, że mój głos nabrał przyjemnej barwy i głębi, prawdopodobnie pod wpływem niedawnego oświecenia.

-Świetnie. To w końcu wróci do mnie mój Dali. Zdaje się, że wzięłaś go trzy miesiące temu. Przebrnęłaś chociaż przez spis treści? - zarechotała.

-Oddam go za kilka dni - odpowiedziałam spokojnie, zdając sobie sprawę, że dobór lektury na dzisiejszy wieczór właśnie się dokonał. - Z czym dzwonicz?

-Jest ktoś u ciebie? - Miśka spytała podejrzliwie.

-To co się dzieje?

-A co ma się dziać?

-Matko, nic. Ale jakoś tak dziwnie gadasz... Nie możesz rozmawiać? Powiedz szczerze, mam zadzwonić później? - wyszeptała znacząco.

-Nikogo tu nie ma - powiedziałam tracąc cierpliwość.

-No, nie wiem... Okej. Jutro idziemy do Łazienek.

-Kto?

-Ty i ja.

-Pytasz czy informujesz?

-To zależy, czy chcesz pogadać o tym twoim Maćku.

Zupełnie o tym zapomniałam. Tego dnia, w którym odbyło się zebranie, przez telefon zrelacjonowałam Miśce jego przebieg i chciałam jak najszybciej poznać jej zdrowy punkt widzenia, bez śladu romantycznego zawrotu głowy. Teraz jednak było mi to całkiem

obojętne.

-Nie muszę o nim gadać, ale chętnie się przejdę - rzuciłam zupełnie szczerze.

-No to jutro w południe przy Frycku?

-Dobrze. W południe przy Chopinie - odpowiedziałam, nie zrażając się Miśkowym brakiem szacunku dla wielkich tego świata.

Sięgnęłam po Dalego, ale po przeczytaniu kilku stron, odłożyłam go zniechęcona. Jego metaforyczny, skomplikowany język podziałał na mnie odpychająco. Po telefonie Miśki poczułam, że płomień mojego duchowego odrodzenia zdecydowanie przygasł. Najwyraźniej powinnam ograniczyć kontakty z ludźmi. Z pewnością średniowieczni pustelnicy mieli rację chowając się w pieczarach i jaskiniach przed pustką otaczającego ich świata. Włączyłam telewizor, poskakałam po kanałach, przeczytałam rozdział z Kobiety z klasą o ćwiczeniach na jędrny biust i poszłam spać. Niestety, zupełnie wypadłam z nastroju. To żalosne, ale zasypiając, całkowicie wbrew sobie, myślałam o niebieskich oczach Maćka. O, Aureliuszu!

\* \* \*

Siedziałyśmy z Miśką w Łazienkach. Co nam do łbów strzeliło, żeby w taki ziąb wlec się do Łazienek? Przycupnęłyśmy na skraju ławki i rozejrzałyśmy się po pustej przestrzeni. Zimno, ale pięknie. Powyginane gałązki kasztanów pokryła cienka warstewka szronu, staw ściał lód, trawniki wyglądały jak srebrne dywany. Kaczki zabawnie ślizgały się po zamrożonej tafli.

-Ty, te kaczki mają czerwone łapy. Myślisz, że im odmarzły?

Spojrzałam na Miškę z politowaniem. Co ona, biologii nie miała? Kaczki mają czerwone łapy. Przez cały rok.

Miška zamyśliła się. Po chwili wyciągnęła chusteczkę i wytarła nos.

- À propos. Chyba coś mnie łapie - zażartowała melancholijnie.

Milczałyśmy grzebiąc obcasami w ziemi.

- Miška, miałaś mi doradzić w sprawie Maćka - odezwałam się.

- Przed chwilą mówiłaś coś o ascetyzmie i parciu na samodoskonalenie.

Wzruszyłam ramionami. Owszem, mówiłam i podtrzymuję, ale skoro pojawił się facet, nie będę udawać, że go nie ma.

Miška oparła łokcie o kolana i przejechała ręką po hebanowych włosach.

-Nie wiem, czy jesteś w stanie to przyjąć, ale proszę. Poznałaś mężczyznę. Masz z nim pracować. Jest inna kobieta. To wszystko równa się kłopoty. - Podniosła głowę i spojrzała mi w oczy. - Uważaj na niego, nie ufam mu.

-Maćkowi? - spytałam zaskoczona.

-Czuję go nosem - donżuan. Poza tym myślę, że jest partyjny, a ta spółdzielnia to tylko przykrywka. Chce dać się poznać jako ambitny działacz, to mu się przyda w karierze. Założę się, że będzie startował w wyborach samorządowych. Ewka, taki ma ściśle wyznaczoną ścieżkę i odpowiednio traktuje ludzi. Jeśli się możesz przydać, to cię wyłowi z tłumu, jeśli będziesz zawadą,



szybko usłyszysz adieu. Tak to widzę.

Oślupiałam. Odbiło jej czy co?

-Miśka, co ty wygadujesz. Od dawna już nie żyjemy w czasach pezetpeeru. A poza tym do czego niby miałabym mu się przydać?

-Nie bój się.

Po chwili dorzuciła:

- Natura partyjnych jest zawsze taka sama. Stosował już jakieś gierki manipulacyjne? Chwalił cię albo po ojcowsku doradzał? To kwestia czasu. Urobi cię jak świeżą glinę, tacy potrzebują wiernej świty. Znałam kiedyś takiego, to wiem. Kilka razy zaprosił do kina, a potem, w imię przyjaźni, kolportowałam jego przedwyborczą podobiznę. Koleżanki ze studiów pukały się w czoło, ale dopiero po miesiącu zrozumiałam, że jestem jego marionetką. Tu czuję to samo. Przykro mi, Ewka, ale chciałaś szczerze.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Spodziewałam się różnych rzeczy: radości z nowo otwartych perspektyw, słów otuchy, błogosławieństwa, ale na pewno nie deptania ledwo kielkującego uczucia. Chciałam coś powiedzieć, ale Miśka podniosła rękę, wyrażając niechęć do dyskusji.

- Nie chcę polemizować. Pytałaś o moje zdanie i oto ono: lowelas i partyjniak, szczerze mówiąc najgorsza mieszanka. Moja rada: trzymaj się od niego z daleka.

Wstała i otrzepała pośladki.

- Choć na spacerek - wyciągnęła grabę.

Przełknęłam rozczarowanie. Miśka się absolutnie, ale to absolutnie pomyliła. Wystarczyłoby, żeby spojrzała w te jasne ciepłe oczy, a wiedziałaby, że jej intuicja jest całkowicie błędna. Chociaż... Przypomniał mi się czarujący Cezary. Zapowiadało się przecież miło. A Oleś? Też byłam pełna nadziei. Nie! Tym razem Miśka z pewnością trafiła kulą w płot, ale niech będzie, czujność nie zaszkodzi. Tak na wszelki wypadek.

Powędrowaliśmy pustymi alejkami, ślizgając się po zamarzniętym błocie.

\* \* \*

Zmarznięte na kość, wstąpiłyśmy na herbatę do pierwszego napotkanego pubu. Usiadłyśmy przy brudnym stoliku, zalanym piwem i przyprószonym kawałkami chipsów. Miśka rzuciła płaszcz na poręcz krzesła i udała się do toalety. W drodze do łazienki nie omieszkała zakomunikować barmanowi, że na naszym stoliku jest mały chlew i że ktoś powinien to sprzątnąć. Dość szybko pojawił się kelner. Przejechał po stole wilgotną szmatą, zrzucając kawałeczki chipsów na podłogę. Zamówiłam dwie herbaty i dwa piwa z sokiem.

Kiedy kelner stawiał przede mną półlitrowe piwo, ktoś uszczypnął mnie w ramię. Za mną stał Maciek. Obok, przyklejona do jego boku, szczyrzyła się długonoga blondynka w krótkiej mini.

- Cześć - odezwałam się, zupełnie zaskoczona.

Maciek szepnął dziewczynie coś do ucha, na co ta kiwnęła do mnie ręką i oddaliła się w głąb sali.

Maciek przysiadł się do stolika.

-Mogę na chwilkę? Jesteś sama? - zerknął w stronę baru.

-Nie, nie jestem sama... - zawiesiłam głos. Nie chciałam wspominać mu o Miśce, która jeszcze pół godziny temu opowiadała o nim rzeczy straszne, nie chciałam też kłamać...

-Rozumiem, nie pytam. Ja jestem ze znajomymi, siedzimy w drugiej sali, może się do nas przyłączysz... przyłączycie...

Odwróciłam głowę i zobaczyłam w głębi kilka osób siedzących przy dwóch złączonych stolikach. Półmrok i chmura dymu nie pozwoliły mi dostrzec twarzy. Wiedziałam, że odmówię. Po pierwsze z powodu Miśki, która nie nadaje się do kulturalnego towarzystwa, po drugie, mojego stroju, który prezentował się jak następuje: dzinsowa spódnica do pół łydki, z małą plamą na przedzie, której nie da się usunąć, modna, ale w ubiegłym sezonie, grube rajstopy koloru nieokreślonego, stary, brązowy golf, w którym nie jest mi do twarzy (zabieram go tylko na spacer w mroźne dni, takie jak dziś), szalik zrobiony przeze mnie na drutach, przykrótki, w dodatku skurczył się w praniu. Szalik mogłabym wprawdzie zdjąć, ale cała reszta? Nie zapomniałam też o czerwonym nosie i naelektryzowanych włosach, które jak zwykle uniosły mi się zarazi po zdjęciu czapki. I o czym ja bym z nimi mogła rozmawiać? Nie przeczytałam ostatnio żadnej modnej książki, od dawna nie byłam w kinie, w dodatku mam obniżenie nastroju...

Spojrzałam na drzwi toalety.

-Dziękuję, może innym razem. Dzisiaj nie mogę...

Nie wiem dlaczego, kretyńsko się zarumieniłam.

Maciek spojrzał za moim wzrokiem.

-Rozumiem, wycofuję się. Do zobaczenia w czwartek.

Spojrzał mi w oczy, podniósł moją rękę do ust i pocałował...

Matko!

Chwilę później wróciła Miśka.

-Myślałam, że już po mnie - odezwała się. - Zacięłam się w tej cholernej toalecie, jeśli się tam wybierasz, omijaj środkową. To co, zdrówko? - podniosła szklankę z piwem do ust.

-Miśka, wypijmy to piwo i chodźmy stąd - poprosiłam. Usłyszałam śmiech z sali obok. Kobięcy głos zawołał: „Gorzko, gorzko!” i rozległ się chichot kilku dziewczyn. Obok nas przeszła długonoga blondynka i oparła się o blat kontuaru. Miała na sobie obcisłą bluzkę z dekoltem, dżinsową i spódniczkę i kabaretki. Żując gumę zamówiła martini.

-Miśka, podle się czuję. Nie mam fajnych ciuchów, ładnej bielizny, kosmetyków... Jak zarobię u malarza, pójdiesz ze mną na zakupy? Do - ] radzisz mi?

Miśka spojrzała na mnie zdeglustowana.

-Zdaje mi się, że jeszcze przed chwilą rozmawialiśmy o budowaniu ducha. Nastrój ci spada szybciej od ciśnienia. Chciałabym spokojnie i z tobą pogadać, więc nastrój się na wewnątrz...

-Jak mogę się nastroić, kiedy mam na sobie bawełniane gacie... - powiedziałam ze złością. Barman spojrzał na mnie z zainteresowaniem. ...w kwiatki i w dodatku - dodałam półgłosem

- rozciągnięte.

Miśka westchnęła, przypomniała mi o Aureliusz, o którym jej trułam przez pół spaceru, wygarnęła mi od niestałych emocjonalnie i ideowo kretynek, dodała, że jak zarobię forszę, to może mi doradzi i spokojnie pociągnęła wątek, który rozpoczęła jeszcze w Łazienkach. Sztuka, literatura, muzyka podnoszą nas z miałkości tego świata. Nasza inteligencja warta jest więcej niż jakiegokolwiek dobra materialne, nasza wyobraźnia to kopalnia, nasze poczucie humoru to skarb...

Zgadzam się, zgadzam, krzyczało coś we mnie, gdy słuchając, kątem oka mierzyłam kozaczki z mięciutkiej skóry na nogach blondynki, która kilkakrotnie podchodziła do baru. Miśka ma rację. Żadne kozaczki nie zastąpią bogactwa ducha. Ale czy z kozaczkami mi tego ducha ubędzie...

Pytanie zawisło w powietrzu. Miśka nie odpowiedziała, dopiła piwo i wyciągnęła mnie z knajpy na ulicę. Wzięłyśmy się pod ręce i ruszyłyśmy na przystanek. Chwilowo kozaczki rozplynęły się w chmurze naszych oddechów i w popołudniowej mgle.

\* \* \*

Trafiłam do małego pokoju w biurowcu spółdzielni na piętnaście minut przed umówionym czasem. Maćka ani Lidki jeszcze nie było. Rozejrzałam się po pomieszczeniu w poszukiwaniu jakiegoś lustra, ale żadnego nie znalazłam. Byłam wściekła. Głupia wichura, która mnie tu przywiała, fatalnie obeszała się z moją fryzurą, którą przed wyjściem starannie układałam. Przeczesałam ręką sterczące włosy.

Przetrząsałam torebkę w poszukiwaniu puderniczki, kiedy wszedł Maciek.

- O, już jesteś, świetnie. Lidka się spóźni, odbiera sukienkę z pralni. Jutro idziemy na balet - rzucił od niechcienia i rozsiadł się wygodnie na krześle.

Jego wypowiedź od razu siadła mi na nastrój. Łączy ich coś czy nie? Chyba tak, skoro idą razem do teatru. A może są rodzeństwem?

- Fajnie - odezwałam się i puściłam oko. - Lidka to twoja dziewczyna?

W duchu skrzyłam się w paragraf. Maciek pokręcił głową.

- Przyjaciółka. Znamy się od piaskownicy.

Roześmiałam się. Odchrząknęłam. Wygładziłam spódnice.

Byłam okropnie spięta. Zajrzałam do torebki w poszukiwaniu długopisu, mamrocząc pod nosem swoje pomysły. Kiedy okazało się, że długopisu nie mam (matko! przecież go wkładałam), Maciek wygrzebał z szuflady zielony cienkopis i wręczył mi go z ojcowskim uśmiechem. Na pustej kartce narysowałam wielki prostokąt.

- To pierwsza strona, chcę ci to rozrysować, bo już rozplanowałam tematy. Tu są pomysły - pokazałam plik kartek.

-Świetnie się spisałaś. - Maciek poklepał mnie po ramieniu.

Wyszczrzyłam zęby.

- Naprawdę, to ważny i cenny wkład w nasze wspólne osiedlowe dzieło - dodał i spojrzał mi w oczy, długo i przeciągle.

Serce zabiło mi mocniej. Już chciałam skromnie zaprzeczyć, uszczęśliwiona pochwałą, kiedy przed oczami stanęła mi ławka w

Łazienkach, kaczkę i Miśka z czerwonym nosem. Czy to gierka manipulacyjna, o której mówiła? Czy możliwe, żeby miała rację? Matko! Że też ta Miśka musi siedzieć mi w głowie i wyskakiwać zawsze w najmniej odpowiednim momencie. Stłumiłam złe myśli i uśmiechnęłam się.

- To nic wielkiego, sama przyjemność - powiedziałam głośno, zaraz jednak pomyślałam, że tak pewnie przemawia partyjny aktywista. - To znaczy, natyrałam się przy tym jak jasna cholera - dodałam bez przekonania.

Spojrzałam na Maćka, przeklinając w duchu Miśkę, jej chorobliwą obsesję i własną głupotę. Maciek bratersko otoczył mnie ramieniem i lekko uściskał.

- Doceniamy to. To doskonała postawa...

Zamarłam. Postawa postawą, ale... takiej fizycznej bliskości mogłam się spodziewać najwcześniej na trzeciej randce. Poczułam się nieswojo. Nagle Maciek potrząsnął mną energicznie, zaśmiał się gardłowo i powiedział:

- Dobrze, że jesteś, nasza koleżanka czuje się niedoceniona, a wykonała kawał dobrej roboty.

Nie zrozumiałam, o co mu chodzi, dopóki nie zorientowałam się, że patrzy na coś za moimi plecami. Odwróciłam głowę. W drzwiach stała Lidka.

-Widzę, że zaczęliście beze mnie, dużo zrobiliście? - jej głos był ostry jak brzytwa.

-Jeszcze nic - starałam się ukryć zakłopotanie. - Właśnie

rozpisuję projekt pierwszej strony.

-Pokaż.

Lidka nachyliła się nad kartką. W za dużym dekolcie dostrzegłam koronkę śnieżnobiałego stanika. Zerknęłam na Maćka. Huśtał się na krześle, na ustach błąkał mu się tajemniczy uśmiech. Lidka usiadła na biurku i założyła nogę na nogę. Spojrzała na mnie prowokacyjnie. Zmieszałam się, zająknęłam, ale nie dałam zbić się z tropu. Rzeczowo i bez emocji przedstawiłam schemat pierwszej strony i pomysły na dwa kolejne numery, między innymi prezentację mieszkańców, którzy prowadzą niekonwencjonalną działalność lub mają ciekawe hobby.

- To może mnie pokażemy, rysuję konie, mam już trzydzieści prac, mogłabym zrobić małą wystawę - rzuciła dumnie Lidka.

Zerknęłam na Maćka. Wzruszył ramionami.

-Lidziuś, mamy redagować gazetę, a nie wystawiać się na okładkę.

-Na okładkę? Nie uważasz, że super wyglądałabym na okładce?

- odchyliła się patrząc na Maćka spod przymrużonych powiek.

Maciek uśmiechnął się z przekąsem.

- Trzeba by było zrobić sesję, pomyślimy...

Lidka spojrzała na mnie, miałam wrażenie, że triumfująco. Maciek zmienił temat:

- A co do jutra, kotku, to mówiłaś że masz jeszcze jeden bilet. Proponuję, żeby Ewa poszła z nami. Jeśli mamy być zespołem, należy się integrować.



Lidka zawahała się.

- Jasne - powiedziała zimno. - Spotkamy się w holu, przyniosę dla ciebie bilet.

Zatrzymała na mnie wzrok. W jej oczach dostrzegłam ostrzeżenie.

\* \* \*

Wpadłam do domu i od razu złapałam za telefon. Wykręciłam numer Sylwii i w napięciu czekałam na połączenie. Za chwilę usłyszałam jej śmiejący się głos.

-Sylwia, uratujesz mi życie? - spytałam proszącym głosem.

Sylwia ucieszyła się, że dzwonię. Słyszała od Miśki, że nie mam pracy, że stosuję jakieś alternatywne sposoby zarobkowania, że jest to z pewnością obiecujące i twórcze, ale wymyśliła dla mnie coś zdecydowanie lepszego. Kolega Jerzyka, naczelny „Życia Gospodarczego”, szuka stażystów. Pieniądzy z tego nie ma, ale jeśli się sprawdzę, może dostanę etat. Co ja na to? Muszę się zdecydować jak najszybciej i pójść tam najlepiej jutro, z samego rana. Zdecydowałam się. A jeśli chodzi o sukienkę (w końcu wydusiłam z siebie, po co dzwonię), po krótkiej analizie sytuacji, ustaliłyśmy, że Sylwia pożycz mi swoją czarną koronkową suknię z Paryża i małą zgrabną torebkę. Podrzuci mi je w drodze do salonu. Jedzie po odbiór nowych rękawiczek, które właśnie przyjechały z Wiednia. Nie minęła godzina, a na moim łóżku leżała najpiękniejsza w świecie kiecka, długa do pół łydki, z krótkimi, lekko pofalowanymi rękawkami. Z czułością dotykałam misternych koronek. Zaczepiłam

wieszak z sukienką i na żyrandolu. Leżąc w łóżku gapiałam się na to cudo i zasypiałam pełna błogiego szczęścia.

\* \* \*

Gmach przy Kruczej robił ponure wrażenie. Z miejsca odezwała się we mnie tłumiona niechęć do makabrycznych wytworów realnego socjalizmu, mimo to wzięłam głęboki oddech i weszłam do środka. Na końcu długiego korytarza znajdowały się uchylone drzwi. Wiedzioną intuicją skierowałam się w tamtą stronę. Nie pomyliłam się - wmontowana w ścianę tabliczka informowała, że redakcja „Życia Gospodarczego” znajduje się właśnie tutaj. Stałam w progu. Wielki pokój wypełniony biurkami, przy których, z nosami w monitorach komputerów, siedziało kilkanaście osób, z miejsca podziałał na mnie odpychająco. W każdym kącie piętrzyły się stosy gazet, papierów, jakichś teczek. Ciężki betonowy sufit przytłaczał. Światło sączące się ze świetlówek i nocnych lampek rzucało na wszystko żółtą poświatę, tworząc w wielu miejscach załamania i cienie, przez co redakcja zdawała się najbardziej obcym i nieprzytulnym punktem na ziemi, jaki dotąd widziałam. Przekroczyłam próg sali. Nikt nie podniósł na mnie wzroku. Powiedziałam „dzień dobry”. Nikt nie zareagował. Stojąc w progu, niewidoczna i niesłyszalna dla nikogo, pomyślałam, że ostatni raz dałam się w coś takiego zrobić. Że zamorduję Miśkę, Sylwię, Jerzyka i całą resztę. Że wrócę do domu i upiję się...

Nagle jeden z dziennikarzy oderwał się od mrugającego ekranu monitora i przeniósł na mnie znudzone spojrzenie. Zapytał, prawie nie poruszając ustami:

- Stażystka? Kiwnęłam głową.

- Do szefa. - Wskazał głową w głąb sali i na powrót pochylił się nad klawiaturą.

W miejscu wydzielonym regałem, pod balkonowym oknem, przy wielkim biurku obłożonym papierami siedział łysawy jegomość w okularach. Odchylił się w fotelu i zsunąwszy okulary na czubek nosa studiował gazetę. Podeszłam niepewnym krokiem. Dopiero gdy zobaczyłam, że szef jest młodym człowiekiem, niewiele starszym ode mnie, poczułam się lepiej. Kiedy stanęłam przy jego biurku, po raz drugi powiedziałam „dzień dobry”. Ponieważ nie zareagował, powiedziałam „dzień dobry” po raz trzeci, pamiętając, że człowiek pewny siebie, wewnątrz ze sobą pogodzony i zharmonizowany mówi głosem stanowczym i odpowiednio głośnym.

-Trochę cierpliwości - naczelny odezwał się szorstko. Po chwili podniósł na mnie pełne niechęci spojrzenie:

-No i czego pani tak sterczy. Proszę siadać.

Usiadłam na przetartym zydelku, który kiedyś, w czasach swojej świetności, był zapewne fotelem. Powtarzałam w duchu afirmacje przeznaczone na dzisiejszy dzień: „Wypełnia mnie spokój, wypełnia mnie harmonia, lubię siebie”. Po chwili mężczyzna odłożył gazetę i wbił we mnie wzrok.

- Pani CV - powiedział i wyciągnął rękę.

- Mam na dyskietce - odparłam nieco skrępowana. Kiwnął ręką na znak, bym mu ją dała.

Wyciągnęłam z torby dyskietkę. Naczelnny włożył ją do kieszeni

komputera i uruchomił. Zmarszczył brwi.

-Ćwiczenia duchowe otwierające... Co to? Gdzie to CV?

Znieruchomiałam. Nerwowo przetrząsnęłam torbę. Na dnie spoczywała właściwa dyskietka.

- Przepraszam - powiedziałam. Poczułam duszność. Socrealistyczne mury robiły swoje.

Mężczyzna zamienił dyskietki i przysunął się do ekranu monitora.

- Świeżo po studiach dziennikarskich. Żadnego doświadczenia. Praca fakturzystki? To pani pasja? - zapytał i uśmiechnął się cierpko. Nie czekał na odpowiedź. - Dlaczego pani chce tu pracować? Interesuje panią gospodarka?

Byłam przygotowana na to pytanie.

- Będę szczerą. Nie znam się na gospodarce, ale bardzo chcę się rozwijać i poznawać różne gałęzie wiedzy. Z czasem zdecyduję, w czym chcę i się specjalizować. Bardzo bym chciała spróbować u państwa...

Szef podniósł rękę. Przerwałam.

- Dobra. Zrobimy tak. To jest ostatni numer „Życia Gospodarczego”. Proszę się z nim zapoznać i wymyślić temat, na który warto by pisać, oczywiście biorąc pod uwagę nasze działy tematyczne i profil. Najlepiej widziane są teksty dotyczące problematyki unijnej. Proszę przyjść jutro o czternastej, będzie kolegium, to od razu zobaczy pani, jak to wszystko działa.

Podniosłam się z miejsca i wyciągnęłam rękę. Facet spojrzał na

mnie bez sympatii:

-Coś jeszcze?

-Moja dyskietka - powiedziałam.

Pożegnałam się, do grupy skupionej przy komputerach bąknęłam „do widzenia” i zamknęłam za sobą drzwi. Na ulicy odetchnęłam z ulgą. W pierwszej chwili pomyślałam, że miejsce jest okropne i nie chcę tam więcej wracać, ale potem, jadąc zatłoczonym tramwajem, stwierdziłam, że nie było tak źle. Świadomość otwartej drogi, zapalającej się szansy, trudnej, ale wiodącej do kariery ścieżki, podziałała na mnie jak zastrzyk energii. Pomyślałam z entuzjazmem, że chyba zaczyna się nowy rozdział mojego życia.

Pół dnia spędziłam przed komputerem, wyszukując w Internecie informacje na temat Unii, jej historii, struktur i unijnych dofinansowań. Ponieważ do tej pory byłam w tej dziedzinie zielona jak trawa na wiosnę (mimo usilnych prób wykładowców, parlamentarzystów, a nawet prezydenta, by mnie wybić z mojej indolencji), szło mi to opornie. Przeczytałam kilka artykułów z archiwalnych numerów prasy przedakcesyjnej, zajrzałam na strony kilku partii, przeczytałam argumenty za przystąpieniem do Unii i przeciw, po czym wzbogacona o tę wiedzę przystąpiłam do wymyślania tematów prasowych. Utknęłam bardzo szybko. Jeszcze szybciej uznałam całą sprawę za idiotyczną pomyłkę. Wymyślić ciekawy temat, który zainteresowałby czytelników „Życia Gospodarczego”, ludzi, którzy na temat gospodarki wiedzą o niebo

więcej niż ja, to naprawdę śmieszne. Wiedziałam jednak, że redaktora to raczej nie rozbawi, więc, chcąc nie chcąc, przystąpiłam do dalszej pracy intelektualnej. I wpadłam na pewien pomysł. Na jednej ze stron internetowych znalazłam informację o pomocy unijnej dla młodzieży, która chce założyć własny biznes. Podano adres punktu, który udziela na ten temat wyczerpujących informacji. To było to. Nie pozostało mi nic innego jak tam pójść, najlepiej jutro, zaraz po kolegium.

\* \* \*

Do teatru przyjechałam w ostatniej chwili.

Wszystko przez Miškę. Obiecała mi pomóc w upinaniu włosów, ale odkąd przekroczyła próg mieszkania, nie przestawała nudzić o nieocenionych zaletach Edka, o tym, co jej ostatnio kupił, co naprawił i jaki jest dobry, bo kiedy stłukła jego ulubiony kubek, to tylko rzucił jakieś niewinne przekleństwo, i to od niechcenia, a potem ją przytulił i powiedział, że kubek i tak był brzydki i że nic nie szkodzi. Miška się obraziła, bo to by kubek od niej, o czym Edek zapomniał, i teraz on przeproszał, co było bardzo miłe i Miśce jest z nim jak w niebie. I w co ja się pakuję? I po co tyle pudru? I ona mi odradza! Przez to jej paplanie nie opowiedziałam jej o wczorajszej wizycie w redakcji i być może wreszcie szansie na normalną pracę. Koniec końców wyszłam z domu piętnaście minut później niż planowałam.

Lidka i Maciek czekali na mnie w holu. Maciek, w ciemnogrnatowym garniturze, podtrzymywał pod łokieć rozpromienioną Lidkę, szepcząc jej coś do ucha. Lidka śmiała się głośno, odrzucając do tyłu głowę. Miała na sobie mocno

wydekolowaną wiśniową sukienkę i naszyjnik z pereł Przywitaliśmy się. Ze strony Lidki wyraźnie czułam niechęć. Wbrew same sobie zimnym spojrzeniem oddałam jej pięknym za nadobne.

- Zapraszam, moje panie - Maciek tryskał humorem, najwyraźniej zadowolony z towarzystwa dwóch wpatrzonych w niego idiotek, które jeszcze chwila, a będą się tarzać po lśniących kaflach w zapaśniczym uścisku, szarpiąc się za włosy i okładając torebkami. Postanowiłam nie dać się sprowokować.

-Ładnie wyglądasz - powiedziałam do Lidki zupełnie szczerze.

Lidka zmierzyła mnie wzrokiem.

- Dziękuję, ty też - bąknęła pod nosem, ale zaraz dodała. -  
Chociaż zdaje się, że czerń nie jest dla ciebie najlepszym kolorem.

Maciek roześmiał się.

- Dziewczyny, przestańcie - powiedział jak strofująca mama. Przełknęłam złośliwość. Po chwili, wstępując po schodach, z satysfakcją dostrzegłam w pończochach Lidki malutki zadziór. Za kilka minut będzie z tego oko, że hej.

Rozpoczęło się przedstawienie i natychmiast zapomniałam o Lidkowych przytykach. Wciśnięta w fotel, z zapartym tchem śledziłam taniec zakochanej pary. Zakochanej, ale nieszczęśliwej. Nieszczęśliwej, bo rozdzielonej. Ich piękne ciała, delikatny dotyk, nieme wyznania wyrażały miłosną tęsknotę gestem tak sugestywnym, subtelnym i wzruszającym, że poczułam dławienie w gardle...

I wtedy Maciek wziął mnie za rękę... Zamarłam...

Kciuk przejechał po moim nadgarstku... Znieruchomiałam...

Wbiłam wzrok w baletnicę... Baletnica podniosła nogę...

Młodzieniec wykonał piruet...

Gorące palce przesunęły się po mojej dłoni...

Odchrząknęłam...

Baletnica, uniesiona wysoko, płynęła w ramionach ukochanego...

Oplotła ramiona wokół szyi młodzieńca... Kochanek objął jej głowę... Zbliżyli usta...

- Przepraszam, muszę iść do toalety - szepnęłam w powietrze. Lekko pochylona, przeciskałam się między siedzeniami, potykając się o nogi widzów. Towarzyszyły mi cmokania i uwagi niezadowolenia.

Byłam wściekła. Co on właściwie sobie myśli? I co to ma wszystko znaczyć?! Widać wyraźnie, że coś go z Lidką łączy, i to na pewno nie jest przyjaźń. Przynajmniej nie z jej strony. Kobieciarz. Obrzydliwiec bez uczuć. Miałam dość. Postanowiłam iść do domu.

Podaliśmy numerek sennej szatniarce i czekałam na płaszcz, gdy nagle ktoś mocno chwycił mnie za ramię. Maciek patrzył na mnie rozplomienionym wzrokiem. Poczułam, że miękną mi kolana.

- Ewa, bardzo cię proszę, pozwól mi wyjaśnić. Czy mogę wpaść do ciebie zaraz po spektaklu, jak tylko odprowadzę Lidkę? - powiedział trzymając mnie za rękę.

Co za tupet, pomyślałam. „Jak odprowadzę Lidkę”? Wstrętny gad. Naprawdę chciałam odmówić i naprawdę nie wiem, jak to się stało, ale kiwnęłam głową wyrażając zgodę. Maciek pocałował



opuszek mojego wskazującego palca i wrócił na salę. Spojrzałam w kryształowe zwierciadło. Śmiały mi się oczy.

\* \* \*

- Głupia jesteś - zawyrokowała Miśka, kiedy opowiedziałam jej całe zdarzenie. - Po palcach całuje? Ja bym mu powiedziała...

Zawrzałam. Wisiałam na telefonie od dobrych paru minut, żeby się z przyjaciółką uśmiechem losu podzielić, a ona taka?!

- Co ty wiesz o miłości! - prychnęłam w słuchawkę. - Prawdziwe uczucie nie trzyma się konwencji. Jeśli chłopak robi coś inaczej niż w podręczniku dobrego wychowania, to od razu idzie na odstrzał? To ty jesteś głupia.

Miśka nie dała wytrącić sobie miecza. Jej ostry ozór siekł bez opamiętania.

- Jak ciebie słucham, to widzę kiepską mydlaną operę. Mówię to, bo mi leży na sercu twój los, sieroto, i nie chcę, żeby cię jakiś palant wykorzystał.

Tego było za wiele. Palant?! Nie zna Maćka, nie widziała go na oczy, a tak się o nim wyraża, zołza jedna?

- Michalino Węgiełko - odpowiedziałam z godnością - myślę, że ta rozmowa nie ma sensu. Przykro mi, że taka płytka jesteś i wyjąłowiona z wszelkiego romantyzmu. Żegnam.

Odkładając słuchawkę, usłyszałam jeszcze pośpiesznie wykrzykniętą uwagę: „Taksówki ci dupek nie zamówił!” Słuchawka spoczęła na widełkach. Gotowałam się jak jaja na twardo. Żesz ta Miśka! Wszystko potrafi popsuć. Że nie zamówił taksówki? Że

pozwolił odejść w ciemną listopadową noc? Może to i prawda, ale... A co ją to obchodzi?! Głupia Miśka! Zrobię sobie herbaty!

\* \* \*

Siedziałam wpatrzona w ścianę, nieruchoma, z poprawioną fryzurą i makijażem. Na taborecie obok dymiła miętowa herbata. Co mi powie? Jak mam się zachować? A jeśli zechce mnie pocałować, co zrobię? Miałam zimne ze zdenerwowania ręce. Jakie pocałować, bzdury wymyślam! Jest tylko moim kolegą. Po prostu porozmawiamy.

A może Miśka ma rację? Może straciłam głowę i nie widzę oczywistych faktów. Czy tak się zachowuje dżentelmen, zostawia dziewczynę na pastwę losu?

Nie! Nie dam sobą Miśce sterować. Będę głucha na jej natrętne mentorstwo i posłucham własnej intuicji. Po prostu o wszystko zapytam...

Powietrze przeszył dźwięk dzwonka. Tylko spokojnie!

Najpierw zobaczyłam czerwony nos, a potem dotknęła mnie lodowata ręka.

- Jestem - powiedział Maciek. Na jego twarzy igrał delikatny uśmiech.

„No przecież widzę. Właż i mów, o co chodzi, bo późno” - pomyślałam, czując przyływ gniewu. Pozwolił mi odejść samej w noc, a przecież mogli mnie napaść, okraść, zamordować! Mało to bandziorów w Warszawie?!

- Napijesz się herbaty? - spytałam sucho.

Kiwnął głową. Usiadł na łóżku rozcierając zziębnięte ręce. Kiedy weszłam z gorącą filiżanką, stał przy półce z książkami i odczytywał tytuły.

- Widzę, że masz Tolstoja. Podobno geniusz, ale ja wolę Stachurę. Czytałaś?

Spojrzałam spode łba. Żalotne. Bierze mnie na Stachurę. Ten stary numer ze mną nie przejdzie.

- Nudny jak flaki z olejem.

Maciek odchrząknął. Spojrzał na mnie poważnie.

- Postaw tę herbatę i usiądź, proszę. Nie chcę zabierać ci czasu, a muszę coś wyjaśnić. Po pierwsze, strasznie mi głupio, że wypuściłem cię samą z teatru. Sytuacja wymknęła mi się spod kontroli, chyba straciłem głowę. Naprawdę bardzo mi przykro. Wybaczysz mi?

Spijałam słowa z jego ust. A widzisz, Miśka...

Zaśmiałam się, odrzucając do tyłu głowę.

-Nic się nie stało, nie jestem małą dziewczynką.

-Zdaje mi się, że masz do mnie żal.

-Nie mam żalu.

-Ale gniewasz się.

-To czemu jesteś zła?

-Nie jestem zła.

-No to smutna.

-Nie jestem smutna.

-Przecież widzę.

Maciek przysunął się bliżej i wziął mnie za rękę.

-Nie gniewam się, ale wybaczam - wymamrotałam.

Siedziałam spięta jak agrafka. Miałam wrażenie, że zagęściło się powietrze.

-Nie przejmuj się - przerwałam krępującą ciszę. Wyszczrzyłam zęby, wyciągnęłam rękę z jego dłoni i po kumpelsku poklepałam go po kolanie.

Maciek ponownie sięgnął po moją dłoń, pocałował ją i zajrzał mi w oczy. Zabrałam rękę i podrapałam się po ramieniu.

- Miałeś mi coś wyjaśnić. Szczerze mówiąc, trochę dziwnie się czuję. Jesteś dla mnie bardzo miły, a widzę, że Lidce to się nie podoba. Nie chciałabym, żeby między nami były jakieś nieporozumienia. Mamy przecież współpracować - starałam się być rzeczowa i zrównowazona. Podałam mu cukierniczkę.

- Zakochałem się w tobie.

Zamarłam w pół gestu. Zastygłam jak żona Lota. Zatkaną mnie.

Następną minutę przesiedziałam jak rażona prądem: sufit się zakołysał, pokój zawirował, temperatura gwałtownie podskoczyła. Pociemniało mi w oczach, zadzwoniło w uszach. Przełknęłam ślinę. Oszołomiona wertowałam w głowie strony wszystkich przeczytanych romansideł. Co teraz powinnam zrobić? Wtulić nos w kołnierz jego wełnianej marynarki i szlochać ze szczęścia czy rzucić się na niego i obłąkańczo całować?

-Przyniosę ciasteczka - na miękkich nogach wyszłam do kuchni.

Usłyszałam, że podniósł się z łóżka. Przerazona przywarłam do kuchenki. Maciek stanął w drzwiach.

-Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, mówię to pewnie zbyt szybko, ale tak czuję i chcę być wobec ciebie szczery.

-Oczywiście - rzuciłam z głupia frant.

Zrobił krok w moją stronę. Chciałam się cofnąć, ale nie miałam gdzie. Kant kuchenki boleśnie wrzynał się w moje plecy. Objął mnie w pól. Pochylił się nade mną i przymknął oczy.

-Ała!... - poruszyłam się nerwowo.

-Co się stało?

-E... nic, kuchenka...

Przeszłam do pokoju i usiadłam w kącie łóżka. Maciek oparł się o framugę drzwi.

-A co z Lidką? - zagadnęłam, siląc się na lekki ton i ciesząc się, że istnieje Lidka i że można o nią zapytać.

-Z Lidką? Wróciła do domu... aaa... Mówiłem ci, to przyjaciółka. Wprawdzie jest trochę zazdrosna, ale nic nas nie łączy. - Maciek usiadł w fotelu. - Mam nadzieję, że moje wyznanie nie sprawiło ci przykrości.

-Nie, ale... zupełnie nie wiem, co powiedzieć - zaśmiałam się, przewracając oczami.

- To może już pójdę, nie chcę, żebyś czuła się zakłopotana. Chciałem tylko, żebyś wiedziała.

Tak, najlepiej niech już idzie. Odprowadziłam go do drzwi. Na pożegnanie pocałował mnie czule w policzek, jakbyśmy byli kochającym się małżeństwem ze stażem, domkiem, ogródkiem i psem. Zamknęłam za nim drzwi.

Spojrzałam w lustro na swoje zmienione oblicze. Nie mogłam nic z tego pojąć, ale wyraźnie czułam... rozczarowanie. Po co tak od razu o miłości? Próbowałam przemówić sobie do rozumu: Czego ja chcę? Czy ja jakaś głupia jestem? Mężczyzna, który otwarcie mówi o uczuciach, to prawdziwy ewenement, to skarb. A cały romantyczny proces uwodzenia, poznawania się, niepewności, tej ekscytacji, którą rodzi niedopowiedzenie, to... to książkowe dyrdymały.

Ale ja przecież chciałam książkowo!

Jego wyznanie wydało mi się beznamiętne i banalne.

I głupie.

Ja jestem głupia.

Bezpłciowe i infantylne.

Głupia jestem.

I nudne.

Co on? Nie wie, że kobieta chce romantyzmu, a romantyzm to czas, drobne czułości, niby przypadkowe gesty? Co tak od razu z grubej rury? Nic z tego nie rozumiem. Ja po prostu głupia jestem. I po prostu... po prostu... Błę!

\* \* \*

- Halo, wszyscy mnie słyszą? Zapraszam na kolegium. Patryś, to ciebie też dotyczy - naczelny uśmiechnął się zalotnie do młodej dziennikarki siedzącej okrakiem na krześle, z komórką przy uchu. Dziewczyna kiwnęła ręką, dając znak, że za chwilę kończy. - Państwo proszę tutaj, dziś jesteście gośćmi, ale na przyszłość wasza aktywność będzie mile widziana - ciągnął dalej, tym razem bez śladu uśmiechu,

do grupki stażystów zbitych jak stado wróbli w kącie ze stertami gazet. - Proszę znaleźć sobie jakieś siedzenia.

Onieśmieleni rozeszliśmy się po pokoju w poszukiwaniu foteli i krzeseł. Sięgnęłam po stojące obok rozklekotane krzesło, uprzedzając rudą nastolatkę.

- Teraz chcę tylko ustalić temat na jedynekę, potem pogadam z kociakami - naczelny zwrócił się do chudej dziewczyny ostrzyżonej na jeża, na co ta wyduła wargi, co zdaje się, oznaczało aprobatę.

- Anka, sekretarz redakcji - naczelny pokazał na chudą z jeżem zbierze na koniec wasze teksty i podda je surowej ocenie. Ci, którzy ich dzisiaj nie mają, doślą je mailem w ciągu najbliższych dni. W piątek )c omówimy. Macie być w komplecie.

- Adaś, omówmy szybko tę jedynekę, bo muszę zaraz lecieć. Kotami zajmiesz się potem - powiedziała dziewczyna nazwana przez naczelnego Patryś, która właśnie skończyła rozmowę i rozsiadła się na biurku obok mnie.

Naczelnny odchrząknął:

- Okej. Czekam na propozycje.

Dziennikarze zaczęli kręcić się na obracanych krzesłach, patrzeć w podłogę i marszczyć czoła. Naczelnny utkwił spojrzenie w pulchnej dziewczynie w bordowym golfie.

-Nadal pracuję nad centrami handlowymi. O piątej jestem umówiona na ostatni wywiad. Można to kopsnąć na jedynekę, powinnam zdążyć.

-Masz czas do jutra do piętnastej, wyrobisz się?

-Jasne.

-Okej, jedynekę mamy z głowy. Jakieś sugestie?

- A moje kasy? - odezwała się drobna dziewczyna z mysim ogonkiem.

-Jakie kasy?

-Fiskalne - dziewczyna przewróciła oczami.

-Wrzucimy je na trzecią stronę, do zagranicy.

-Ale obiecałeś duże zdjęcie, a Sławek wczoraj mówił, że posłałeś go na aukcję.

-A dzisiaj co, nie może?

-Może i może - odezwał się niski grubasek z brodą, najwyraźniej Sławek - ale Anka wysyła mnie do ministerstwa, to sam nie wiem.

-Ustalcie to między sobą. Zdjęcie ma być - powiedział naczelny i spojrzał na zegarek. - Pozostali wiedzą, co mają robić. Jutro o trzeciej chcę widzieć wszystkie teksty. Jak już coś macie, dawać do Justyny, trzeba wcześniej zdążyć z korektą. To chyba wszystko.

-Wyznacz któregoś kota do zrobienia boków, potrzeba jeszcze kilkunastu newsów - odezwała się Anka, odjeżdżając fotelem do swojego biurka.

Dziennikarze rozeszli się do swoich stanowisk. Naczelny, patrząc protekcjonalnie zza zsuniętych na czubek nosa okularów, zabrał się do przepytywania nas z przygotowanych tematów. Odrzucał wszystkie po kolei, uzasadniając swoją decyzję salwą niewybrednych



żartów i złości. Wpatrywaliśmy się w niego jak w obraz. Chłoniliśmy jego słowa i jak litanie. Nikt nie protestował. W końcu, rozsierdzony, sam rzucił kilka pomysłów. Ku mojemu zaskoczeniu łyknął propozycję opisanie programów pomocowych dla młodych przedsiębiorczych. Mój pierwszy od długich miesięcy sukces!

\* \* \*

Gapiłam się w telewizor. Próbowałam skupić się na programie edukacyjnym o nietoperzach łydkowłosych, ale moje myśli krążyły wokół Maćka. Minęły dwa dni od jego wysokowego wyznania i nic. Żadnego telefonu. Czułam się lekko zawiedziona, lekko poirytowana. Zawracał mi głowę, wyznaje miłość, burząc rytm rodzącej się romantycznej więzi, i a potem milczy.

Postanowiłam wziąć się w garść i wreszcie zrealizować zamówienie gazety na artykuł o pomocy unijnej dla młodych przedsiębiorczych. Wyjrzałam przez okno. Plucha na zewnątrz nie nastrajała do wyjścia. „Idę za wewnętrznym głosem ku uchylonym drzwiom do kariery”, powtórzyłam sobie kilka razy, patrząc na babcię szamoczącą się z wnuczkiem, który koniecznie chciał wdepnąć w błoto.

Skrzypnęły drzwi szafy. Ze środka wyskoczył Filek i podreptał do kuchni. Słyszałam, jak między kocimi zębami trzaska sucha karma z kurczaka. Zajrzałam do małych. Spały wtulając nawzajem główki w swoje małe ciała. Pręgowany podniósł łebek, poruszył nozdrzami i opuścił główkę na grzbiet Uszatka. Rudy Jeden i Dwa spały jak kamienie. Filek wrócił i otarł się o moją nogę, jakby na pocieszenie.

\* \* \*

Młoda sekretarka od razu zrobiła na mnie złe wrażenie. Siedziałam przed nią i patrzyłam, jak powoli i w skupieniu wprowadza dane do komputera. Po dłuższej chwili przeniosła na mnie wzrok.

-Zarejestrowałam panią i w zasadzie, poza tym, co już powiedziałam, nie mogę udzielić pani więcej informacji. W ramach programu przysługuje pani spotkanie z prawnikiem i specjalistą od marketingu. Wyjaśnię pani procedury zakładania własnej firmy, podpowiedzą optymalne rozwiązania dla pani przypadku. Mogę panią zapisać na przyszły tydzień.

-A czy może mi pani odpowiedzieć na jeszcze kilka pytań? Interesuje mnie na przykład, ile osób zgłasza się do waszego punktu, ile z nich zakłada potem własny interes, jak państwa pomoc sprawdza się w praktyce? Czy zawsze jest tak pusto jak dziś?

-Pani jest z prasy?

Nie powiem, miło to zabrzmiało. Odpowiedziałam skinieniem głowy.

-Z „Gazety Gospodarczej”. Może mi pani pomóc?

-Chwileczkę.

Dziewczyna sięgnęła po telefon i odezwała się do kogoś po drugiej stronie.

- Jest tu pani z prasy. Może ją pani przyjąć? Za dziesięć minut? Dobrze. Proszę poczekać na korytarzu, za dziesięć minut poproszą

panią do pani dyrektor - poinformowała mnie odkładając słuchawkę.

„Do jakiej dyrektor? Co tej młodej strześliło do głowy?” pomyślałam ze strachem. Chciałam jej wytłumaczyć, że przyszłam tu tylko po to, żeby się wstępnie rozejrzeć, wziąć jakieś materiały, zapytać o to i owo, jednak zrobiłam, jak kazała. Usiadłam na ławce w korytarzu pełna złych myśli. Po jakimś czasie otworzyły się oszklone drzwi, jakaś wymalowana matrona zmierzyła mnie wzrokiem i zapytała:

- Dziennikarka?

Skręcając się w duchu, potwierdziłam głośnym „tak”, zbyt głośnym jak na pusty korytarz i jego posępną ciszę.

Weszłam do gabinetu pani dyrektor i od razu poczułam się fatalnie. Młoda, piękna, elegancko ubrana i doskonale ostrzyżona kobieta kończyła właśnie rozmowę po niemiecku. Nie zdążyła zaprosić mnie do środka, kiedy znów podjęła rozmowę, tym razem po włosku. Gestem ręki pokazała mi krzesło.

W głowie kłębiło mi się tysiąc myśli, starałam się zebrać je do kupy i ułożyć kilka sensownych pytań, ale ponieważ cała sytuacja zupełnie mnie zaskoczyła, ponadto kobieta emanowała chłodem, energią i siłą osoby, która od razu przechodzi do konkretów, efekt był taki, że zaschło mi w gardle i z trudem opanowywałam drżenie rąk.

Kiedy wreszcie skończyła, usiadła naprzeciw mnie i w milczeniu utkwiała we mnie wzrok. Zmieszana uśmiechnęłam się. Nie odpowiedziała na mój uśmiech, za to spojrzała na zegarek i zupełnie nie kryjąc, że ma napięty terminarz, zapytała:

- Co chciałyby pani wiedzieć?

-Od jak dawna... yhm... od jak dawna wspieracie państwo małą i średnią przedsiębiorczość?

-Pani Joasia dała pani informator? Tam znajdzie pani szczegółowe dane o działalności naszego punktu.

-Okej - zaśmiałam się, chociaż wcale nie było mi do śmiechu. Joasia! Uduszę dziewczynę za wpakowanie mnie do tej jaskini lwa.

-Ile osób obsługujecie państwo miesięcznie i czy macie informacje zwrotne, kto rzeczywiście zakłada własne firmy? - wydusiłam z siebie kolejne pytanie.

-Na to pytanie nie jestem w stanie dokładnie odpowiedzieć, jesteśmy w trakcie przygotowywania zestawienia, umówmy się, że koleżanka prześle do pani jego wynik mailem, kiedy już będzie gotowy. Zostawiła pani swoją wizytówkę?

Zostawiłabym, gdybym ją miała, pomyślałam ze złością i już chciałam przyznać, że nie jestem dziennikarką, ale zwykłą stażystką, że nie wiem, o co ją pytać i czuję się fatalnie, jednak opanowałam się w ostatniej chwili:

-Zostawiałam do siebie kontakt, ale zdaje się, że bez adresu e - mai - la.

-Proszę podać, zanotuję sobie.

-Filek małpa wupe peel - powiedziałam czerwieniąc się po czubki uszu.

-Z jakiej pani jest gazety? - zagadnęła dyrektorka, notując mój

adres na jakimś świstku.

-Z „Gazety Gospodarczej”

-Nie znam. Ale dobrze, proszę czekać na informacje. Coś jeszcze? W takim razie do widzenia - powiedziała, podniosła się i wyciągnęła do mnie rękę.

W sumie nie było źle, pomyślałam chwilę potem, idąc długim korytarzem. Wyszłam z budynku na mokrą ulicę z poczuciem, że jak na pierwszy wywiad spisałam się całkiem dobrze. Szczególnie, że nie był planowany. Pogratulowałam sobie w duchu, obiecując sobie, że zaraz po powrocie zabiorę się do twórczej pracy.

\* \* \*

Wkładając klucz do zamka, usłyszałam przytłumiony dźwięk telefonu. Maciek! W pośpiechu wbiegłam do mieszkania, torbę i klucze rzuciłam na podłogę i złapałam słuchawkę. Usłyszałam głos Miśki:

- No, nareszcie. Gdzie ty się włączysz? Dzwonię od dwóch godzin. Mam dla ciebie świetną nowinę. Mogę wpaść?

Ustaliliśmy, że Miśka wpadnie za piętnaście minut.

-Nastaw się na małą uroczystość - dodała na koniec tajemniczo.

Pół godziny później siedziałyśmy z Mišką pod kocem z kieliszkami w rękach. Na stoliku obok sofy stały dwie butelki przyniesionego przez Miškę wina. Nie wiedziałam, co mam myśleć. Po pierwsze Miśka uśmiechała się subtelnie jak bohaterka flamandzkich portretów, po drugie, i tego w życiu bym się nie spodziewała, miała na sobie spódnice.

- No to moje zdrowie - wzniosła toast i stuknęła się ze mną kieliszkiem. - Za Michalinę Węgiełko - Suwalską.

O mało się nie zakrztusiłam.

- Miśka - odrzuciłam kocyk i poderwałam się na równe nogi. - Pobraliście się?

- Nie tak od razu. Działamy systematycznie i po kolei, na razie były zaręczyny - powiedziała z dumą i pomachała mi przed nosem palcem, na którym, jak wół, błyszczał śliczny złoty pierścionek.

Łzy stanęły mi w oczach. Nie wiedziałam, czy to wzruszenie szczęściem Miśki, czy żal, że moje szczęście włości się gdzieś i nie może do mnie trafić. Miśka odchyliła kocyk. Usiadłam obok niej. Ucałowałam ją i wykrztusiłam:

-Opowiadaj.

-Tego wieczoru, kiedy byłeś w teatrze, pamiętasz, Edek przyszedł do mnie i oglądaliśmy razem film. W międzyczasie zadzwoniłaś rozentuzjasmowana tym swoim Maćkiem, więc opowiedziałam Edkowi, jaki z tego Maćka bęcwał, jak miesza ci w głowie, jak wpatruje się maślanym wzrokiem i całuje, jacy współcześni mężczyźni są nieromantyczni, dwulicowi, jak zwodzą po kilka dziewczyn naraz, nie mają w sobie za grosz rycerskości i tak dalej, znasz moje argumenty, i nagle Edek rozchyła marynarkę i wyciąga... mówię ci, zatkało mnie... czerwone pudełeczko. Pada na kolana, odchyła wieczko i... zaczyna płakać.

-Płakać?

-Tak się wzruszył...

-Matko!

-No...

-Wkurzyłaś się?

-Zwariowałaś? Też się o mało nie popłakałam. Potem Eduś, kiedy się już uspokoił, wydusił z siebie, że chce za mnie wyjść.

-No i...

-Ryknęłam śmiechem. Biedak nie zrozumiał, zrobił się czerwony i tak smutno na mnie spojrzał... - Miśce zaszklily się oczy. - Mówię ci, spojrzał na mnie jak jakaś nieszczęśliwa psina. No więc, mówię Edziowi, że okej, że się zgadzam, ale żeby było jasne, że to ja za niego wychodzę. On się ze mną żeni! Edek złapał się za głowę i zaczął przeproszać. Powiedział, że pomylił się ze zdenerwowania. Wyobraź sobie, że od tygodnia nosił przy sobie ten pierścionek, ale nie miał odwagi mi go wręczyć. Dopiero teraz się zdecydował, jak zaczęłam o tym romantyzmie.

Miśka oparła głowę o oparcie sofy i z rozmarzeniem spojrzała w sufit. Po chwili przeniosła na mnie wzrok. Nie poznawałam jej. Była szczerze wzruszona.

- Ty chyba naprawdę go kochasz.

Miśka uśmiechnęła się i wskazała brodą na kieliszki.

-Napijmy się jeszcze.

Przystałam na to bez wahania.

Miśka opowiedziała o planach, jakie mają z Edkiem, jeszcze nie całkiem skryształizowanych, ale bardzo ambitnych: chcą sprzedać

mieszkanie Miśki, dołożyć oszczędności Edka i wybudować dom pod Warszawą. Za rok planują ślub. Może szybciej. Już zaczynają przygotowania. Przy drugiej butelce całkiem się rozmarzyłam. Opowiedziałam Miśce o wizycie Maćka, z satysfakcją zrelacjonowałam jego przeprosiny i na koniec, uruchamiając całą moją wyobraźnię, z rozmachem odmalowałam jego miłosne wyznanie.

Miśka popatrzyła na mnie kpiąco, co od razu wyprowadziło mnie z równowagi.

- Ja się cieszę twoim szczęściem, mogłabyś odplacić mi tym samym - rzuciłam z rozdrażnieniem.

-Ewa, ja się tylko zastanawiam, czy to dla ciebie właściwy facet.

-Matko, Miśka, przecież go na oczy nie widziałas!

-Okej. Nie wypowiadam się. - Miśka wychyliła kieliszek. - Znałam tylko podobny typ, widzę te same zagrywki, ten sam sposób...

-Miśka!

-Okej, okej, milczę jak płyta nagrobna. Opowiedz mi lepiej o swoich wyczynach dziennikarskich - powiedziała chichocząc.

Nagle przypomniałam sobie o artykule do gazety. Koniecznie dzisiaj musiałam go napisać. Spojrzałam na zegarek, dochodziła dziewiąta. Zostawiłam Miśkę przed telewizorem, sama usiadłam przed komputerem, przejrzałam notatki i w pół godziny przedstawiałam ofertę pomocową naszego rządu wspieranego przez Unię dla młodych przedsiębiorczych. Zawołałam Miśkę i kazałam jej przeczytać. Miśka



pokręciła głową:

- No, no, ale nomenklatura, nie doceniałam cię. Niezłe... Może ja się do nich zgłoszę po taką dotację - powiedziała powstrzymując czkawkę. - Ale wiesz co, czegoś mi tu brakuje... To za bardzo smutne, czekaj, zaraz ci coś dopiszę...

Wyrwałam rozochoconej Miśce myszkę, zapisałam dokument i zamknęłam go. Otworzyłam nowy arkusz.

- Proszę bardzo, ale tutaj.

Miśka zamyśliła się, złapała za klawiaturę i napisała pierwsze zdanie:

„Rząd się cieszy z otwartych dla Polski drzwi do Europy, opozycja rzuca integracji z unią liberum veto. Wspólna Europa dzieli”.

Spojrzałam na Miśkę z podziwem i dołałam nam wina. Przysunęłam sobie krzesło. Pisałyśmy na zmianę, popijając i chichocząc.

„Nasza rola w zintegrowanym kontynencie nie jest jasna. Które skrzypce będziemy grać (a grać lubimy). Czy staniemy w pierwszym rzędzie europejskiej orkiestry, czy wyznaczą nam raczej boczne pozycje, pozwalając od czasu do czasu brzdąknąć to i owo, dla przyzwoitości?” (Miśka)

„Własnej solówki raczej mieć nie będziemy” - dodałam. - „I co wtedy?”

- „Zablokujemy unijne mównice?!”

- „I ulice!”

„Unia Europejska to dobrowolne zrzeszenie państw. Czy jednak nie pozbawia samodzielności? Przez lata lepiony organizm wytworzył własne narządy, wspólny krwiobieg i oddech...” (moje)

„... czy nie przestajemy samodzielnie oddychać? (Miśka) Czy pomoc z Europy, na którą liczymy, nie skończy się dla nas niedotlenieniem? A którym organem będziemy? Ważkim czy peryferyjnym? Francja i Niemcy, dwa płuca Europy, mogą nam nie pozwolić być ciałem ważniejszym niż na przykład... pięta”.

Stuknęłyśmy się kieliszkami. Wyrwałam Miśce klawiaturę.

„Jakie zatem mamy szanse, żeby poważnie zaistnieć na europejskim polu? Raczej nikłe. Ale jako naród wychowany na Słowackim i Mickiewiczu, od wieków śniący sen o wielkości, możemy mieć nadzieję, że nawet jeśli będziemy piętą, Unia okaże się Achillesem. I zagramy Europie na nosie. Będą się musieli pilnować”.

Miśka zachichotała i poklepała mnie po ramieniu.

-Wiesz, Ewka, że teraz wszystko będzie się odbywać według wytycznych z Brukseli. Hodowla prostych ogórków, produkcja cichych kosiarek, nawet drabina będzie „unijna”...

-Ale jak się dobrze spisujemy, to może po tej drabinie...? Ho, ho, kto wie?

-A jeśli się nie uda i będzie nam bardzo źle, to zawsze jest jeszcze wyjście... pisz... - dodała Miśka wojowniczo - „... wyciągnie się z muzeów zakurzone husarskie skrzydła i... huzia na Józia, bij zabij, nie damy się, nie takich my... ten... tego...”

-„Ale póki co ciiii... może będzie dobrze” - zakończyłam i

postawiłam ostatnią kropkę. Nacisnęłam ikonkę drukarki.

-Do którego dziennika to wysyłamy? A może do pana premiera. Niech zobaczy, że naród nie śpi. - Miśka, już kompletnie zalana, ale jak zwykle trzymająca fason, trzymała w ręku nasze wydrukowane dzieło.

Niedługo potem pożegnała się i poszła. Wzięłam prysznic, nakarmiłam koty, wysłałam do naczelnego artykuł i położyłam się do łóżka. Długo nie mogłam zasnąć, rozmyślając o Miśce i Edku. A potem śniłam o Maćku i pierścionku ze ślicznym brylantowym oczkiem.

\* \* \*

Wyłączyłam brzęczący budzik, z trudem wygramoliłam się z łóżka i popędzana ssącym pragnieniem, ziewając i przecierając oczy, weszłam do kuchni. Na progu pośliznęłam się i runęłam jak długa. Oszołomiona usiadłam na podłodze, a moim zaspanym oczom ukazał się obraz jak z koszmarnego snu. Ze stołu, z wielkiej ciemnej kałuży, kapiała na podłogę herbata. Rozsypany cukier odwzorowywał ślady małych łapek. Kwiatek, śliczna paprotka przywieziona z domu, pozbawiona została połowy liści. Jajko, którego wczoraj nie schowałam do lodówki, rozbite na chodniku, do połowy wylizane, dopełniało obrazu ruiny. Przerażona spojrzałam pod nogi na śliską jak lodowisko podłogę wysmarowaną wyciągniętym ze śmietnika papierem po maśle.

Cztery małe koty i jeden duży rządziły w mojej kuchni.

Wśród kotów panowała rodzinna sielanka. Filek siedział na

podłódze i lizał Pręgowanego i Uszatka. Rudy Jeden wisiał na firance, a Rudy Dwa sikał w kącie na moje ulubione kapcie. Wrzasnęłam, ale było już za późno.

\* \* \*

Naczelny przechadzał się po pokój u z plikiem kartek w ręku. Stukał nimi o wystający brzuch i uśmiechał się z nutą lekkiej pogardy, patrząc na nas zza opuszczonych na czubek nosa okularów. Poczekał, aż wszyscy znajdą sobie miejsca, i zanim przystąpił do ofensywy, zaczął przymilnie:

- Nikt od razu nie będzie latał, orły wykluwają się powoli. To ku pokrzepieniu. A teraz trochę prawdy. Agnieszka Kędziorek.

- Jestem - odezwał się cienki głosik.

Odwróciłam się i zobaczyłam drobną brunetkę, bladą, o ostro zarysowanej brodzie. Wyglądała na przestraszoną. Naczelny uśmiechnął się pobłaźliwie:

-Pani wie, że z pani to jeszcze małe piskłę.

Parę osób zachichotało.

-Zaczęła pani niby dobrze: emerytury, najniższa krajowa, rewaloryzacja, ale potem całkiem się pani pogubiła. To miał być artykuł prasowy, a nie manifest rewolucyjny, jasne? Pani nie jest romantycznym wieszczem, ale dziennikarzem i w dodatku na razie kiepskim. Ale proszę się nie załamywać - dodał, bo dziewczyna spłoszyła i bąknęła jakieś usprawiedliwienie. - Wszyscy musicie zapamiętać jedno. Zdajecie relację, opisujecie fakty. Owszem, tekst ma mieć jakieś przesłanie, ale emocje

zostawiacie dla narzeczonych. Pani Kędziorek poprawi tekst i jeszcze raz go pokaże. Adam Wiech.

-To ja.

Młody przystojny mężczyzna patrzył dumnie zza gęstych brwi. Naczelnny skrzywił się.

- Nie było całkiem źle...

-Dzięki, też myślę, że było całkiem dobrze - odparował chłopak.

Spojrzałam na niego z podziwem i przyznałam mu punkt za odwagę.

- Temat banalny i za dużo przymiotników. To nie esej, ale sprawozdanie z aukcji - naczelnny ostro skorygował zbyt pewnego siebie stażystę. Chłopak milczał. - Tekst po korekcie wejdzie do nowego numeru. Parę rzeczy wyrzucę, bo jest zbyt rozwlekły - dodał, żeby było jasne, że artykuł nie jest idealny, i przeniósł wzrok na ładną blondynkę w różowej bluzce.

- Monika Skwarka?

Blondynka pokręciła głową.

- To ja - odezwała się wysoka, dobrze zbudowana dziewczyna. Dałabym głowę, że koszykarka.

- No cóż - powiedział naczelnny. - Widzę, że ostro pani popracowała, Przeczytała pani wszystkie informatory Urzędu Pracy i stworzyła śliczne kompendium wiedzy dla bezrobotnych. To się chwali, ale tak się składa, że ja prosiłem o artykuł.

- Brzmi zbyt oficjalnie? - zapytała dziewczyna, uśmiechając się szeroko. Wydawała się bardzo sympatyczna.

-Proszę pani, to wręcz wystąpienie rzecznika prasowego UP.  
Przeczytać fragmenty?

-Nic, nic - zaprotestowała wesoło, ale widać było, że nie jest jej już do śmiechu.

- Powiedziałbym, żeby to pani poprawiła, ale tu nie ma czego poprawiać. Proszę napisać to od nowa. Ostatnia szansa.

Monika Skwarka przewróciła oczami i pokiwała głową. Patrzyłam na faceta z rosnącą antypatią. Co za okropny zarozumialec. Wykorzystuje swoją przewagę, to wszystko. Miałam ochotę powiedzieć mu, co myślę o jego metodach, kiedy nagle padło moje nazwisko. Załomotało mi serce.

-To pani - skonstatował, kiedy podniosłam rękę.

Uśmiechnęłam się i kiwnęłam głową. Naczelny podrapał się po karku.

- Kabareciarz z pani. Owszem, to prawda, że o tych sprawach nie trzeba koniecznie pisać na kolanach, ale taka ironia... To mi się nie podobało, a tobie Anka?

- Mi też nie - usłyszałam głos sekretarza redakcji dobiegający zza jej monitora.

Poczułam, że robi mi się gorąco. Wszyscy wlepili we mnie gały. Ręce trzęsły mi się ze zdenerwowania.

- Nie rozumiem, wydaje mi się, że temat potraktowałam całkiem serio, te dotacje unijne... - próbowałam się bronić, ale naczelny wszedł mi w słowo.

- Podobnie jak koleżanka... no, jakże się pani nazywa... - spojrzał

na dziewczynę z ostro zarysowaną bródką.

-Agnieszka Kędziorek.

-... podobnie jak pani Kędziorek, zaczęła pani znośnie, ale potem te wszystkie narządy, wnętrzności, porównania.

Poczułam, że robi mi się słabo.

-No i ta wyszydzone Polska.

-Pięta - prychnęła Anka.

- To było dobre - zarechotał naczelny i spojrzał na mnie z politowaniem.

Matko!!! To niemożliwe. Pomyliłam artykuły?

Zrobiło mi się ciemno przed oczami.

- Ma pani coś do powiedzenia?

Plątały mi się myśli, urywały wątki. Chciałam zapaść się pod ziemię.

-To miał być felieton... yyy... a felieton rządzi się własnymi prawami, użyłam metafory... - próbowałam się ratować. W uszach słyszałam łomot własnego tętna. - ... która wskazuje na fakt, żeeee... że nie będziemy odgrywać w Europie decydującej roli - wyjąkałam, starając sobie przypomnieć, o czym był ten nieszczęsny artykuł, ale pamięć podsuwała mi tylko obraz zalanej Miśki powstrzymującej czkawkę. Wiedziałam, że to koniec.

-No, nie wiem, czy nam trzeba w zespole takich eurosceptyków.

Co, Anka?

Naczelny zaserwował mi jeszcze kilka złośliwych uwag,

poznęcał się nad chudym wyrostkiem, wyrzucając mu błędy gramatyczne i nielogiczność argumentów, a następnie wygłosił krótką mowę na temat naszej nijakości, warsztatowego niedołęstwa i braku pomysłów. Powiedział, że na następnym spotkaniu spodziewa się dostać naprawdę dobre teksty, a na razie nas żegna i życzy miłego dnia. Wyszłam z redakcji na trzęsących się nogach. Miejsce to zbrzydło mi do reszty. Czułam, że kariera oddala się ode mnie z szybkością uciekających galaktyk. I wcale nie chciało mi się jej gonić.

\* \* \*

Trzeci dzień z rzędu pozowałam dla mistrza. Pan Teodor wściekał się, gryzł pędzel i klął pod nosem, na czym świat stoi. Zmarnował już trzecie płótno, a wciąż był daleki od realizacji swojego zamierzenia, antyczne) sceny w stylistyce El Greco: rusalkę w topieli porywa groźny Minotaur, łapiąc ją wpół i unosząc siłą do krainy rozkoszy. Mistrz skupił się na doznaniach rusalki, pragnąc oddać dwuznaczność jej uczuć: panikę oraz | równoległą nieskrywaną fascynację nieznaną istotą i jej namiętności;). Mariola przebrana w strój starożytnego potwora, owinięta w koźle skóry i jakieś szmaty, chrupała paluszki i cierpliwie poddawała się instrukcjom artysty, który blisko godzinę ustawiał nas na podeście, poprawiał gesty, wyjaśniał psychologiczne aspekty zdarzenia i narzekał na fatalne światło. Kiedy uznał, że układ spełnia jego oczekiwania, sięgnął po pędzel i szukając natchnienia przymknął powieki. Stałyśmy z Mariolą, obejmując się wpół jak dwie straganiarki wracające z nocnej libacji. Wiedziałyśmy, czym to się skończy, za godzinę mistrzunio znowu się wścieknie i po



raz setny zmieni nam pozycję. Spojrzałyśmy na siebie i porozumiewając się wzrokiem ustaliłyśmy, że będziemy oponować. Mariola otworzyła usta, żeby zasugerować bardziej trafne rozwiązanie, ale mistrz uciął jej w pół słowa.

- Jest bello!

Zatarł ręce, wymamrotał coś do pod nosem i rozsmarował farbę na palcu. Zerknął na mnie spod przymkniętych powiek.

- Troszkę więcej namiętności. Jest pani podniecona - powiedział szeptem.

Przejechał pędzlem po płótnie, pacnął w trzech miejscach, delikatnie musnął i roztarł coś palcem. Głośno wypuścił powietrze. Zagryzając wargi, wykonał kilka kolejnych pociągnięć, potem wsadził nos w malowidło i z wysuniętym językiem dłużej przy jakimś szczególe. Trwało to całe wieki. Nagle cofnął się, spojrzał na nas, na obraz... i rzucił pędzlem o ścianę. Splunął na ziemię i zarządził przerwę.

Mariola pobiegła do garderoby segregować świeżo wygrzebane w lumpeksie ubrania. Usiadłam na krześle i rozprostowałam zmęczone nogi. Mistrz wsparty pod boki patrzył na podest.

- Nic z tego nie będzie. Mariolka się nie nadaje. Tu potrzeba krzepkiego namiętnego mężczyzny. Teraz, psia krew, tylko się męczę, a efekt żaden.

Zerknął na zegarek i nagle się rozpromienił.

- Mariola! - krzyknął w kierunku garderoby. - Szykuj zastawę, pani Wacia zaraz przychodzi. Zapraszam panią na obiad - zwrócił się

do mnie. - Pani Wacława nam czasem gotuje, dzisiaj wróciła z urlopu i obiecała wystawną kolację.

W tym momencie usłyszeliśmy hałas na schodach.

- To ona - mistrz wyraźnie nabrał wigoru. Otworzył drzwi i wybiegł na korytarz. - Pyzunie kochane rączki ugotowały? Pani wie, jak ja kocham pyzunie. A z czym? Z mięskiem? Pani jest nieoceniona. Szczęście, że pani wróciła - terkotał. Odpowiadał mu zadowolony chichot.

Po chwili wrócił obładowany siatkami, z promiennym uśmiechem na ustach. Za nim wtoczyła się jowialna jejmość lat około sześćdziesięciu. Mariola rozkładała talerze na stole w kącie sali, który dopiero teraz zauważyłam. Wcześniej, zawalony tubkami z farbą i kartonami, zlewał się z otoczeniem. Kobieta z kieszeni palta wyjęła jakieś zawiniątko i położyła je na stole. Spojrzała na mnie.

- To na rozgrzewkę - powiedziała i zmierzyła mnie wzrokiem. - Nowa modelka?

Przedstawiłam się. Pani Wacia podała mi pulchną dłoń.

-Zapraszam na pyzy. Lubi pani?

-Bardzo. Przypominają mi wakacje na wsi.

-To prawda - przyznała - ale nie każde pyzy smakują jak wiejskie, dużo zależy od tego, kto je robi. Jadłam na przykład mrożone z supersamu i były zupełnie niezjadliwe, a domowe to domowe, nie? - kiwała głową, nakładając porcje na talerze. - Ale tak to jest, świat odcina się od wsi i schodzi na psy. Mój wnuk mówi, że na przykład dzisiejsza młodzież to fury, komory i zero

natury - zaśmiała się jak z dobrego żartu. - No to smacznego.

Zastanowiłam się. Gdzieś już słyszałam to powiedzonko, chyba w jakiejś reklamie...

Pani Wacia uprzejmym gestem zachęciła mnie do jedzenia. Pyzy były rzeczywiście wyjątkowe.

-No i widzi pani, pani Waciu, z pani to jest prawdziwa artystka, takie pyzy zrobić. A ja męczę się z tym moim obrazem i ciągle nic.

-A co pan teraz tworzy?

-Pani łaskawie zerknie.

Podeszli do sztalug. Mariola, najwyraźniej nie zainteresowana płodem artystycznym mistrza, obojętnie przeżuwała resztki kolacji. Wstałam od stołu i zerknęłam zza pleców autora. Pomyślałam, że chyba rzeczywiście nie poszło mu najlepiej. Obraz przedstawiał dwie pokraccze figury, jedna się wyrywała, druga trzymała ją krzepko w pól, gapiąc się bezmyślnie na widzów. Wyraz twarzy wyrywającej się jednoznacznie sugerował, że bezwzględnie musi pruć do toalety. Mistrz w napięciu czekał na opinię.

- Potrafi pan lepiej - delikatnie skomentowało jednoosobowe jury (mnie mistrz o zdanie nie zapytał). - Niech pan próbuje dalej, w końcu się z pewnością uda.

Mistrz potraktował to jako komplement.

- Pani to zawsze tak powie, że człowiek zaraz nabiera zapału. Dziewczynki, zapraszam na podest. Sam Manet nie od razu został uznany. Urobił się chłop po łokcie i opłaciło się.

Uformował nas w nową scenkę, całość umaidł sztucznymi różami i stanął przed sztalugami, jak żołnierz gotowy do walki. Wyprężył pierś, podniósł uzbrojoną w pędzel dłoń i popatrzył na nas z za przymrużonych powiek.

Po chwili bezwładnie opuścił ramię. Pokręcił głową.

- Nie mogę. Wena mi w żyłach przestaje krążyć, jak patrzę na tego Minotaura. Mariola jest za mało męska. Widzi pani - zwrócił się do siedzącej przy stole pani Waci - jakbym miał młodego muskularnego mężczyznę, od razu by poszła robota. A tak... - westchnął smutno.

- A pani Wacia nie mogłaby poprosić wnuka, żeby mistrzowi trochę popozował? - Mariola przejęła się niemocą twórczą swojego chlebodawcy. Mistrzuniu, pan to cudnie namaluje, pan potrafi, potrzebuje pan tylko warunków i trochę spokoju. Prawda, Ewa?

Kiwnęłam głową. Spojrzeliśmy na panią Wacie jak na wybawcę.

-Jeśli pan sobie życzy, panie Teodorze, to myślę, że mój wnuk nie odmówi. Porozmawiam z nim dziś wieczorem, jak wpadnie na pyzy. A tymczasem... - spojrzała filuternie i zamachała przyniesionym zawiniątkiem - zapraszam...

-Na młodzik! - dokończył mistrz i odłożył pędzel. - Pani Waciu, życie mi pani ratuje.

Po kilku kieliszkach nad wyraz mocnego miodziku pani Wacia została rusalką, mistrz Minotaurem, a ja, po krótkiej przepychance z Mariolą, wzięłam do ręki pędzel i stworzyłam dzieło, jakiego nie powstydzilby się sam Witkacy. Mariola ustawiała modeli i polewała

miodowy napitek. Do domu wracałam wężykiem.

\* \* \*

Zadzwoił telefon. Ocknęłam się i usiadłam przerażona. Gdzie ja jestem? Załomotało mi serce. Po chwili uświadomiłam sobie, że siedzę we własnym łóżku z Filkiem na kolanach. Zaraz, to poduszka. A Filek gdzie? Kolejny sygnał wdarł się w resztki mojego snu. Przeczesałam rozczochraną głowę i zerknęłam na zegarek. Siódma?! Czy ktoś zwariował, żeby mnie budzić o tak barbarzyńskiej porze? Teodor Symbol... Przypomniałam sobie wczorajszy wieczór... To na pewno on, miał zadzwonić, gdy wszystko będzie gotowe. Wygrzebałam się z pościeli i potykając się o rozrzucone ubrania, poczłapałam do przedpokoju. Telefon dzwonił niemiłosiernie głośno.

-Halo, strasznie rano pan dzwoni - ziewnęłam. - Ma pan już tego Minotaura?

-Halo? - odpowiedział męski głos, trochę skonfundowany.

-Kto mówi?

-Cześć, Ewcia, Maciek z tej strony. Jakiego Minotaura? Oprzytomniałam w jednej chwili. Maciek! W końcu zadzwonił. Po trzech długich ciągnących się jak makaron dniach łaskawie wykręcił mój numer. Z emocji wyparowała mi z głowy złośliwa riposta, jaką miałam go poczęstować, kiedy znów go usłyszę. Postanowiłam udawać głupią.

-O, cześć. Już prawie o tobie zapomniałam - przywitałam się bez cienia emocji.

-Długo nie dzwoniłem. Przez te dwa dni...

-Trzy - wypaliłam i zaraz ugryzłam się w język.

-Co?... A, tak... Liczyłaś... - zamruczał w słuchawkę - to miłe...

Ale wracając do tematu, miałem dużo pracy, ale dziś jestem wolny, a dzwonię tak wcześnie, żeby nikt mnie nie uprzedził.

Chcę cię zaprosić do kina. Przyjmiesz zaproszenie?

Żeby nikt go nie uprzedził? Słodko to zabrzmiało. Przez chwilę milczałam, przeżywając żal i uczucie upokorzenia, jednak koniec końców pomyślałam, że nie warto się gniewać, szczególnie, że zaprasza do kina. Z powodu luk budżetowych od wieków nie widziałam żadnego filmu. Niechęć, choć z oporem, zniknęła. Zgodziłam się.

- Zaproszę cię do przytulnego miejsca niedaleko mojego mieszkania. Potem wpadniemy do mnie na lampkę wina. Co ty na to?

Na lampkę wina? Uśmiechnęłam się w duchu. Cóż za tandetne chwyt. Pomyślałam z ironią, że skoro już stosuje te przestarzałe sztuczki, powinien też wspomnieć o płytach, i to zgranych.

-Halo, jesteś tam?

-A co grają w tym twoim kinie?

-Coś Polańskiego. Lubisz?

Może i lubię. Do kina, zgoda, pójdę, ale czy do niego, to się jeszcze zobaczy. Umówiliśmy się na osiemnastą. Mam zejść na dół, kiedy usłyszę silnik jego srebrnego volkswagena. Hm... To mi przypominało Sylwię i jej rycerza na mechanicznym koniu. Czyżby los się do mnie uśmiechnął?

Odłożyłam słuchawkę. Spojrzałam w wiszące nad telefonem

lustro i wydełam usta jak gwiazda Hollywood.

- A co, my boy, grają w tym twoim kinie? - powiedziałam do swojego oblicza, teatralnie mrużąc oczy. - Co grają w tym twoim kinie? - zniżyłam głos i odrzuciłam do tyłu głowę. - Ach, to świetnie, no to see you... - obróciłam się na pięcie i tanecznym krokiem odpłynęłam do łóżka.

- Ja całkiem ładna jestem - powiedziałam do Filka, który przycupnął na pufie i przyglądał mi się sennym wzrokiem. Czułam, że świat należy do mnie.

Zadzwoił telefon. Zerknęłam na budzik, było po jedenastej. Czułam, że w miejsce głowy wyrosła mi ogromna dynia, pulsująca i obolała. Pogramoliłam się do telefonu. Podnosząc słuchawkę spojrzałam w lustro. „Matko!”, jęknęłam z obrzydzeniem. Na moim prawym policzku, jak bezbarwny tatuaż, odcisnęła się alpejska wioska, tłoczony motyw z mojej pościeli. Włosy, które nigdy nie chciały się ułożyć, teraz zupełnie zastrajkowały, tworząc na środku kretyński przedziałek i przylizując się za uszami. Podpuchnięte oczy wyrażały niechęć do całego świata.

Mariola w trzech słowach poinformowała mnie, że Minotaur jest, w dodatku taki, że palce lizać, mam przyjść na drugą i przygotować się na dłuższe malowanie. Ocknęłam się. A kino? Mariola obiecała, że jeśli się przedłuży, to mnie wspaniałomyślnie zastąpi. Z rozkoszą rzuci się w ramiona tej nieokrzesej potwory.

\* \* \*

Wchodziłam po schodach lekko zaintrygowana. Nigdy nie widziałam prawdziwego kulturysty, a z tego, co mówiła Mariola, wnuk pani Waci miał mieć bary jak tygrys i posturę gladiatora. Kiedy otworzyłam drzwi pracowni, mistrz rozmawiał z młodym mężczyzną i, coś tłumacząc, wyraźnie podniecony, wbiegał i zbiegał z podestu, chwycił leżące tkaniny i rozrzucał je po podłodze, obsypywał się kwiatami, wykonywał teatralne gesty i zwijał się w dramatycznych spazmach. Kiedy mnie zauważył, przerwał monolog.

- Rusałka, panna Ewa Bielska. A to nasz wspaniały Minotaur, Leszek Witkowski. Poznajcie się państwo i chyba zaraz zaczniemy, co? Jestem taki podekscytowany, że aż mi się ręce palą do roboty. Ewa, leć do garderoby i przebierz się, a panem Leszkiem to ja już sam się zajmę - powiedział zacierając ręce.

W garderobie Mariola przypinała kwiatki do mojego nowego kostiumu. Dała znak głową, żebym podeszła bliżej i powiedziała półgłosem:

- Fajny, nie?

Spojrzałam na nią z powątpiewaniem. Wcale nie jest duży. Jest wysoki, owszem, dość przystojny, ale szczupły i wcale nie przypomina atlety. Mariola obruszyła się. Nie widziałam go w kostiumie, to nie wiem. Wpinając mi kwiaty we włosy dodała:

- Jak cię taki obejmie, to od razu wczujesz się w rolę i zobaczysz, mistrzunio wymaluje taki obraz, że mucha nie siada.

Podtrzymując przydługą suknię, podreptałam do pracowni.

Wszystko już było gotowe. Pan Teodor rozcierał farby na



palecie i poprawiał sztalugi, Leszek siedział na podeście i czekał. Zamurowało mnie. Mistrz odrzucił większość skór, pozostawiając tylko zasłonę na biodrach. Mariola miała rację, bez koszulki wyglądał fantastycznie. Miał pięknie umięśniony tors i ramiona. Nie były to nabrzmiałe bulwy, jakie miewają herkulesi w magazynach sportowych, ale subtelnie rzeźbione partie, napięte i jędrne. Widok był imponujący.

Mistrz dał mi kilka wskazówek i podając rękę wprowadził na podest. Skinął na Leszka i rozpoczął komponowanie sceny: kazał nam siadać, wstawać, klękać, łączył nas w uścisku lub rozdzielał tekturowym drzewem, dorzucał kwiaty i liście, donosił wypchane gołębie, zmieniał światło, podnosił to moją rękę, to Leszka, odchyłał nasze głowy, poprawiał włosy, zginał i prostował kolana.

Leszek wydawał się spokojny, co chwila zagadując rozchichotaną Mariolę, za to ja byłam strasznie spięta. Starłam się być rzeczowa i obojętnie patrzeć na nagie ciało Leszka, rozsądnie komentować uwagi mistrza, z wdziękiem i luzem współpracować. Trwało to całą wieczność. Szybko rozboleł mnie kark i ramiona i byłam wściekła na Mariolkę, która najwyraźniej świetnie się bawiła. W końcu Teodor oparł na nas usmarowane farbą dłonie, przysunął nas do siebie i ramieniem Leszka otoczył moją, jak się wyraził, kibić. Poczułam na szyi ciepły oddech.

-Tak trzymaj. Zobaczę, jak to wygląda w kadrze - rzekł mistrz schodząc z podestu i stając przed sztalugami. Złożył palce w prostokąt i spojrzał na nas jak przez obiektyw.

-Trochę bliżej siebie, pół centymetra i głowa w lewo. Ewa, twoja głowa! Dobrze.

-Ale tak mi jest niewygodnie - zaproponowałam. Stałam na jednej nodze, podtrzymując na niej ciężar całego ciała.

-Oprzyj się na partnerze, przecież cię nie ugryzie.

Zerknęłam na Leszka i zamarłam. Patrzył na mnie w taki sposób, że Rhett Butler, ze swoją namiętnością i żarem w oczach, chował się w dymach płonącej Atlanty. Chyba nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie patrzył w taki sposób na kobietę. Usłyszałam słowicze trele, kiedy głos mistrza gwałtownie sprowadził mnie na ziemię.

- O, to, to, dokładnie jak ustaliliśmy. Wspaniale, Leszku, tak trzymaj, patrz z zachwytem i pożądaniem. O to mi chodziło!

\* \* \*

W czasie dwudziestominutowej przerwy na przeschnięcie farby i rozprostowanie kości, zadzwoniłam do Maćka. Poprosiłam, żeby przyjechał po mnie na Pragę, skąd zabierzemy się prosto do kina. Był lekko zdziwiony, ale nie wnikał w szczegóły. Spodziewałam się, że mistrz będzie mnie eksploatował do ostatniej sekundy, dlatego wcześniej przygotowałam sobie ciuchy: lnianą spódnicę z pomysłową falbanką i czarny dziergany sweterek - najnowsze zdobycze Marioli, w bardzo dobrym stanie. Zaplanowałam, że przed samą szóstą błyskawicznie się ogarnę, co przy pomocy Marioli nie zajmie mi dłużej niż piętnaście minut.

Mistrz od godziny pracował nad lewym okiem rusałki, które, według jego zamysłu, miało decydujące znaczenie. W tymże oku krył

się błysk, który zdradzał, że mimo niechęci do Minotaura rusałka jest rozpalona i gotowa się oddać nieznaney rozkoszy. Leszek, chwilowo zwolniony, siedział przy stole, popijał kawę i żartował z rozanieloną Mariolą. Mistrz mlaskał językiem i powtarzał:

- Ta, ta, ta, już zaraz, już mam, taaa...

Nagle usłyszałam klakson samochodu. Drgnęłam i zerknęłam na Mariolę, która znacząco popukała palcem w tarczę zegarka. Było piętnaście po szóstej. Piętnaście po szóstej?! To niemożliwe! Zeskoczyłam z podestu i jednym susem znalazłam się przy oknie. Wychylona do połowy, rozejrzałam się w poszukiwaniu srebrnego volkswagena. Pod kamienicą na pełnych światłach stał jakiś samochód, ale z powodu braku latarni nie mogłam dostrzec koloru ani marki. Nagle otworzyły się drzwi kierowcy i z wozu wysiadł mężczyzna w ciemnej budrysówce. Maciek, jak amen w pacierzu.

Zakotłowało mi się w głowie. Zrozumiałam, że dysponuję pięcioma minutami na fryzurę i przebranie się, nie wspominając o makijażu, bo ten, który obecnie miałam na twarzy, nadawał się wprawdzie na wilgotne mokradła, ale nie na pierwszą od wielu miesięcy randkę. Bez słowa rzuciłam się do garderoby, wyrywając z włosów bagienne kwiatki i nie zwracając uwagi na rozpaczliwe protesty mistrza. Mariola okazała się nad podziw domyślna. Kiedy wpadłam do przebieralni, stała na baczność, trzymając w dłoniach gotową spódnicę. Wślizgnęłam się w nią jak zwinna jaszczurka. Kiedy zmywałam twarz i ścierałam z powiek sinozielone cienie, Mariola rozczesywała mi włosy. Chwyciłam brązową kredkę i dwoma

szybkimi pociągnięciami wykonałam zgrabne kreski u nasady rzęs lewego i prawego oka. Pociągnęłam usta błyszczkiem, przypudrowałam nos i rozprowadziłam po policzkach brzoskwiniowy róż. Żarówka garderoby ledwie ćmiła, ale machnęłam na to ręką. Co jak co, ale lata praktyki nauczyły mnie w pięć minut, bez względu na okoliczności, dokonywać pełnej metamorfozy. Po chwili byłam już gotowa. Mariola wygładzała mi falbankę spódnicy, kiedy ja ostatecznie poprawiałam włosy. Z przyjemnością przejrzałam się w zaśnieżonym zwierciadle starej szafy i mimo że niewiele mogłam dostrzec, czułam, że wyglądam dobrze. Chwyciłam torebkę, wsunęłam nogi w buty i wciskając do końca lewy pantofel, pokuśtykałam do drzwi. Rzuciłam obu panom zdawkowe „dobranoc” i popędziłam po schodach.

Zanim wyłoniłam się z bramy, kilka razy głęboko odetchnęłam, wyszeptałam z przekonaniem parę stosownych afirmacji i całkowicie opanowana, z lekko uniesioną głową, wyszłam naprzeciw memu przeznaczeniu.

Maciek nie ukrywał zniecierpliwienia. Bąknął pod nosem przywitanie i otworzył przede mną drzwi pasażera. Gestem zaprosił mnie do środka. Szepnęłam „dobry wieczór”, zajrzałam mu przyjaźnie w oczy, uśmiechnęłam się i nagle, zupełnie nie wiem, jak to się stało, odwróciłam głowę i z całej siły rąbnęłam czołem w metalową framugę drzwi. Zamigotało mi w oczach. Maciek chwycił mnie pod ramię, przytrzymał i delikatnie posadził.

Obszedł samochód i wszedł do środka. Przekręcając kluczyk

powiedział, że wprawdzie nie znosi czekać, ale się nie gniewa, bo przecież nie zrobiłam tego specjalnie i czy mnie nie boli, i co za pech (tu zachichotał), że tak niefortunnie... wzięłam jego wóz na rogi! Zaczął się krztusić, próbując opanować śmiech, patrzył na mnie przy tym z taką sympatią i współczuciem, że i ja się roześmiałam. Przez całą drogę opowiadał o koledze, który, przez podobny wypadek, wylądował w szpitalu ze złamanym nosem, ha, ha, ha...

W czole czułam nieprzyjemne pulsowanie, ale nie miałam śmiałości rozcierać bolącego miejsca. Jeszcze pomyśli, że jakaś przewrażliwiona jestem.

Kiedy zajechaliśmy przed kino, siąpił lodowaty kapuśniak. Nie miałam parasola, Maciek też nie, a jak na złość, z powodu braku miejsca, zaparkowaliśmy na samym końcu ulicy. Kiedy wysiadłam z samochodu, miałam ochotę biec ile sił w nogach ku rozświetlonym drzwiom kina i ratować włosy, które nie znoszą kontaktu z wilgocią, ale nie wypadało mi tego zrobić. Maciek, jak perski pasza, szedł wolno noga za nogą, rozsmakowując się zapachem ozonu. Chcąc nie chcąc, dreptałam w jego cieniu, kuląc się przed zacinającym deszczem i wiatrem.

Po dwóch trwających wieki minutach znalazłam się pod dachem. Maciek wręczył bilety chudej bileterce. Flegmatyczna kobieta złożyła razem dwa kolorowe papierki, przedarła je i ruchem dłoni zaprosiła nas do środka. Maciek rzucił na mnie okiem. Nagle wytrzeszczył gały i szepnął mi do ucha: „Lepiej idź do toalety”.

W zasadzie mogłam się tego spodziewać. Weszłam do łazienki i

bez złudzeń spojrzałam w lustro. Było gorzej niż myślałam. Jedynym śladem po gustownie utapirowanej fryzurze był gładki kask przyklejony do czaszki. Na moim czole, niby opaska z angory, widniała czarna smuga błota z Maćkowego samochodu. Przetarłam brudne miejsce zmoczonym kawałkiem papierowego ręcznika i syknęłam z bólu. Paliło żywym ogniem. Z trudem zmyłam ślady porażki i spojrzałam w swoje zaczerwienione oczy... Jasna cholera! Dopiero teraz zauważyłam, że wokół moich małych ślepi jarzy się policyjnym kogutem czerwona konturówka do warg, którą nieopatrznie wzięłam za kredkę do oczu. O zgrozo! Wyglądałam jak konający królik. Zaczęłam nerwowo wycierać umęczone powieki i przeczesywać mokre włosy, kiedy uchyliły się drzwi łazienki i zobaczyłam w nich krótko ostrzyżoną głowę. Maciek ponaglił mnie nerwowym gestem, jednocześnie rozglądając się ciekawie po wnętrzu damskiej toalety, jakby miał nadzieję ujrzeć parujący prysznic i tabun nagich kobiet śpiewających andaluzyjskie piosenki. Zaczęłam nabierać podejrzeń, że nie jest tym, za kogo go uważałam.

Usiedliśmy w ostatnim rzędzie i od razu stało się jasne, że dla mojego lekko wadliwego wzroku ta odległość będzie zdecydowanie za duża. Miałam do wyboru dwie równie beznadziejne opcje: przesiedzieć cały film mrużąc powieki i naiwnie wierząc w moc mojej kulejącej angielszczyzny albo grzecznie poprosić Maćka o zmianę miejsc. Drugie rozwiązanie z dwóch przyczyn stało się trudne do zrealizowania: one - frekwencji podczas sobotnich wieczorów, two -

mojej nieśmiałości, która opadła mnie jak sfora ujadających psów, blokując skutecznie jakąkolwiek rozsądną reakcję.

Czułam gwałtowny spadek nastroju. Zdarza mi się to za każdym razem, kiedy orientuję się, że mimo usilnych starań, by doprowadzić moją urodę do modelowego piękna, wszystkie wysiłki na nic się zdały i równie dobrze mogłabym wyjść z domu jak wstałam, bez mycia, czesania i makijażu. Wystarczy byle lusterko, szyba w sklepie, okno w metrze i już wiem, że cały trud tworzenia poszedł na marne. Pech estetyczny towarzyszy mi wierniej niż cień. Wiatr, grad, śnieżycyca i deszcz czekają na mnie za każdym razem, gdy idę na randkę, by, gdy tylko opuszczę próg domu, naskoczyć na mnie zza węgła. Rozpada mi się fryzura, puszczają oczka w rajstopach, makijaż płynie po twarzy wijącymi się strumyczkami, jednym słowem wyglądam jak etatowa miłośniczka Halloween. Czytałam w jednej książce Magdaleny Samozwaniec, że istnieje typ kobiet, którym, choćby stawały na głowie, kraina piękności zawsze pokaże figę z makiem: guziki im odpadają jak dojrzałe gruszki, obcasy się łamią jak zapalki, wiatr szarpie ubranie, obszczekują je psy, a jeśli w promieniu kilometra jest jakaś kałuża i na całą okolicę choćby jeden samochód, to okoliczności tak się dostroją, że te trzy elementy spotkają się niezawodnie w jednym miejscu i czasie. Najwyraźniej należę do tej kategorii kobiet. To okropne. W pierwszej chwili, jeszcze w łazience, próbowałam walczyć z siadającym nastrojem, dozując znane mi afirmacje. Kiedy jednak poczułam, że bezskutecznie dobijam się do szczelnie zamkniętych wrót mojej podświadomości, zastosowałam rozwiązanie

ostateczne: postanowiłam całą siłą umysłu, na przekór rzeczywistości, projektować swój pozytywny obraz siebie. Wyszłam z toalety w zgrabnie przystrzyżonych, wymodelowanych włosach, w subtelnym makijażu i oparach francuskich perfum.

Wzięłam głęboki oddech i wbrew ściskającemu gardło onieśmieleniu powiedziałam:

-Przenieśmy się bliżej, tu jest dla mnie za daleko.

-Poważnie? - Maciek był wyraźnie rozczarowany. - Specjalnie wybrałem to miejsce, na końcu jest najbardziej romantycznie.

-Ale ja jestem krótkowidzem - powiedziałam z determinacją, jakby od zmiany miejsca zależało moje życie.

-No dobra.

Maciek rozejrzał się po sali i wskazał palcem dwa krzesła w środkowym rzędzie.

- O tam.

Wycofaliśmy się rakiem i zanim poszły reklamy, siedzieliśmy w dziesiątym rzędzie w idealnej odległości od ekranu. Zgasło światło. W ciemnościach poczułam się zdecydowanie lepiej i to z kilku powodów. Po pierwsze, mogłam nie myśleć o mojej zniszczonej przez żywioł urodzie, po drugie, ukryć swoje pulsujące emocje. Film był o miłości i, jak na złość, nie brakowało mu solidnej dawki erotyzmu. Doszłam do wniosku, że zmuszać mnie na pierwszej randce do gapienia się na rozpalonych golasów, to przesada. Nie cierpię oglądać perwersyjnych scen łóżkowych w towarzystwie faceta, którego prawie nie znam, bo zaraz czuję się jak pensjonarka w pąsach i nie wiem, co



ze sobą począć. Po krótkiej walce wewnętrznej, wyciągnęłam groszki mleczne, moje ulubione i oddałam się konsumpcji.

Widziałam, że Maciek na mnie zerka. Poczęstowałam go groszkami i wyszczerzyłam do niego zęby.

W tym momencie otworzyły się boczne drzwi i na salę padł wąski prostokąt światła. Jakiś spóźniony widz wsunął się do środka w towarzystwie bileterki. Kobieta, operując maleńką latarką, wskazała mu miejsce dwa rzędy przed nami. Gdy przeciskał się przez wąski przesmyk między fotelami a nogami siedzących, mrok rozświetlił ekranowy poranek, pozwalając na moment dostrzec jego twarz. Zdębiałam. Był to Leszek Minotaur we własnej osobie.

Film obejrzałam jednym okiem, drugim obserwowałam Maćka i ciemny tył głowy Leszka. Maciek kręcił się i co chwila komentował kolejne sceny. Za każdym razem, gdy szeptał mi do ucha swoje natrętne uwagi, przysuwał się tak blisko, że torsem napierał na moje ramię, a wargami muskał płatek mojego ucha. Raz wtulił nos w moje wilgotne jeszcze włosy i głęboko wciągnął powietrze. Zirytowana, oparłam łokieć o sąsiednie siedzenie i odsunęłam się, mimo to Maciek nie dawał za wygraną. W pewnym momencie usłyszeliśmy syk z rzędu przed nami i jakiś zdenerwowany widz odwrócił się do nas, wściekle marszcząc brwi. Manek uspokoił się, ale po chwili, gdy ledwie zdążyłam wejść w akcję filmu i nawet wzruszyć się losem bohaterki, poczułam na udzie gorącą dłoń. () mało nie krzyknęłam, tak mnie zaskoczył ten nagły dotyk. Odruchowo (zostało mi to po

obronnych starciach z kuzynem Tadkiem) dźgnęłam go łokciem w bok. Maciek jęknął, ale zaraz uśmiechnął się jak z dobrego żartu. Odsunął się i dał mi spokój.

Zerkałam na głowę Leszka...

Pomyślałam, że całkiem miły jest ten Leszek... całkiem sympatyczny... ładne ma te migdałowe oczy... no i zadbane ręce... mocne i męskie... jest znośny... nie najgorszy... całkiem strawny...

Nagle akcja filmu stała się wyjątkowo dramatyczna. Kochankowie byli nareszcie razem, ale pech chciał, że znowu musieli się rozstać. Naprawdę się przejęłam (ostatnio dzieje się ze mną coś dziwnego, łzy stają mi w oczach nawet przy najgłupszych reklamach) i w atmosferze wzruszenia, które zapanowało na sali, kolektywnego (to się czuło) wstrzymania oddechu, nagle dostrzegłam, że Leszek poruszył ramieniem i najwyraźniej dotknął policzka. Czyżby płakał? Myśl o rozrzewnionym mężczyźnie poruszyła mnie bardziej niż tragedia nieszczęsnej bohaterki i, mimo zakłopotania, po moich policzkach spłynęły łzy. Przejęta zerknęłam na Maćka. Siedział martwy jak kamień. Zaczęłam przeprowadzać mentalną operację porównawczą, bardzo dla Maćka niekorzystną, kiedy mój towarzysz spojrzał na mnie z zainteresowaniem, a zaraz potem z kieszeni marynarki wyjął papierową chusteczkę i czule włożył ją w moją dłoń.

Film skończył się paskudnie. Bohaterka wzięta w policyjne dyby na zawsze żegnała się z ukochanym. Końcowy napis informował, że niedługo potem na mocy prawa wyzionęła ducha. Normalnie taki finał popsułby mi humor na resztę wieczoru i przeklinałabym pod nosem

scenarzystę, który tak jaskrawo rozminął się z moim pragnieniem happy endu. Teraz jednak nie miałam do tego głowy. Odwrócona plecami do ekranu zapinałam guziki płaszcza i modliłam się w duchu, żeby Leszek mniej nie dostrzegł i poszedł sobie w siną dal. Za nic nie chciałam go spotkać i zburzyć pierwszego pozytywnego wrażenia moją obecną fizjonomią po przejściach.

-Ewa? - usłyszałam znajomy głos i wrosłam w podłogę. Próbowałam go zignorować, ale rozwiązanie awaryjne „nie widziałam, nie słyszałam” było niemożliwe do zastosowania. Leszek stał za moimi plecami. Odwróciłam się, przyklejając do twarzy nieprzyzwoicie sztuczny uśmiech.

-Co za zbieg okoliczności, Mariola mówiła, że idziesz do kina, ale nie powiedziała, że do Iluzjonu - Leszek przebiegł wzrokiem po najbliższych siedzeniach, Maćka ledwie muskając spojrzeniem. - Koleżanki nie przyszła?

Koleżanka? Jaka koleżanka? Co ta Mariolka mu nagadała? Spojrzałam na Maćka. Siedział na fotelu i pochylony zawiązywał sznurowadło.

- Nie przyszłam z koleżanką, ale z nim - kiwnęłam głową i nie wiem czemu się zaczerwieniłam.

W tym momencie Maciek wyrósł przy moim boku i zmierzył Leszka wzrokiem jelenia na rykowisku. Nie było odwrotu, musiałam ich sobie przedstawić. Ale kogo komu? Jak to leciało? Tego, który jest dla mm, ważniejszy temu mniej ważniejszemu? Ale który jest który? Nie byłam pewna.

-Poznajcie się - wybrnęłam z opresji.

Panowie podali sobie dłonie.

Zapadło krepujące milczenie.

-No to co? - zagadnęłam, bo cisza ciążyła jak ołów. - Idziemy?

Panowie kiwnęli głowami i gęsiego ruszyliśmy do wyjścia.

Maciek od razu skierował się do samochodu. Niepewnie stanęłam w miejscu. Leszek wsadził ręce w kieszenie marynarki.

-Teodor chce jutro kontynuować. Przyjdziesz?

Kiwnęłam głową.

-To twój chłopak? - zerknął w kierunku oddalającego się Maćka.

Zaskoczyło mnie to nagłe pytanie... Ale zaraz... Czy mi się zdawało? W jego oczach wyraźnie dostrzegłam... rozbawienie!

Trzewia się we mnie przewróciły. A co on sobie myśli, że co? To takie dziwne, że mam chłopaka? Może i nie jestem ulubienicą Afrodyty, ale posiadam głębię osobowości i... A co to go zresztą obchodzi?! I z czego tak się cieszy, baran jeden!

- To mój narzeczony! - wypaliłam. Obróciłam się na pięcie i poszłam, nie oglądając się za siebie.

Wsiadłam do samochodu i głośno trzasnęłam drzwiami. Maciek syknął.

- Uważaj na moje maleństwo.

Ach tak? No to proszę! Wsiadłam z samochodu i zostawiając otwarte na oścież drzwi, pewna siebie, potykając się o nierówności chodnika, ruszyłam w noc. Maciek dopadł mnie dopiero przy przejściu dla pieszych. Czekałam na zmianę świateł. Obok mnie

kobieta z wózkiem zagadywała gaworzącego bobasa.

-Nie wygłupiaj się, co ci do głowy strzeliło?

Nie odpowiedziałam.

-Ewa, o co ci chodzi?

-O NIC!!! - wrzasnęłam, nie hamując złości. Kobieta ze spacerówką podskoczyła, niemowlę uderzyło w ryk.

-Chodźmy stąd. - Maciek złapał mnie za rękę i pociągnął do samochodu. Nie opierałam się.

-Jesteś dla mnie nieuprzejmy, twój cholerny grat jest ważniejszy niż ja. - O mało się nie rozplakałam.

Wydęłam usta i śmiertelnie obrażona stanęłam przy samochodzie, znacząco uderzając o chodnik czubkiem pantofla. Maciek szeroko otworzył drzwi. Wsiadłam.

- Odwieź mnie do domu, bo nie mam zamiaru jechać do tej twojej garsoniery!

Wyplułam z pogardą ostatnie słowo i przeraziłam się tego, co powiedziałam. Było już jednak za późno. Maciek patrzył przed siebie z zaciętym wyrazem twarzy. Jechał szybko i pewnie. Zmieniał pasy, lawirował, kilka razy skręcił z piskiem opon i zanim zdążyłam się zorientować, dokąd jedziemy, zatrzymał się przed moim blokiem.

- Cześć - powiedział nie gasząc silnika.

Chciałam przeprosić, usprawiedliwić się, ale jego chłód zupełnie zbił mnie z tropu. Wysiadłam z ciężkim sercem. Samochód odjechał natychmiast, gdy tylko zamknęłam drzwi. Stałam przez chwilę, patrząc na czerwone światełka znikającego volkswagena, dopóki nie

zorientowałam się, że znowu pada. Wielkimi krokami, omijając bulgoczące kałuże, smętnie poczłapałam do domu.

\* \* \*

Telefon Miśki nie odpowiadał. Sylwii też nie. Nie wiedząc, co począć, wykręciłam numer rodziców, choć wiedziałam, że nie jest to najlepszy pomysł. Odebrała mama.

- Dziecko, przyjedź i porozmawiaj ze swoim ojcem, bo ja już nie mam do niego zdrowia. Założył Klub Miłośników UFO, wiesz, filię tego z Warszawy. Po nocach nie śpi, tylko ciągle gdzieś biega, szuka sponsorów, bo chce z tymi małolatami kupić lunetę, będą obserwować gwiazdozbiór jakiś tam, bo podobno tam się dzieją jakieś dziwne rzeczy. Przetworów w tym roku nie zrobiłam, bo mi warzyw nie dowiózł, a w ogóle to się w domu nie udziela, tylko ciągle albo wychodzi i pół dnia go nie ma, albo czyta. Suszarki mi nie powiesił, to musiałam prosić męża Aldony, wiesz, tej z parteru, to jeszcze zły był, że obcego mężczyznę proszę, jakby on sam nie mógł. Ale to wszystko jeszcze nic... - powiedziała zabobonnym szeptem - twój ojciec zaczął... ojej, czekaj, rosół mi kipi... - odłożyła słuchawkę i za chwilę dobiegł mnie stukot przestawianych garów. Przed oczami stanęła mi rodzinna kuchnia, białe kafelki i żółty, odziedziczony po dziadku kredens. Tęsknota ukłuła mnie prosto w serce. Po chwili mama kontynuowała lekko zdyszonym głosem: - O czym to ja... a, twój ojciec zwariował!

-Co się stało? - spytałam znudzonym głosem, bardziej z grzeczności niż zainteresowania. Tatko wariował średnio raz na

dwa miesiące.

-Zgadnij! - rzuciła figlarnie, jakby prowadziła teleturniej. Nie wydawała się zbyt zmartwiona szaleństwem swojego męża.

-Oj, mamo, co będę zgadywać. Rzucił cię?

-PeKa.

Zamyśliłam się. PeKa? Co to mogło znaczyć? Mama przez całe dzieciństwo raczyła mnie tego rodzaju zagadkami, ale nigdy nie byłam w nich mocna.

-Pruje koszule.

-Pudło!

-Pierniki kupuje.

-Nie wygłupiaj się. Poważnie zgaduj.

-To za trudne.

-Jakie tam trudne. Podpowiem, że chodzi o książkę.

-Pisze książkę.

-Skąd wiesz? Powiedział ci? - Co?

-Że pisze.

-A pisze?

-To nie wiesz?

-A skąd mam wiedzieć?

-To skąd wiesz?

-Zgadłam!

-Ty nigdy nie zgadujesz.

-O czym ta książka? - przerwałam naszą niezbyt głęboką wymianę myśli, bo znając mamę, mogłybyśmy tak ciągnąć do

samego rana.

-A o czym by mogła być? O UFO. Mam tego po dziurki w nosie. Całe szczęście, że chociaż u ciebie dobrze. Jak tam w pracy? A co u Misi? Jej mama mówiła, że znalazła chłopaka. Podobno bardzo sympatyczny. A tobie nie mogłaby jakiegoś podsunąć? To taka światowa dziewczyna, tak sobie dobrze radzi, słyszałaś, że ma robić wystrój w ambasadzie francuskiej? Spotyka tylu ludzi, nie mogłaby ciebie z kimś poznać? Czemu jej nie poprosisz?

Znów to samo. Misia a, Misia be, Misia to, Misia tamto. Żeby zakończyć ten upokarzający przegląd Miśkowych zalet, a także uczynić zadość odwiecznej trosce matki o wianek córki, powiedziałam najspokojniej jak umiałam:

-Mam chłopaka.

-Aaaa!!! - wrzasnęła mama, o mało nie pozbawiając mnie słuchu. - Poważnie? Kto to taki? Znam go? - była szczerze wzruszona, co natychmiast i mi się udzieliło.

-Nie znasz, jest z Warszawy. Właściwie to spotykamy się od niedawna. Nawet Miśka jeszcze go nie poznała.

- To poznaj ich jak najszybciej. To mądra dziewczyna, doradzi ci, a jakby się okazało, że to szuja, to ona pierwsza ci to powie.

„Już mi powiedziała” - pomyślałam w duchu, ale tym się z mamą nie podzieliłam.

-Dlaczego od razu szuja?

-Dziecko, teraz jest tylu oszustów. Wczoraj w telewizji



podawali, że jeden taki pięć dziewczyn zbałamucił. Teraz są niebezpieczne czasy. Ale wiesz co, bardzo się cieszę. Mogę powiedzieć tacie?

-Jasne.

Nagle usłyszałam pukanie do drzwi. Pożegnałam się z mamą, poradziłam, żeby patrzyła na tatkę przez palce i odłożyłam słuchawkę. Zerknęłam przez judasz. Dostrzegłam wypukłą twarz weterynarza.

- Ja do kotów, dobry wieczór, można?

Weterynarz dziwnie się zachowywał, uśmiechał się jak panienka i uciekał wzrokiem. Pijany czy co, pomyślałam. Zaprosiłam go do środka.

-Jak zdrowie? - spytał zdejmując rękawiczki.

-Nie narzekam, dziękuję.

Weterynarz roześmiał się i machnął ręką.

- Ja pytam o zdrowie kotów, bo pani to bym raczej nie pomógł, nawet przy zwykłej grypie.

Zajrzał do pokoju. Podszedł do szafy i delikatnie uchylił drzwi. Maluchy spały jak zabite. Patrzyłam na niego, nie wiedząc, jak mam rozumieć te nagłe odwiedziny. Czyżbyśmy się umawiali i o tym zapomniałam?

-Doktorze?

-Yhm.

-Ale ja nie zamawiałam wizyty. Może pan mnie z kimś pomylił?

- spytałam najgrzeczniej jak umiałam, pamiętając, że doktorek ma hiszpański temperament.

-To wizyta standardowa. A co, przeszkadzam?

-Nie, nie.

Doktor wyjmował z kojca każdego malucha, jednego po drugim, i dokładnie oglądał.

- Lubi pani motyle? - spytał znienacka.

Odłożył Rudego, podniósł się z kolan i otrzepał nogawki, chociaż wcale nie musiał, bo tak się składało, że przed sesją u mistrza urządziłam w domu generalne sprzątanie. Tak już mam, że w przebłysku dobrego humoru dostaję zastrzyk energii i zaczynam sprzątać. Reaguję na widok leżącej od tygodni sterty prasowania, grubej warstwy kurzu i pajęczyny przy lampie i naraz przeszkadza mi to, o co przez tydzień potykałam się bez większych emocji. Chwytam szczotkę, ścierkę, kubek z wodą i szoruję co popadnie, wyskubuję drobiny z dywanu i chodnika w przedpokoju, pucuję lustro, przesadzam kwiatki, przyklejam wieszaki na ręczniki, mimo że po dwóch dniach znowu odpadają, rozmrażam lodówkę, szoruję wannę i wietrzę, by potem paść z wycieńczenia na świeżo zmienioną pościel i wdychać zapach nowo narodzonego mieszkania.

Weterynarz patrzył na mnie w błogim zachwycie. Rozumiałam, że wspomnienie motyli tak go rozmarzyło, no bo przecież nie ja. Pamiętałam, że wciąż straszę ściśle przylizaną do głowy fryzurą, nie mogłam więc być przyczyną jego entuzjazmu.

-Mam fantastyczną kolekcję motyli brazylijskich prosto z nad Amazonki. Wyjątkowo piękne okazy, nawet muzeum etnograficzne się o nie ubiegało. Mogłem je naturalnie tylko

wypożyczyć, bo o sprzedaniu nie ma mowy. Z każdym z nich wiąże się jakaś historia, czasami nawet niebezpieczna. Chciałbym je pani pokazać.

-Chętnie popatrzę - powiedziałam, domyślając się, że doktorek zaraz przytaszczy z samochodu torbę ze szklanymi gablotami, no bo chyba nie ma na myśli moich odwiedzin w swoim domu.

-To kiedy pani może?

-To znaczy, że nie ma ich pan ze sobą?

-O nie. Skądże. Posiadam siedemdziesiąt dwa gatunki, nie dałbym rady, poza tym są bardzo cenne, nie mógłbym tak ryzykować. Proszę mnie odwiedzić.

Zaraz. Coś mi tu nie grało. Jeszcze niedawno zionął do mnie wyraźną antypatią za to, że mu wytknęłam brak profesjonalizmu, a teraz zaprasza mnie do swojego domu? Przypomniała mi się scena z jakiegoś filmu, który kiedyś obejrzałyśmy z Mišką, o jakimś facecie, który lubił motyle... jak to było ... hodował je i... mordował!

-To miło z pana strony, ale chyba nie będę miała czasu. Szukam pracy. To jest bardzo absorbujące zajęcie - roześmiałam się głośno, żeby ukryć przed tym dziwnym typem mój rosnący niepokój.

-O, nie wiedziałem. A wie pani, mam paru znajomych, którzy mogą potrzebować pomocy, popytam, może coś dla pani znajdę. Tylko że to najczęściej weterynarze. Ale pani lubi zwierzęta. - Doktorek spojrział na szafę i uśmiechnął się znacząco. Miałam wrażenie, że, jak na weterynarza na służbie, nazbyt prywatnie i

słodko.

„Flirtuje ze mną czy co?” - pomyślałam odpowiadając ostrożnym uśmiechem.

- To ja już pójdę. Moje zaproszenie jest cały czas aktualne, proszę się zastanowić.

Już miał wychodzić, gdy przyszło mi coś do głowy.

-Przepraszam, że spytam... zaznaczam, że bardzo cenię sobie pańską uprzejmość, ale dlaczego... proszę się nie gniewać... dlaczego pan mnie zaprasza... i w ogóle.

-Bo pani jest jak motyl. - Weterynarz ucałował moją rękę. Miałam wrażenie, że zatrzepotał rzęsami.

Wtedy zrozumiałam. Mimo kasku na głowie, cieni wokół oczu, starej sukienki, którą wrzuciłam na siebie zaraz po przyjściu do domu - podobam się mężczyznom. Ta prawda spadła na mnie jak grom z jasnego nieba i rozbłysła w mojej głowie siłą tysiąca kolorowych fajerwerków. Weterynarz pożegnał się i wyszedł. Był już na półpiętrze, kiedy wychyliłam się przez balustradę i zawołałam:

- Dziękuję!

Niedługo potem miałam tego żałować.

Dziesięć minut później stało się coś bardzo dziwnego. Najpierw usłyszałam gwałtowne pukanie, a zaraz potem łomot szybko zbiegających po schodach nóg. Dla ostrożności wyjrzałam przez wizjer. Powoli otworzyłam drzwi. Nikogo. Pod moimi nogami coś się zaczerwieniło. Zabiło mi serce. Na wycieraczce leżała piękna

krwistoczerwona róża. Rozejrzałam się po korytarzu, szukając śladów tajemniczego ofiarodawcy, ale nic nie zdradzało czyjejś niedawnej obecności. Przy róży nie było żadnego liściku. Stałam niezdecydowana, nie wiedząc, co począć, gdy w mieszkaniu obok ktoś przekręcił klucz. Cofnęłam się i zamknęłam drzwi.

Wstawiłam różę do wody, postawiłam na stole w kuchni i przelękając świeżo zaparzoną herbatę przyglądałam się delikatnym płatkom. Od kogo ten kwiatek? Może weterynarz wrócił, żeby w ten sposób dać mi jasno do zrozumienia przyczynę swego zaproszenia. Ale przecież w promieniu kilometra nie ma żadnej kwaciarni. Skąd by ją wziął? Chociaż... zakochany mężczyzna zdolny jest nawet do większych rzeczy. Sama nie wiem. A może to Maciek? Zareagował tak zimno na moje ostatnie babskie humory i teraz żałuje. Tak, to by było do niego podobne. Weterynarz chyba by nie miał odwagi. Chociaż, kto wie...

Leszek!

Zobaczyłam migdałowe oczy. Poczułam ciepły oddech na mojej szyi...

Do kuchni wszedł Filek. Właśnie nasypywałam do kociej miseczki odżywkę z krewetek dla karmiących kotek, kiedy usłyszałam jakieś podejrzanym szmery. Zamarłam. Wyraźnie czułam, że ktoś stoi pod moimi drzwiami. Podniosły mi się włosy, kiedy uświadomiłam sobie, że z wrażenia nie przekręciłam zamka i ktoś, kto teraz szura butami po mojej wycieraczce, może bez żadnych przeszkód wejść. Oczami rozbudzonej wyobraźni ujrzałam weterynarza, szalonego

doktorka, który zmienia się w bestię, gdy zapada zmrok, i który właśnie przykłada ucho do moich drzwi, ostrząc w skupieniu lekarski skalpel. Usłyszałam pukanie. Serce podskoczyło mi do gardła. Zerkając porozumiewawczo na Filka, na paluszkach wyszłam do przedpokoju. Wstrzymując oddech, zerknęłam przez wizjer. Na klatce stał jakiś pryszczaty wyrostek. Walcząc ze strachem, uchyliłam drzwi i zapytałam, czego chce.

- Ja po różę - powiedział łebek nieco zmieszany. - Na dole zajarzyłem, że coś nie gra. Sorry, pomyliłem piętra. Ta róża miała być dla Gośki - małolat przestąpił z nogi na nogę i włożył ręce w kieszenie spodni, których krocze wisiało mu na wysokości kolan. Podrapał się po brzuchu. Miał bluzę założoną na lewą stronę i przekrzywioną czapkę. - Odda pani? - wyciągnął rękę.

Miałam ochotę złapać niczemu winny kwiatek i wychłostać nieletniego amanta, któremu amory w głowie, a miłosnej przesyłki poprawnie doręczyć nie potrafi! Nie miałam dla niego litości, mimo że cenię porywy serca, nawet w bardzo młodym wieku. Szybko weszłam do kuchni, chwyciłam różę rozchlapując wodę po całej podłodze i podałam ją zakłopotanemu gołowąsowi bez jednego słowa. Głośno zatrzaskałam drzwi.

\* \* \*

- Córeczko, stało się coś? Drugi telefon jednego wieczoru? To zły znak! Żartuję, oczywiście, w ogóle się nie zastanawiaj, tylko przyjeżdżaj i to pierwszym autobusem. Musisz odpocząć, a nie tylko praca i praca. - Skrzywiłam się, ale nie miałam siły niczego wyjaśniać

- Opowiesz mi o swoim chłopcu - skrzywiłam się po raz drugi - pośmiejemy się, pogadamy. U nas też się dużo dzieje, a właśnie, planujemy remont, pomożesz mi wybrać glazurę do łazienki, no nie, koniecznie musisz przyjechać, czekamy...

\* \* \*

Kiedy weszłam do mieszkania rodziców, otoczył mnie zapach, jakiego nie posiada żadne inne miejsce na świecie. Przesiąknięte są nim ściany, meble, firanki. Zapach domu, wspólnych obiadów, śmiechu przy stole. Kiedy mama stanęła w drzwiach kuchni i, jak zwykle, z ciepłym uśmiechem wyciągnęła do mnie ręce, łzy stanęły mi w oczach.

Scena jak z filmu nie trwała jednak długo.

- Chodź - powiedziała mama tonem spiskowca.

Uchyliła przede mną drzwi pokoju, kiedyś należącego do mnie, a obecnie przekształconego w pracownię tatki. Jęknęłam przerażona. Było tu wszystko, co kiedykolwiek, komukolwiek, w czymkolwiek mogłoby się przydać, poczynając od pompek do roweru, przez puszki po piwie, niezliczone ilości kawałków drutu, gwoździ i śrubek, po lunetki, mapy świata i nieba, narzędzia do rzeźbienia i formy do wylewania gipsu. Jednym słowem śmietnik.

W chaosie przedmiotów stało moje stare ukochane łóżko, na którym teraz, zwinięty w kłębek, podpierając głowę na ramieniu i smacznie pochrapując, spał mój ojciec.

- Całą noc obserwowali niebo. Teraz śpi, bo wieczorem ma zebranie - powiedziała mama z dumą i czule pogładziła powietrze nad

głową tatki. Popatrzyłam na nią zaskoczona.

-Mamo, zdawało mi się, że nie pochwalasz jego nowego hopla?

-Prawda, dziecko, przecież ty nic nie wiesz...

Westchnęłam i rozłożyłam ręce, dając mamie uprzejmy sygnał, że może wygłosić przemowę, bo po jej minie widziałam, że aż się do tego pali.

-Mówiłam ci, że tatuś pisze książkę. No więc zainteresował się nią jeden naukowiec z Krakowa, profesor, tatuś mu podesłał fragmenty i ten pan jest zachwycony. A że ma przyjaciela, który jest wydawcą, to zaraz zaaranżował spotkanie i tatuś w zeszłym tygodniu tam był... i jest! - mama zatarła ręce.

-Co?

-Tysiąc złotych zaliczki!

-Wydadzą mu to?

-Zaliczkę?

-Jego wypociny?

Mama zrobiła przejętą minę i pokiwała głową.

- W takim razie zmieniam nazwisko - powiedziałam, chyba zbyt głośno, bo tatko zamruczał i otworzył jedno oko. Spojrzał na nas nieprzytomnie, po chwili jednak przekręcił się na plecy i spał dalej.

-Chodźmy do kuchni - zakomenderowała mama.

Usiadłam przy stole. Mama podała mi herbatę.

-Wszystko zaczyna układać się po mojej myśli. Aż trochę się tego boję - dodała szeptem, ale w jej głosie nie było ani trochę lęku, za to jakaś lekko obłąkańcza wesołość. Nic z tego nie



rozumiałam. Dopiero co narzekała na obsesję tatki, a teraz cieszy się z niej jak małe dziecko.

- Bo okazało się, że przeznaczenie prowadzi nas różnymi drogami i chociaż się na nie boczymy i często stajemy okoniem, i tak robi swoje. I proszę, będzie książka, pieniądze i... może coś dla ciebie!

- zawiesiła głos, jakby była starożytną wyrocznią przepowiadającą właśnie moje losy.

W milczeniu siorbałam herbatę.

- A co do nazwiska, że niby zmienisz, to nieźle ci się powiedziało - ciągnęła tajemniczo, nie zrażając się moim brakiem zainteresowania.

Doskonale wiedziałam, o co jej chodzi. Byłam pewna, że znowu objawił jej się, jako młody bóg, syn którejś koleżanki z dzieciństwa, jedynie ukrywający się do tej pory pod maską pryszczatego małolata.

-Pamiętasz Marysię, tę moją koleżankę z liceum? Nie uwierzysz, ale jej syn przyłączył się do klubu tatki i razem robią badania. To bardzo inteligentny chłopiec. Tatuś zastanawia się, czy nie obrać go swoim asystentem. No i jest bardzo przystojny.

-Nie pamiętam żadnej Marysi i nie mam ochoty poznawać jej synka, jeśli raczysz sobie przypomnieć, to prosiłam cię, żebyś mnie nie swatała z żadnymi gówniarzami.

-Ależ co ty opowiadasz! On jest tylko rok czy dwa młodszy od ciebie. Właśnie kończy filozofię, jest trochę dziwny, ale bardzo odcytany, kulturalny, tak jak lubisz.

-Mamo - przewróciłam oczami. Naprawdę miałam dość jej

obsesji, która przewyższała wszystkie koniki tatki razem wzięte.

Jej plan wydania mnie rychło za mąż był jej oczkiem w głowie.

-Spytałabyś chociaż, jak ma na imię - powiedziała mama obrażonym tonem, doskonałym narzędziem manipulacji.

-Jak ma na imię? - poddałam się zmęczona całą rozmową.

-Miłosz!

-Pięknie.

-Prawda? Wpadnie do nas. Wcale tego nie zaaranżowałam - dodała szybko, wyprzedzając mój sprzeciw.

W drzwiach kuchni stanął tatko.

- Ewunia - powiedział ziewając. Przytulił mnie, wziął moją głowę w dłonie i przyjrzał mi się. - Zmizerniałaś...

-Zaraz się za nią wezmę. Dzisiaj robię gołąbki, wasze ulubione.

Nagle twarz taty się rozjaśniła.

- No to, skoro Ewunia przyjechała, to może mnie zwolnisz z tego tapetowania. Chciałbym dziś jeszcze trochę popracować. Ewuniu, pomożesz starej, steranej matce...? - ojciec wlepił we mnie proszący wzrok, chociaż doskonale wiedział, że tapetowanie ma już z głowy.

-Pod warunkiem, że Ewa pójdzie po tapetę.

-Pójdzie - powiedział tatko i wygrzebał z kieszeni pomięte banknoty.

-Ale bierzemy tę w kwiatki.

-Trudno - tatko położył przede mną pieniądze.

-I żadnego marudzenia na temat szlaczka.

Tatko skrzywił się, ale rozłożył ręce, co oznaczało: ty tu

rzędzisz.

- To z zaliczki - powiedziała z dumą mama, wskazując brodą na pieniądze, na co tatko obojętnie machnął ręką, ale po minie widać było, że jest cały w skowronkach.

Rodzice konwersowali jeszcze przez chwilę na temat tapety i mojej po nią wyprawy, nie zwracając sobie głowy ewentualnym pytaniem mnie o zdanie.

Weszłam do mieszkania, niczego nie podejrzewając. W łazience ściągnęłam golf i umyłam ręce. Krzyknęłam do mamy, że spotkałam na mieście koleżankę ze szkoły, ale nie odpowiedziała. Nucąc pod nosem weszłam do kuchni i stanęłam w drzwiach jak wryta. Przy kuchennym stole, na taborecie, siedział niebieskooki blondyn. W rękę trzymał kawałek ciasta, miał zapchane usta i szybko przeżuwał patrząc na mnie pąsowy ze zdenerwowania. Podniósł się, przytrzymując w dłoniach rozpadający się placek, i przepaszającym wzrokiem pokazał, że zaraz się wytłumaczy. Rozejrzałam się w poszukiwaniu mamy, nie bardzo wiedząc, co mam począć.

-Miłosz - chłopak ku swojej wyraźnej uldze przełknął przeżuwany kawałek, otrzepał dłonie z okruszków i wyciągnął do mnie rękę.

-Ewa. Jest mama? - dziwnie się czułam, pytając we własnym domu obcego faceta o rodzoną matkę, ale nic innego nie przyszło mi do głowy.

-Poszła do piwnicy.

W tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe i mama wróciła do mieszkania.

- O, już jesteś. Przyniosłam z piwnicy parę przetworów, żeby pan Miłosz spróbował. Widziałaś? - spojrzała na mnie z satysfakcją, palcem pokazując na kwiatek w doniczce. - Śliczny irys. Na wiosnę posadzę go na działce.

Spojrzałam na Miłosza.

- Tak, tak, to pan Miłosz jest taki miły. Śliczny, prawda?

Przytaknęłam.

-Zapomniałam ci powiedzieć, że pan Miłosz jest poetą. No, no, niech pan nie będzie taki skromny - powiedziała do Miłosza, który znów oblał się rumieńcem i coś próbował nieśmiało tłumaczyć. - Sam pan mówił o konkursie młodych poetów, na którym zajął pan pierwsze miejsce.

-Trzecie - sprostował chłopak.

-A, taki szczegół... - zachichotała mama, odkręcając słoik z ogórkami i podsuwając go chłopakowi pod nos. Częstował się i grzecznie chwalił.

-Pan Miłosz jest taki fajny, że obiecał pomóc ci w tapetowaniu - powiedziała po chwili, siląc się na luz. - Obiecałam tacie, że pójdę z nim na dzisiejsze zebranie, zastąpię panią Jadzię, stenotypistkę. Zachorowała, biedactwo, na grypę, więc chyba rozumiesz...

Nawet nie starałam się oponować. Aż za dobrze wiedziałam, że cała sprawa, od' początku do końca, została ukartowana. Ciekawa

byłam tylko, czy w tej naiwnej grze Miłosz jest aktorem, czy, podobnie jak ja, ofiarą. Ależ ta mama ma pomysły. Stenotypistka. Śmieszne. W życiu nie siedziała przy maszynie do pisania, a ręcznie notuje tak, że nawet ona nie jest w stanie tego rozszyfrować. Od razu chciałam jej powiedzieć, że próba wiązania mnie z panem Miłoszem będzie jej kolejnym fiaskiem, bo chłopak ani trochę mi się nie podobał, pomyślałam jednak, że pomoc się przyda, przypieczętowałam więc pomysł wielkodusznym wzruszeniem ramion.

Miłosz poszedł do domu, żeby zmienić ubranie, a ja opowiedziałam mamie o Maćku, skrzętnie omijając wszystko, co mogłoby ją do niego zrazić. Na moją sugestię, że w tym samym czasie, gdy ja informuję ją o mężczyźnie w moim życiu, ona rozpina sieci, by złowić mi następnego, obruszyła się dowodząc, że chodzi tylko o pomoc w remoncie, a poza tym, dodała filozoficznie, będę miała z czego wybierać.

Całe szczęście, że chociaż tatko sprawę mojego zamążpójścia pozostawia w moich rękach.

Pół godziny później przyszedł Miłosz. Mama pokręciła się przez chwilę, pogawędziła, pochichotała, a wychodząc wypaliła:

- Bawcie się dobrze, dzieci.

Widziałam, że była wzruszona. Spojrzałam w sufit, westchnęłam i zabrałam się do pracy.

Miłosz okazał się nie do wytrzymania. Nic nie mówił, nie

odzywał się, milczał. Bąknął od czasu do czasu jakieś słówko i zapadał w krainę ciszy. Włączyłam radio, żeby zmniejszyć napięcie i nie przyklejać tej kretyńskiej tapety w kwiatki w atmosferze ścisłego karmelu, ale słuchanie banalnych dialogów, idiotycznych konkursów i nieciekawej muzyki wcale nie poprawiło nastroju. Chcąc nie chcąc, opowiedziałam Miłoszowi o sobie: że jestem modelką cenionego malarza, pozuję do scen w stylistyce El Greco i mam za partnera młodego kulturystę, że zakładam gazetę i jestem w radzie redakcyjnej, że przez pewien czas współpracowałam z cenionym w Warszawie dziennikiem... Nie wdawałam się w zbędne szczegóły.

Miłosz słuchał i miałam wrażenie, że mu imponuję. Co więcej, kobieca intuicja, niezawodny radar, podpowiadała mi, że mu się podobam. Widziałam to w jego spojrzeniu i w sposobie, w jaki się do mnie, choć z rzadka, zwracał. W pewnym momencie otworzył usta i powiedział:

-Ty to masz życie.

-Nie najgorsze - potwierdziłam. Ponieważ moje samopoczucie nieoczekiwanie się poprawiło, pomyślałam, że warto by trochę odpocząć i czegoś się napić. zaproponowałam kawę, ale zmieniłam menu, gdy okazało się, że w lodówce chłodzi się kilka puszek piwa.

Miłosz przystał na propozycję. W milczeniu sączyliśmy zimnego Lecha.

-Opowiedz mi o sobie - poprosiłam, uśmiechając się przyjaźnie.

Miłosz skrzywił się.

-Moje życie to jaskinia rozpacz - powiedział zupełnie serio.

-Aha...

-Tyle że brak mi optymizmu Platona. Z mojej jaskini się nie wychodzi.

Ponieważ zupełnie mnie zaskoczył, a ponadto znowu zapadło milczenie, poprosiłam grzecznie, żeby sprecyzował.

- Od dwóch lat jestem zakochany. Bez nadziei i wzajemności. Moje życie to ciągła tęsknota - dodał poetycko, patrząc w okno za moimi plecami.

Chwileczkę...

Ponieważ rozmowa znowu utknęła w martwym punkcie, miałam czas, żeby się zastanowić. Dokładnie dwa lata temu wyjechałam do Warszawy... To by się zgadzało. Ale przecież widzę go pierwszy raz w życiu. Przyjrzałam mu się w uwagą. Czy to możliwe? Czyżby mama, wtajemniczona w życie uczuciowe Miłosza, wyszła naprzeciw jego rozterce? Czyżby chodziło mu o mnie?

-Kim ona jest? - zapytałam z siostrzaną troską.

-Nie chciałbym o tym mówić - Miłosz oblał się rumieńcem i pomyślałam zdenerwowana, że chyba jednak chodzi mu o mnie.

-Nie mieszka tu na stałe. Rzadko ją widuję.

Ja!

-Jest trochę starsza i nie mam śmiałości wyznać jej, co do niej czuję.

Ja! Ja! Ja!!!

Spojrzałam na Miłosza maślanym wzrokiem.

- Obawiam się, że by mnie wyśmiała - powiedział smutno i spojrzał mi w oczy, głęboko i znacząco.

Nie było wątpliwości. Chodziło mu o mnie. Ten biedny chłopak kocha się we mnie! I co ja teraz zrobię... Przed oczami, jak plejada meteorów, przelecieli mi Maciek, Leszek i weterynarz, ale Warszawa stała się nagle odległą krainą i pomyślałam, że może szczęście, którego szukam, jest na wyciągnięcie ręki, bliskie, niepozorne, nieuświadomione... Pomyślałam też, że ten Miłosz jest rzeczywiście przystojny i w gruncie rzeczy całkiem miły. A że małomówny? Może to nawet zaleta. Nie lubię przecież niepotrzebnego paplania...

- Ilona - powiedział Miłosz i westchnął ciężko, a ja zapatrzyłam się na niego bezmyślnie, z puszką wzniesioną do ust.

Tapetowaliśmy jeszcze przez godzinę. Miłosz, wyraźnie rozluźniony miłosnym wyznaniem, przez sześćdziesiąt minut zalewał mnie potokiem słów. Mówił, jakby ktoś wcisnął w nim jakiś guzik. Usłyszałam najprawdziwszy, improwizowany, płynący prosto z serca hymn pochwalny na cześć Ilony. Nie widząc innego wyjścia, pozwoliłam mu perorować, sama siedząc w milczeniu na zwiniętym w rulon dywanie i wypijając trzy puszki piwa prawie duszkiem. Miłosz na zakończenie oświadczył, że już dawno z nikim nie rozmawiał tak od serca, że jest mi bardzo wdzięczny, że dodałam mu odwagi i że wszystko jej wyzna. Ilonie! Słuchałam go, kiwając głową i chichocząc. Z zaangażowaniem pochwalałam jego decyzję. Ale kiedy zaczął się zbierać, nałożył kurtkę i żegnając się stanął w przedpokoju,



poczułam nagle cały, tłumiony od dawna ból odrzucenia i złapałam go za rękę. Chciałam mu krzyknąć w twarz: „Miłoszu, ale ja cię ko... kocham!”. Opanowałam się, gdy uchylły się drzwi i dostrzegłam brązowe włosy, kołnierz kozuszką i szeroki uśmiech. Wszystko należące do mojej mamy...

\* \* \*

Dwa dni później obudziłam się z piekielnym bólem głowy. Już miałam wpaść w mój poranny zły nastrój, kiedy przy szyi poczułam coś miękkiego i ciepłego. Dotknęłam tego ręką. Jeden z małych kociaczków spał na poduszce wyciągnięty jak puchata kluska i wilgotnym noskiem wtulał się w moje włosy. Przytuliłam policzek do ciepłutkiego ciała i uśmiechnęłam się w duchu. Przed oczami stanęło mi wspomnienie mojego pierwszego spotkania z Filkiem...

Tego dnia, nie pamiętam już z jakiej przyczyny, byłam w świetnym nastroju i wyruszyłam do pobliskiego parku, żeby poczytać książkę, gdy dostrzegłam, że jakaś leciwa pani zatrzymuje się przy krzakach bzu, wyjmując coś zza pazuchy i kładzie na trawie. Od razu pomyślałam, że to jakaś nawiedzona terrorystka, która ma kaprys wysadzić w powietrze zielony płat ziemi i zwirowaną alejkę z ławeczką, na której siedzę, więc intensywnie przyjrzałam się tajemniczej babie, żeby w razie potrzeby rozpoznać ją w policyjnych kartotekach. Kobieta zaraz się wycofała, rozglądając się nerwowo na boki. Na głównej alei dołączył do niej równie podejrzany dziadek, wziął babcię pod rękę i wspólnie odmaszerowali. Usłyszałam dziwny dźwięk, jakby cyk, cyk, pomyślałam więc, że bomba jak amen w

pacierzu. Zerwałam się na równe nogi i podeszłam do trefnego krzaka. Wtedy zobaczyłam Filka. Miał zaledwie kilka tygodni, był cienki jak kabanos i żałośnie popiskiwał. Nie widząc innego wyjścia, zabrałam go do domu...

Zerknęłam na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Zadzwoiłam do malarza i umówiłam się na kolejną sesję na trzynastą. Postanowiłam wziąć długą relaksującą kąpiel, zanim los ponownie rzuci mnie w upozowane ramiona mojego nowego wroga - naigrawającego się Minotaura.

\* \* \*

Leszek wyglądał na zmęczonego. Sine kręgi pod oczami i wymięta twarz sugerowały, że tej nocy nie spał najlepiej. Siedział pod ścianą rozparty na krześle, wyciągnął przed siebie nogi i przymknął powieki. Obok na stole stał kubek z kawą i leżała niedojedzona kanapka. Przywitałam się bez entuzjazmu. Na mój widok Leszek podciągnął nogi i lekko zakłopotany zaproponował kawę. Chciałam odmówić, ale ponieważ nie zdążyłam niczego wypić przed wyjściem, a powietrze było ciężkie i senne, zgodziłam się na małą czarną.

-Dobra - zauważyłam grzecznie. Była gorąca i bardzo aromatyczna.

-To zasługa Marioli. Rzeczywiście, udała się - Leszek ziewnął, dyskretnie zasłaniając usta. - Przepraszam, ale miałem dziś fatalne spanie, chociaż Mariola robiła co mogła.

Zamarłam z filiżanką przy ustach.

Mariola?... Jak to? Poczułam, że miękną mi kolana.

Odstawiłam filiżankę. Kawa zupełnie straciła smak.

- W takim razie gratuluje... - zaczęłam z głupia frant, żeby coś powiedzieć, ale urwałam w pół słowa.

Pod ścianą, między starą sztalugą a stosem blejtramów, dostrzegłam prowizoryczne legowisko zrobione ze starej kołdry i dużego kawałka zielonego sukna wyglądającego jak teatralna kurtyna. Zgłupiałam.

- Gratulujesz? Chyba nie ma czego. Od wczoraj wiodę życie kłoszarda - Leszek zaśmiał się, choć widziałam, że nie jest w najlepszym humorze.

- Co się stało?

- E... nie warto opowiadać - zajrzał do wnętrza kubka. - Kumpel okazał się niezbyt miłym gościem, to wszystko.

Patrzyłam uważnie, nie dając się zbyć byle żartem. Takie rzeczy nie zdarzają się codziennie.

- Mieszkasz z nim, z tym kumplem?

Leszek pociągnął łyk kawy. Najwyraźniej nie miał ochoty na zwierzenia.

- Mieszkałem. Wczoraj mi oznajmił, że w poniedziałek wprowadza się jego dziewczyna i mam się wynieść do końca tygodnia. Wolałem od razu - zerknął w bok i podniósł się z krzesła. Z garderoby wyszedł mistrz.

- No co, panie Leszku, da pan radę czy dziś dajemy sobie spokój? - wydawał się równie zmęczony jak Leszek. Był rozczochrany, nieogolony i ziało od niego wodą.

Poklepał Leszka po ramieniu i powiedział patetycznie:

- Wczoraj pogadaliśmy jak starzy Polacy, nie, panie Leszku? Dziś wódeczki nie proponuję, ale nocować oczywiście pan może, tylko że znów będzie problem z myciem, ciepłej wody nie ma, a pan musi jutro do pracy - głośno wypuścił powietrze. - Nie wiem, może Mariola pana przenocuje, chociaż jej matka raczej się nie zgodzi...

Zamyślił się. Spojrzał na mnie.

Znieruchomiałam. Wiedziałam, jakie myśli lęgną się w jego wyliniałej głowie, ale wizyta Leszka w moim domu była absolutnie wykluczona. Miałam nadzieję, że mistrz to zrozumie i nie ośmieli się pod moim adresem kierować swoich niekontrolowanych pomysłów.

Mistrz patrzył na mnie badawczo. Już otwierał usta, żeby wydać na mnie skazujący wyrok, kiedy z trzaskiem otworzyły się drzwi pracowni i stanęła w nich Mariola obładowana zakupami. Rzuciła wesołe „cześć” i z łobuzerskim uśmiechem dała nam pięć minut na rozszyfrowanie niespodzianki. Ponieważ nikt nie miał nastroju na zgaduj - zgadula, lekko rozczarowana oświadczyła, że przyrządza spaghetti i wszystkich zaprasza na obiad. Po czym spojrzała na wymizerowanego Leszka:

- Biedaczek.

Wyraźnie czułam presję. Milczącą, niedopowiedzianą pretensję, która po brzegi wypełniła pokój i zastygła nad moją głową w postaci karcącego palca. Ja jedna nie zrobiłam nic, aby wesprzeć człowieka w potrzebie. Mistrz dał mu dach nad głową i zapewnił rozrywkę, Mariola go dokarmia, a ja? Mam wolne mieszkanie, wprawdzie

jednopokojowe z jednym łóżkiem, ale z łazienką i ciepłą wodą, a milczę. Oni z pewnością na mnie liczą, wierzą, że przełamie anachroniczny stereotyp starej panny, która wcześniej zaszyje się w klasztornej celi niż przenocuje młodego mężczyznę, że ugnę się pod ciężarem ich spojrzeń i zaproponuję Leszkowi...

- Może u mnie przenocujesz?

Spokojnie!!! Z napięciem patrzyłam mu w oczy. Wiedziałam, że jest dżentelmenem. Że zachowa się jak należy. Że na pewno odmówi...

-Poważnie? Nie sprawiłoby ci to kłopotu?

-Dlaczego miałoby sprawić? - przełknęłam ślinę. - Nie mogę zapewnić ci luksusu, mam tylko jedno łóżko (o matko, umieram!!!), ale jest też wygodna połówka. A... jeszcze koty. Mam nadzieję, że nie masz uczulenia? - rzuciłam bez troski. Byłam bardzo, bardzo uprzejma.

Umierałam.

- A co na to twój narzeczony?

Spanikowałam. No właśnie, co na to mój narzeczony?!

- E... nic! To znaczy on lubi, kiedy pomagam ludziom, sam też często to robi... Wspomaga dzieci na Ukrainie!

Czułam, że się pogrążam.

-O, to ciekawe. A gdzie, bo miałem wystawę we Lwowie. Może w tych okolicach? - mistrz bez troski bawił się fajką, doprowadzając mnie do szału.

-Nie wiem - ucięłam krótko, ponownie zwracając się do Leszka:

- Nie martw się moim narzeczonym. Jeśli ci odpowiada moja skromna propozycja, to zapraszam.

-To się nazywa przyjaciel - mistrz uścisnął mi rękę. - No to ma pan problem z głowy. Bo tak się właśnie zastanawiałem...

-Niech pan już lepiej nic nie mówi - przerwałam mistrzowi z niechęcią. Wszystko przez niego. Manipulator jeden.

-Tak, tak, już zabieramy się do roboty... ale tak sobie właśnie myślałem, gdzie by tu Leszka przewaletować i wpadłem na pomysł, że może j u sąsiadki z trzeciego piętra, to dusza człowiek, ale do głowy mi nie przyszło, że panna Ewa okaże tyle serca i sprawa tak szybko się rozwiąże. Dzięki stokrotne, bo mi ten kłopot pana Leszka od wczoraj leży na wątrobie... w przenośni i dosłownie! - mistrz zarechotał. - No, cóż, to zabieramy się do pracy.

Stałam gapiąc się na niego jak sroka w gnat. Mistrz palcem pokazał mi garderobę. „Przebieramy się” - wyrażały jego beznadziejnie szczęśliwe oczy.

\* \* \*

Stałam na przystanku, przestępując z nogi na nogę. Leszek, z nosem utkwionym w gablocie z rozkładem jazdy, próbował coś odczytać z na wpół oderwanej kartki. Zerknął na zegarek.

- Będzie za cztery minuty - powiedział w mgiełce swojego oddechu.

Powietrze było ostre i pachniało śniegiem. Gorączkowo zastanawiałam się nad stanem mieszkania: czy jest wystarczająco

czyste, czy nie zostawiłam czegoś kompromitującego na wierzchu, na przykład grubej flanelowej koszuli nocnej, której używam od listopada do połowy kwietnia albo czegoś równie żenującego i zagrażającego mojej kobiecej reputacji. Myślami otworzyłam lodówkę i zajrzałam do środka. W jasno oświetlonym wnętrzu ujrzałam niczym nie obciążone metalowe półeczki, puste wgłębienia na jaja i zamrażarkę, która od dawna nie pamiętała, co to mrożonka. Puściłam wodze fantazji. Poczułam się jak Mickiewicz na stepach Akermanu, wciągnęłam powietrze w płuca i ruszyłam z kopyta, pędząc z wiatrem po pustych przestrzeniach. Wicher targał mi włosy, smagał policzki. Gnałam przed siebie po zimnym stepie niczym Timur i jego drużyna. Nagle ściągnęłam lejce i zatrzymałam prychającego, wydymającego chrapy i okręcającego się z głośnym stukotem kopyt wierzchowca. Na zielonym talerzyku w towarzystwie jednej parówki leżał serek topiony w złocistym papierku i pół pomidora.

-Z czego się śmiejesz? - zapytał Leszek.

-Muszę zrobić zakupy - powiedziałam i z niechęcią pomyślałam o nocnym na mojej ulicy.

Obiecałam sobie solennie, że moja noga nigdy więcej nie przekroczy progu tej krainy potrójnej marzy, ale nie było rady. W kieszeni brzęczały ciężko zarobione monety otrzymane od mistrza. Żal będzie się z nimi rozstać, ale cóż, gość w dom, Bóg w dom. Zagrała we mnie słowiańska dusza. Postanowiłam odrzucić zdrowy rozsądek i przygotować pyszną domową kolację. „Poproszę pięć deko kaszanki drobno pokrojonej, człowiek pracuje, sobie nie żałuje”,

przypomniał mi się kiedyś zasłyszany socjalistyczny dowcip.

Przyjechał tramwaj. Usiedliśmy w niedogrzanym wagonie. Leszek odwrócił się w moją stronę.

- Gdzie ty właściwie pracujesz? - spytałam, kiedy przez dłuższą chwilę gapił się tylko i uśmiechał.

- Projektuję parki. Jestem asystentem w urzędzie miasta, ale mam też własną firmę. Robię prywatne ogrody. A ty?

W tym momencie do tramwaju wsiadło dwóch Cyganów z gitarami. Jeden grał i śpiewał rzewną piosenkę o miłości, drugi chodził po wagonie i do rytmu pierwszemu, jakby wybijał takt, powtarzał: - Daj pani pieniądz, dziękuję, daj pani pieniądz, dziękuję. - Leszek wrzucił monetę do plastikowego kubeczka.

- Dziękuję, dużo miłości - uśmiechnął się ciemnoskóry Cygan, pokazując równy rząd białych zębów.

Wysiedliśmy dwa przystanki dalej. Leszek rozejrzył się po otoczeniu.

-Daleko stąd mieszkasz?

Pokazałam mu blok naprzeciwko.

- Mam prośbę. Idź do domu i nastaw wodę na herbatę, a ja skoczę do sklepu i zaraz przyjdę. Podaj mi tylko numer mieszkania.

Odmówiłam. Jest moim gościem, razem idziemy do sklepu, ja robię zakupy i zapraszam go na kolację.

Odmówił. Ja mu oferuję nocleg, on chce się odwdzińczyć, ja idę do domu, on do sklepu. Wraca za piętnaście minut.

Odmówiłam. Nie chcę o tym słyszeć, ja idę do sklepu i robię



zakupy. On czeka i mnie nie denerwuje.

Odmówił. On idzie do sklepu, ja do domu i co ma kupić?

Odmówiłam. Ja idę do domu, on do sklepu, tfu... ja do sklepu, on do domu... nie ... ja do...

Uległam.

Przynajmniej zdążę schować flanelową koszulę, całkiem ładną, w różowe króliki, ale zupełnie nie dla męskiego oka.

Otworzyłam drzwi mieszkania i od razu poczułam, że mam kota. Pociągnęłam nosem i wykrzywiłam się. Filek średnio raz w miesiącu stwierdzał, że kuweta to przeżytek i na środku pokoju rąbał ogromne kupsko, doprowadzając mnie tym do szewskiej pasji. Szybko i bez ogródek przywracałam stary porządek, ale kot cyklicznie go łamał i następnego miesiąca znów paskudził. Może to jakaś kocia trauma, samooczyszczenie, zwierzęcy obrządek, nie wiedziałam. I nic mnie to nie obchodziło. Dławiłam jego barbarzyńskie zachowanie raz opracowaną metodą.

Zaskoczyłam go w kuchni. Koci nonkonformista siedział na podłodze, w napięciu obserwując latającą muchę. Gdy wolnym ruchem sięgnęłam po ścierkę, przerwał polowanie, podniósł się z podłogi i głośno miauknął, rozumiejąc, że przyszedł czas na wyrównanie rachunków. Zrobił słodkie oczy, udając, że z ciężkim powietrzem nie ma nic wspólnego, na co ja przejechałam dłonią wzdłuż ścierki, przygotowana do ostatecznego natarcia. W skupieniu patrzyliśmy sobie w oczy...

Nagle kot zrobił błyskawiczny zwrot, podwinął ogon i jak kula

wystrzelił w moją stronę. Stałam w rozkroku, próbował więc czmychnąć między moimi nogami, ale przewidziałam jego mało błyskotliwą strategię. W okamgnieniu zwałam nogi, chwyciłam zaskoczonego kota w żelazny uścisk i majtnęłam szmatą, tnąc zbrodniarza przez łeb i zrzucając przy okazji półmisek z jabłkami, które z łomotem potoczyły się po podłodze. „Trafiony!” - zawylałam triumfalnie jak Indianin z tomahawkim. Po chwili puściłam szarpiącego się zwierzaka, który śmignął przez pokój i znikł w czeluściach szafy.

Weszłam do pokoju, wymyślając głośno w kierunku mebla: „Wstrętny kot!”. Na podłodze przy doniczce z azalią, która formalnie należała już do Miśki, leżały kocie ekskrementy. Fuj! Mimo mrozu rozwarłam szeroko okno i z pośpiechem zabrałam się do porządków. Sprzątnęłam ciśniętą w kąt łóżka króliczą koszulkę, ciepłe zimowe majtasy i wełniane skarpety, mój nocny ekwipunek, i odetchnęłam spokojnie, dopiero kiedy zniknęły z pola widzenia. Założyłam na nos gumowy spinacz, który dla żartu podarowała mi Miśka kilka dni po pierwszym wyskoku Filka, a który stosowałam bez żenady, i uprzątnęłam kocie fekalia, trzęsąc się z zimna bijącego od otwartego okna.

Kilkanaście minut potem Leszek zastukał do drzwi. W rękę trzymał wypchaną reklamówkę. Ścisnęło mi się serce: mieć męża, który wieczorem wraca z pracy, przynosi ukochanej żonie smakołyki i całuje w drzwiach stęskniony całodziennym rozstaniem, czy można chcieć czegoś więcej? Musiałam przemówić sobie do rozumu, żeby

nie dostać maślanych oczu. Leszek wszedł do środka.

- Co tu tak zimno? Nie grzeją?

Pobiegłam do pokoju i zamknęłam okno. Filek, zaciekawiony pojawieniem się gościa, wysunął głowę zza uchylonych drzwi szafy, pociągnął nosem, wystawił łapkę i już miał zamiar zaprezentować się w całej krasie, kiedy nagle mnie dostrzegł i zamarł w pół kroku. Okolicznościowo ogłosiłam amnestię. Łagodnym „kici, kici” zachęciłam go do pokazania się.

- Poznaj mojego kota.

Filek powoli, ale z gracją, wyszedł z szafy, wyprężył się i od niechcienia rozpoczął wieczorną toaletę. Wiedziałam, że się zgrywa. Jest zainteresowany, ale robi wszystko, żeby nie można było po nim tego poznać. Wzruszyłam ramionami.

-Chodź do kuchni - powiedziałam.

Leszek rozejrzał się po pokoju.

-Ładnie tu.

Wszedł do kuchni i rozpakował zakupy. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Kupił świeżutkie bułeczki i biały półtłusty serek, ryż, pomidory, paprykę, spory kawałek szynki i słoiczek oliwek, cebulę, pachnące pętko jałowcowej i kukurydzę. Kupił też pękata butelkę wina i lody i... niewiarygodne... kupił tiramisu, potwornie drogie ciasto, o którym marzyłam, odkąd dostrzegłam je za szklaną ladą, między sernikiem wiedeńskim a szarlotką.

- Zrobię dla ciebie moje popisowe danie. Ty idź do pokoju i odpocznij. Będzie gotowe za dwadzieścia minut.

Posłusznie wykonałam polecenie. Usiadłam w fotelu, rozparłam się wygodnie i wzięłam gazetę. Wyciągnęłam nogi. Położyłam nogi na łóżku. Odłożyłam gazetę. Sięgnęłam po pilot i włączyłam telewizor. Przesiadłam się na sofę. Położyłam się, Już zaczynałam się rozluźniać, kiedy nagle zadzwonił telefon.

- Dobry wieczór - usłyszałam lekko zdenerwowany głos. - Tak sobie pomyślałem, że gdyby jednak zdecydowała się pani obejrzeć moje motyle, to jutro chętnie bym je pokazał, bo w środę wyjeżdżam na seminarium do Monachium, no i tak sobie pomyślałem, że zadzwonię... To co, przyjdzie pani...?

Weterynarz, Też wybrał sobie porę. Chociaż z drugiej strony...

- To bardzo miłe, że znowu mnie pan zaprasza, ale niestety muszę odmówić, choć pańskie motyle są z pewnością bardzo interesujące. - Z kuchni dochodził odgłos skwierczącej na tłuszczu cebulki. - Nie znajdę jednak czasu, mimo że na pewno wiele stracę. I jeszcze raz dziękuję, za sympatyczne porównanie do motyla, chociaż chyba mnie pan przecenia.

Zerknęłam na Leszka. Kroił szynkę w drobną kosteczkę.

- Ani trochę. Pani jest jak pewien wyjątkowo piękny okaz, pewna ćma afrykańska...

- ... aha.

- ... Duży, niepospolity, z pięknymi żółto - kruczymi skrzydłami, wygląda jak królowa nocy. Pasuje do pani jak ulał. Nie mam go niestety w moich zbiorach, ale popytam w Monachium, może uda mi się go zdobyć, wtedy go przywiozę. Z myślą o pani.

Grzecznie się pożegnałam i odłożyłam słuchawkę. Weszłam do kuchni. Leszek siekał cebulkę. Podniósł na mnie lekko zaczerwienione oczy.

-Nie chciałem podsłuchiwać, ale mówiłaś tak głośno...  
Słyszałem coś o motylach. Idziesz na jakąś wystawę?

-Pewien znajomy mnie zaprasza, ma kolekcję motyli. Mówi, że przypominam mu jeden okaz...

-Tak? Jaki?

- Jakiś afrykański - wzruszyłam ramionami. - Podobno piękny...

Znowu zadzwonił telefon.

-Słucham - powiedziałam trochę zniecierpliwiona. Weterynarz czepił się jak rzep.

-Ewciuuu...

Ścierpła mi skóra. Maciek!

Patrzyłam, jak Leszek kroi paprykę na cienkie długie paski.

Nerwowo kręciłam na palcu sznur od słuchawki.

-Ewciu, jesteś tam?

-Słucham...

-Dlaczego masz taki chłodny głos? Gniewasz się jeszcze?

-Nie.

-To czemu taka jesteś?

-Jaka?

-Taka.

-To znaczy?!

-Wydaje ci się.

-To powiedz, że mnie lubisz.

-...Tak.

-Całym zdaniem!

-Lubię...

-Chyba nie. Muszę sam sprawdzić. Przyjadę do ciebie.

-Nie.

-Więc nadal się gniewasz?

-Nie.

-Co ty tak nie i nie? Wiesz, że nieładnie się zachowałam?

- Chcę się spotkać na zgodę. Skoro ja nie mogę przyjechać, to ty przyjedź. Okej?

Leszek wszedł do przedpokoju i szukał czegoś w kieszeni kurtki.

-Przyjedziesz?

-...dobrze.

-Kiedy?

-Jutro.

-O której?

„O burej!!!”

- O szóstej.

-Przyjadę po ciebie.

-Dobrze. Cześć.

-Poczekaj... Tęsknisz?

-Eee... Cześć!

Odłożyłam słuchawkę. Leszek znowu siekał cebulę. Co on tak sieka i sieka?!

-Narzeczony? - spytał, gdy wzięłam do ręki nóż.

Kiwnęłam głową.

-Spotykamy się jutro.

-Jesteś pewna, że nie ma nic przeciwko temu, że tu nocuję?

-Jestem pewna.

Przewróciłam oczami i zabrałam się do krojenia pomidorów. Siekałam je jak koreański restaurator.

To był jeden z miłszych wieczorów w moim życiu. Przynajmniej do pewnego momentu. Dokończyliśmy przygotowywanie kolacji, żartując i opowiadając sobie drobne zdarzenia z naszego życia. Leszka szczególnie zainteresował mój tatko i jego niecodzienne hobby, ale szybko zmieniałam temat. Obawiałam się, że nasza świeżo zawiązana znajomość mogłaby nie udźwignąć ciężaru najnowszego konika tatki - raportu poświęconego sygnałom, jakie z grupą swoich popleczników odbierał za pośrednictwem amatorskiej anteny samoróbki.

- Czasem coś, co wydaje się zupełnie niewiarygodne, zyskuje całkiem zwyczajne wytłumaczenie. Na przykład spotyka się wzgórze, gdzie przedmioty, zamiast się staczać, wciągane są do góry... - Leszek wychylił się po łyżkę, która leżała na półce za moimi plecami. Przez krótką chwilę jego twarz była bardzo blisko mojej szyi. - Sprawa szybko się wyjaśniła, są tam złoża jakiegoś metalu, który ma właściwości magnetyczne i silnie oddziałuje na różnego rodzaju przedmioty. Masz bazylię?

Nie miałam. Leszek mieszał potrawę w szklanej salaterce i

zerkał na papierowe torebki przypraw, które wygrzebywałam z szuflady. Zdecydował się na zioła prowansalskie. Dodał pół łyżeczki ziołowej mieszanki i garść posiekanej natki pietruszki, której wcześniej nie zauważyłam. Musiał ją mieć w kieszeni kurtki. Przyglądałam mu się. Staralam się uważnie słuchać o magnetycznych pagórkach, ale myśli co chwila wyrywały mi się spod kontroli. Czy wziął tę łyżkę zupełnie bezwiednie, czy było to zamierzone?...

- Sól.

Podalam mu solniczkę.

- Można nakrywać do stołu - zawyrokował i sięgnął po butelkę z winem.

Matko! Przecież ja wciąż nie mam korkociągu!

- Już masz. Właścicielka sklepu była tak uprzejma, że w ramach promocji podarowała mi jeden, bardzo prosty, ale jest jak znalazł.

Czy on na pewno mówi o moim znieawidzonym nocnym? Spotkał tam kogoś uprzejmego? Kupuję tam sporadycznie, ale od ponad miesiąca i nigdy nie widziałam tam sympatycznej gęby.

- Bo jesteś uprzedzona, dlatego tak na ciebie reagują.

-A może po prostu nie jestem miłym przystojnym facetem.

Roześmiał się.

-Jest to możliwe.

Jedliśmy kolację przy zapalonych świecach. Leszek zadbał o wszystko.

- Jeszcze tylko ogień w kominku i jestem najszcześliwsza na świecie.



To była miła część wieczoru. Kłopoty się zaczęły, kiedy wyciągnęłam z za szafy starą połówkę po poprzednich lokatorach. Zachowałam ją, uznając za świetne rozwiązanie noclegowe dla nieprzewidzianych gości, niestety nigdy wcześniej jej nie rozkładałam. To był błąd. Połówka miała oderwaną nogę, a rozciągnięte na drutach płótno było poprzecierane i groziło rozerwaniem przy najmniejszym obciążeniu. Usiadłam. Trzasnęło, strzeliło i pękło. Spojrzałam na Leszka.

- Nic się nie stało. Jak chcesz, to wyniosę to wyro na śmietnik, a prześpię się na podłodze. Naprawdę nie ma żadnego problemu.

Problem był, ale Leszek nie był tego świadomy. Wiedziałam, że teraz większość mojego kołdrzano - kocowego wyposażenia muszę przeznaczyć na wymoszczenie Leszkowego legowiska i że na pewno nie wywinę się od króliczej piżamki, od ciepłych majtasów i wełnianych skarpet. Ścierpła mi skóra.

Leszek wziął pod pachę kupę drutów i zwisającej szmaty i powlókł to wszystko na korytarz. Odprowadziłam go smętnym wzrokiem. Ułożyłam na dywanie materac, który przechowywałam w pawlaczu w przedpokoju - był dziurawy i do niczego poza izolowaniem legowiska się nie nadawał - na to rzuciłam stary śpiwór i kołdrę. Jako przykrycie odstąpiłam Leszkowi swój ukochany wełniany kocyk. Sobie pozostawiłam cienką wiosenną kołderkę. Trudno. Niech się dzieje, co chce.

Leszek wrócił po kilku minutach. Nastąpił kolejny krytyczny moment.

-Kto myje się pierwszy?

-Ty.

-Dobrze.

-To idź.

-To idę.

Po chwili usłyszałam szelest zdejmowanego ubrania, uderzenie stopy o wannę i głośny chlupot wody. Leszek brał prysznic.

Włosy stanęły mi dęba. Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że łazienkowe wygibasy aż tak dokładnie słyszać. Z dobiegających mnie dźwięków mogłam swobodnie wydedukować, którą część ciała w tej chwili myje. I co ja teraz zrobię? Każdy najlżejszy nawet dźwięk odbijał się w mojej głowie kaskadą powtórzeń. Włączyłam telewizor. Nadal wszystko słyszałam. Zrobiłam głośniejsze. W napięciu patrzyłam na pomarszczonego szamana, który zarzynał koguta nad głową młodej dziewczyny. Ustawione w krąg półnagie kobiety uderzały w bębenki i zawodziły.

„On jest teraz zupełnie nagi” - ta myśl w jednej chwili poraziła wszystkie moje nerwy. Zaczęłam skakać po kanałach, żeby skupić uwagę i okiełznać myśli, które zupełnie nie zważając na mój rozpaczliwy protest, całymi tabunami zakradały się do łazienki, podpatrywały mokry kark, namydlone muskuły... Ścisnęłam mocno pilot i rozpoczęłam szaloną gonitwę po kanałach:

-... i zbliża się do bramki, podaje do Ronaldo, Cambell zabiega mu drogę... ale Ronaldo robi zwód, jeden, drugi, jest coraz bliżej...

-... zachmurzenie duże z małymi przejaśnieniami...

-... Unia Europejska może oczekiwać...

... koliber wielkości motyla, szampon przeciw łupieżowi, zaprzęg psów na białym polu...

Obrazy migały jeden za drugim.

... kowboj na srokatym wierzchowcu, płonący samochód, pszczołka Maja, apartament na Manhattanie, rozrzucone ubrania, całująca się para, rytmicznie poruszająca się kołdra...!!! „Tę pszczołkę, którą tu widzicie, zowią Mają, wszyscy Maję znają i kochają...”

-... la, la, la, la, la, la... ikochająąą... Maju, Maju, Maaaaaaaju, cóż zobaczymy dziiiiis!

-Ładnie śpiewasz - Leszek opierał się o framugę drzwi i wesoło się uśmiechał.

Ubrany był w szare bokserki i białą koszulkę z zieloną wyłupiastą żabą. Żaba z uchylonego pyszczka wypuszczała dymek z napisem: „Co się tak gapisz, baranie?”.

Matko. Nie widziałam durniejszej koszulki. Moje króliki znalazły się w doborowym towarzystwie.

Nie bez oporów wyjęłam je z szafy.

- Mam koszulę w króliki - powiedziałam i spojrzałam badawczo na Leszka.

- Super. Moja żaba nie będzie się czuła samotna.

Poszłam do łazienki.

Zamknęłam za sobą drzwi i przyłożyłam do nich ucho.

Telewizor darł się jak należy. Rozebrałam się najciszej, jak umiałam, ułożyłam ubranie na koszu na bieliznę i odkręciłam wodę. Myłam się bez hałasu, starając się nie prowokować żadnych wyobrażeń. Kiedy zakręciłam wodę, zamarłam. Usłyszałam... ciszę! Leszek wyłączył telewizor. Jak on śmiał wyłączyć telewizor?! Wylazłam z wanny i ociekając wodą stanęłam przed lustrem. Prawie szeptem sięgnęłam po ręcznik, owinęłam się w szorstkie frotte i usiadłam na brzegu wanny.

Odczekałam chwilę i na lekko wilgotne ciało naciągnęłam ciepłe króliki. Przetarłam zaparowane lustro, umyłam twarz, posmarowałam kremem i przyjrzałam się sobie. No nie, tak przecież nie wyjdę. Oczy bez makijażu zupełnie straciły wyraz, a nos i czoło świeciły się jak świeżo wyłuskane kasztany. Wiedziałam, że to, co robię, zasługuje na kosmetyczne potępienie, ale machnęłam na to ręką. Koniuszki rzęs delikatnie pociągnęłam tuszem i leciuteńko wypudrowałam dopiero co oczyszczoną twarz. Niewielki retusz sprawił, że poczułam się lepiej. Uczesałam włosy i wyszłam z łazienki. Stanęłam w progu pokoju.

Leszek spał.

\* \* \*

Volkswagen zajechał pod blok punktualnie o szóstej. Wyjrzałam przez okno. Maciek wysiadł z samochodu, wyjął coś z kieszeni kurtki i zbliżył do twarzy. Po chwili mrok rozświetlił nikły płomień zapalniczki. Maciek pali? Nigdy wcześniej nie widziałam go z papierosem. Zaciągnął się i spojrzał w górę. Cofnęłam się. Sprawdziłam, czy wyłączyłam żelazko, wzięłam torebkę i zamknęłam za sobą drzwi.

Z daleka widziałam ciemną postać Maćka i żarzący się, pomarańczowy punkcik papierosa. Maciek wydmuchał cienki pasek dymu i pocałował mnie w policzek.

-Nareszcie cię widzę. Stęskniłem się. Gumę? - wyciągnął z kieszeni paczkę miętowej gumy do żucia i podsunął mi pod nos. Poczęstowałam się.

-Nie wiedziałam, że palisz.

-Bo robię to sporadycznie. Dzisiaj miałem nerwowy dzień, to dlatego. Normalnie pozwalam sobie tylko na przyjęciach. - A propos. Chciałbym cię gdzieś zaprosić, ale opowiem ci o tym w samochodzie. Wsiadaj.

Maciek uruchomił silnik i zapuścił hip - hop. Prowadził jedną ręką, drugą uderzał do rytmu w skórzane obicie kierownicy. Żuł gumę, luźno poruszając szczęką. Spojrzał na mnie i kilkakrotnie poruszył głową wysuwając ją w przód i w tył jak tańcząca Hinduska.

-Fajne?

-Może być.

-Mój kumpel, może o nim słyszałaś, bo jest dość znany w dziennikarskim świecie, Jurek Masłowski... nie znasz? Jureczek postanowił dać się zaobrączkować. Za tydzień. Chcę, żebyś mi towarzyszyła. Co ty na to?

-Wesele?

-Raczej przyjęcie, ale tak, coś takiego.

-Czemu nie.

Zaraz. Za tydzień? Za tydzień Sylwia wychodzi za mąż za

Jerzyka... Jurek Masłowski? Czyżbyśmy byli zaproszeni na ten sam ślub?

-Zastanowię się.

-Dlaczego? Zgódź się. Poznasz moich znajomych. Spodoba ci się.

Podjechaliśmy pod biało - niebieski szlaban. Maciek kiwnął na ochroniarza w plastikowej budce i szlaban powoli uniósł się do góry. Wsiadłam z samochodu i rozejrzałam się po osiedlu, które zupełnie nie przypominało warszawskich blokowisk z trzepakiem i miniparczkiem złożonym z kilku karłowatych drzewek, na których zakochane małolaty wyrzynają scyzorykiem przeszyte strzałą serca. Tu było wszystko sterylnie czyste: równiutko przystrzyżone trawniki, odmalowane ławki, w oddali plac zabaw z masą huśtawek, drabinek i małą karuzelą. Maciek pokazał na budynek wylaniający się zza rogu.

- Tam jest sala pingpongowa i basen. A tam, widzisz to niebieskie światło, bilard, można zagrać i napić się piwa. A mieszkam tam.

Wskazał palcem dwa okna na trzecim piętrze.

- Moje pierwsze mieszkanie. Choć, pokażę ci.

Trzy duże pokoje były prawie zupełnie puste, ale pięknie przygotowane do urządzania. Na podłodze leżały mięciutkie wykładziny w pastelowych kolorach, w kuchni i łazience płytki terakoty układały się w fantazyjne wzory. Było też dużo jasnego drewna, którym jakiś sprawny specjalista zabudował wszystkie zewnętrzne rury. W kuchni wisiały drewniane półki z witrażowymi

szybkami, stała kuchenka i srebrna lodówka. W salonie, oprócz skórzanej sofy i dwudziestoósmiocalowego telewizora, było pusto. Ostatni pokój był zamknięty. Maciek uchylił drzwi. Stało tam potężne łoże okryte satynową narzutą z aplikacją ogromnego pawia.

-Modernistyczny.

-Co?

- Paw.

- Aha...

- Ten motyw działał na zmysły pokoleniu Witkiewicza - Maciek przymknął drzwi. - Herbaty?

-Wolę coś zimnego.

-Sok?

- Tak.

-Czy mi się zdaje, czy jesteś spięta?

-Ja...? Jeśli grejpfrutowy, to wolę herbatę.

-Pomarańczowy?

-Tak, proszę.

Maciek do dwóch wąskich szklanek wrzucił po kilka kostek lodu i nalał sok. Trzymając szklanki w obu dłoniach skierował się do wyjścia, napierając na mnie i zmuszając do wycofania się.

- Chodźmy do salonu.

Usiadłam na twardej i zimnej sofie. Maciek podał mi szklankę i rozsiadł się obok, zdecydowanie za blisko. Sięgnął po pilot i nastawił MTV.

- No to opowiadaj, co tam słychać?

-Po staremu - wzruszyłam ramionami. - Raczej powiedz, co z naszą gazetką. Jeśli chcemy ją wydać do końca roku, musimy wziąć się do pracy.

-Aaa... miałem ci o tym powiedzieć w kinie, ale wiesz, jak wyszło. Na razie musimy się wstrzymać. Dzwonił do mnie przewodniczący i okazało się, że znaleziono jakiś przeciek w instalacji gazowej. Większa część pieniędzy, jeśli nie wszystkie, pójdzie na remont. Ale możemy ruszyć w przyszłym roku. Obiecano mi uwzględnić gazetę w przyszłorocznym budżecie.

Jakoś się nie zmartwiłam.

-A co z Lidką?

Skrzywił się.

-Co? - to wystarczyło, żeby pobudzić moją ciekawość.

-Jest wściekła. - Maciek podniósł szklanę i przełknął łyk soku. - Ktoś widział mnie z tobą w kinie i jej o tym doniósł. Wydzwaniała do mnie wczoraj kilka razy. Nie wiem, co ją ugryzło. Nawrzucała mi od kłamców, ale to śmieszne, bo ja jej nigdy niczego nie obiecywałem. Ale nie mówmy o niej.

-Kocha się w tobie?

-Kto? Lidka? - Maciek roześmiał się. - Nie wiem, może. - Położył rękę na oparciu sofy i wziął w palce kosmyk moich włosów. - Wolałbym jednak, żeby kto inny...

W telewizji jakaś długowłosa blondyna z odkrytym pępkiem gibała się na wszystkie strony i darła wniebogłosy o straconej miłości. Dwóch Murzynów złapało ją pod pachy i przeniosło przez scenę



sztywną jak manekin. Długo wyciągała ostatnie dźwięki.

Nagle poczułam na karku gorącą dłoń. Zerknęłam na Maćka. Patrzył na mnie rozpalonym wzrokiem.

- Powinieneś z nią porozmawiać.

- Z Lidką? - Musisz jej...

- ... przestań - szepnął przysuwając się miękko jak kot.

Dotknął mojego uda.

- Myślę, że nadszedł czas - powiedział przykuwając mnie wzrokiem do sofy.

- Na co? - wymamrotałam.

- Na to! - pochylił się i poczułam na wargach jego miękkie usta.

Cofnęłam się. Sok chlusnął mi na kolana i wielka żółta plama rozeszła się po spódnicy. Zerwałam się na równe nogi.

- No i widzisz, co zrobiłaś. Niegrzeczna dziewczynka - Maciek strofował mnie żartobliwie. - Dlaczego tak się opierasz? - podszedł i objął mnie w pól.

- Przestań! - Odsunęłam jego ręce i rozejrzałam się w poszukiwaniu jakiejś ścierki.

- Dlaczego jesteś taka niedotykańska? Przecież oboje tego chcemy.

- Przykro mi, ale nic mi o tym nie wiadomo. - Staralam się być miłą, chociaż Maciek zaczął mnie poważnie drażnić. - Daj mi coś, muszę wytrzeć spódnice.

- Najlepiej ją zdejmij...

Maciek ponownie mnie objął i sięgnął do suwaka spódnicy,

próbując go rozsunać.

Wkurzyłam się. Spojrzałam na niego zupełnie trzeźwo i nagle dostrzegłam, że ma zdecydowanie za duży nos i zbyt blisko siebie osadzone oczka. Wyglądał jak rozpalony chomik. W jednej chwili zrozumiałam, że nie powinnam była tu przychodzić.

-Idę do domu.

-Nie wygłupiaj się - Maciek na chwilą stracił rezon, ale błyskawicznie go odzyskał. - No dobrze, przepraszam, jeśli sobie nie życzysz, więcej cię nie dotknę. Chociaż - przybrał złośliwy wyraz twarzy - rozumiem, co jest z tobą nie tak.

Rozparł się na sofie i założył ręce za głowę.

- Boisz się sama siebie, tego, co by się mogło zdarzyć, gdybyś pozwoliła mi na więcej. Zgadłem?

Popatrzyłam na niego z odrazą.

-Dlaczego jesteś taki... nieromantyczny?

-Ja? Nieromantyczny? Chociaż, może w pewnym sensie masz rację. Ale nie nazwałbym tego brakiem romantyzmu, a raczej szczerością. Od początku czuję między nami silny magnetyzm i nie widzę powodu, żeby to ukrywać... jestem pewny, że czujesz to samo... dlatego chcę... tu i teraz ... - zmrużył powieki i cicho wymruczał ostatnie słowa - ... przetestować z tobą mojego pawia!

Spojrzałam na Maćka i parsknęłam śmiechem.

-Co w tym śmiesznego? Wiesz co, ty chyba jeszcze bardzo dziecinna jesteś! - obruszył się. Wziął szklankę i obrócił ją w

dłoniach. Podniósł ją do ust.

-Ja czekam do ślubu.

Maciek zachłysnął się i momentalnie zrobił się purpurowy. Machnął ręką, próbował się śmiać, ale najwyraźniej zakrztusił się na całego, bo zaczął gwałtownie kaszleć i nie mógł złapać tchu.

-Chcesz... chcesz mnie zabić...? - wyrzęził.

Po chwili spojrzał na mnie wilgotnymi oczami:

-Żartujesz?

Nic nie odpowiedziałam.

-To znaczy, że muszę się najpierw z tobą ożenić, żeby...? No, niezły numer. Ty poważnie?

-Muszę już iść.

- Dziewczyno, nie wygłupiaj się. Czy ty wiesz, co tracisz?

Ruszyłam w kierunku wyjścia. Nagle Maciek złapał mnie za rękę i gwałtownie do siebie przyciągnął.

- Zostań! - przytulił mnie mocno i zanurzył twarz w moich włosach. Wściekłam się. Odepchnęłam go z całej siły.

- Dość tego, słyszysz, baranie jeden!

Zobaczyłam błysk w jego oku.

- Nie przekonam cię...? - wycedził przez zęby i zrobił krok w moją stronę.

To był impuls. Naprawdę nie wiem, jak to się stało. Nagle, nie zastanawiając się nad tym, co robię, całkowicie odruchowo, majtnęłam nogą i w tej samej chwili poczułam na wierzchniej stronie stopy jego miękkie jądra. Maciek krzyknął, osunął się na podłogę i

zwinął w kłębek.

Przez chwilę stałam nad nim oszołomiona, nie wiedząc, co robić.

Złapałam torebkę i wybiegłam z mieszkania, nie oglądając się za siebie.

\* \* \*

Włożyłam klucz do zamka, ale drzwi okazały się otwarte. Weszłam cicho i od razu poczułam przyjemny zapach smażonego ciasta. Z łazienki dobiegały odgłosy kąpieli i ciche podśpiewywanie. Zastukałam w drzwi. Usłyszałam gwałtowne chlupnięcie.

-Wróciłam!

-Przestraszyłaś mnie!

-Przepraszam.

-Jak randka?

Przewróciłam oczami.

-Dobrze.

Weszłam do kuchni i nastawiłam wodę na herbatę. Na stole na półmisku leżał stosik pięknie wysmażonych naleśników.

- Zrobiłeś naleśniki?! - krzyknęłam w kierunku łazienki. Odpowiedział mi szum wody.

Po chwili Leszek wyszedł z łazienki, ociekając wodą, w ręczniku przepasującym biodra i turbanie na głowie.

- To dla ciebie. Zaraz przyjdę, tylko się ubiorę - powiedział i znikł w pokoju.

Na parkiecie w przedpokoju błyszczały mokre ślady stóp.

- Nie masz płaskostopia - stwierdziłam.

Usiadłam na stołku i zwinęłam w rulon pachnący naleśnik. Za chwilę Leszek stanął w drzwiach w sztruksach i podkoszulku z zieloną żabą. Spojrzał na mnie badawczo.

-Zmęczona?

Pokręciłam głową.

-Zrobię ci herbatę.

Wrzucił do kubka torebkę i wskazał na cukier.

-Dwie.

-Wyglądasz mizernie. Stało się coś?

Wzruszyłam ramionami.

-Nie chcę się wtrącać, nie mów, jeśli nie chcesz.

-Wiesz, nie było tak źle... - łzy nabiegły mi do oczu.

Zamrugałam powiekami i roześmiałam się, żeby przegonić fatalny nastrój, ale było już za późno. Łzy popłynęły mi po policzkach.

Wstydziłam się tego dowodu mojej słabości, ale nic nie mogłam na to poradzić.

Leszek otworzył lodówkę, wyjął talerzyk z resztkami tiramisu i postawił go przed moim nosem. Obok położył łyżeczkę.

-Dziękuję - uśmiechnęłam się - i przepraszam. Już mi lepiej.

Jadłam przełykając łzy na przemian ze słodkim ciastkiem. Leszek wyszedł do pokoju. Usłyszałam skrzypnięcie szafy i za chwilę na moich kolanach leżał mały rudzielec. Spał jak zabity.

-Stęsknił się za tobą.

Roześmiałam się przez łzy.

-Chyba nie bardzo. Popatrz na niego.

-Bo sen jest dobry na tęsknotę. Zresztą kąpiel też. Spojrzałam na niego. Odchrząknął.

-No jak? Trochę lepiej?

Pokiwałam głową.

-W takim razie zapraszam cię do kina. Chodź.

Weszłam za nim do pokoju. W srebrnym lichterzu paliła się świeczka, na półmisku leżała ogromna góra chipsów.

- *Jak rozpętałem drugą wojnę światową*, co ty na to? Na podłodze przed telewizorem stało wideo.

- Przywiozłem parę swoich rzeczy, trochę ciuchów i kilka dobrych filmów. Pomyślałem, że sprawi ci to przyjemność.

Spędziliśmy wieczór, zaśmiewając się do łez. Leżałam na łóżku obłożona gromadką kociąt i Filkiem, który lizał swoje maluchy, a także moje dłonie, co chyba nie stanowiło dla niego większej różnicy. Leszek siedział na ziemi oparty o sofę i zabawnie komentował swoje ulubione sceny. Zerkałam na tył jego głowy. Marzyłam tylko o jednym: żeby ten wieczór nigdy się nie skończył.

\* \* \*

Powiedziałam Leszkowi, że jeśli chce, może zostać do końca miesiąca. Wynajmie coś od początku grudnia, tak będzie mu najwygodniej, zresztą mi też dobrze zrobi towarzystwo. Leszek wahał się. Zgodził się pod warunkiem, że zapłaci połowę czynszu i część rachunków. Zgodziłam się na czynsz.

Filek strasznie polubił Leszka. Odkąd Leszek się wprowadził,

łazi za nim krok w krok i gapi się na niego jak nawiedzony. Kiedy Leszek się goli, Filek siedzi na klapie od sedesu i śledzi każdy jego ruch. Kiedy Leszek kładzie się na swoim legowisku, Filek zeskakuje z mojego łóżka i głośno mrużąc mości sobie miejsce w jego nogach. Z początku czułam się trochę zazdrosna, ale, szczerze mówiąc, sama jestem sobie winna. Odkąd przyszły na świat maluchy, zajmuję się głównie nimi i dla Filka jakoś nie starcza mi czasu. Próbowалам wprowadzić nadrobić zaległości i któregoś dnia urządziłam dzień przyjaźni People - Animals, z kocimi przysmakami, pieszczotami i nawet małym upominkiem w postaci pluszowej myszki, ale niewiele to dało. Filek wprowadzić zjadł smakołyki i nawet kilka razy trącił mysz łapą, ale nocą znów powędrował do Leszka. Leszek jest tym zachwycony. Mówi, że jeszcze nigdy żadna kobieta nie patrzyła na niego z takim zainteresowaniem jak mój kot. I żadna tak czule nie mrużala mu do ucha.

\* \* \*

Miśka wpadła nieoczekiwanie. Nie widziałam jej od tygodnia, bo zajęta swoimi sprawami, a przede wszystkim świeżo zawiązanym narzeczeństwem, była zupełnie nieuchwytna. Wpadła i od razu wyciągnęła z torby kilka kopert. Wieszając płaszcz perorowała:

- Tylko bądź szczerą, jeśli są złe, mów otwarcie. Eduś się nie zna, a ja całkiem zgłupiałam i straciłam obiektywizm. Czy te gołąbki nie są zbyt pretensjonalne? A ten powóz? Wydaje mi się rodem z brazylijskiego tasiemca. Edek wprowadzić uważa, że to romantyczne, ale sama nie wiem... Jasne, jest jeszcze kupa czasu, ale chcę się dobrze

przygotować, więc musisz mi doradzić...

Słuchałam z kuchni, parząc herbatę. Zastanawiałam się, jak przedstawić Miśce sprawę Leszka. Ponieważ ostatnio rozmijałyśmy się w czasie i przestrzeni, niczego jej nie powiedziałam.

Sytuacja rozwiązała się szybciej niż myślałam. Miśka, mijając drzwi do pokoju, stanęła nagle jak wryta. Zalewając herbatę usłyszałam bąknięte przez Miśkę powitanie, krótkie „cześć” Leszka i zrozumiałam, że prezentacja dokonała się sama. Za chwilę poczułam na karku Miśkowy oddech.

-Kto to? - usłyszałam jej stłumiony szept.

-Mój sublokator.

-Kto?!

-Sublokator. Ma kłopoty mieszkaniowe i chwilowo go wspieram. Potem ci wszystko wytłumaczę...

-Ewka!

-Co?

-Wiedziałam... Urobił cię... Kretyнка!

Nie zdążyłam niczego wyjaśnić, bo Miśka zniknęła w drzwiach pokoju. Zawołałam ją, ale nie zareagowała. Usłyszałam skrzypnięcie szafy, potem sofy i zrozumiałam, że wyjęła z legowiska Rudego Jeden, jej ulubieńca, i razem z nim rozsiadła się na łóżku. Byłam pewna, że mierzy Leszka lodowatym wzrokiem. Co za okropna baba. Postępowała tak ze wszystkimi moimi niedoszłymi facetami, nawet jeśli, jak Leszek, byli zupełnie neutralni. Grał telewizor, więc wytężyłam słuch.



- Słodki kocurek - usłyszałam uprzejmy głos Leszka. - Ewa opowiadała mi o tobie. Jesteś jej przyjaciółką, prawda?

Nie usłyszałam odpowiedzi. Najprawdopodobniej przyjaciółeczka tylko kiwnęła głową. Ignorantka jedna.

- Podobno wychodzisz za mąż. Gratuluję... - Leszek nie dał się zrazić. - Projekty zaproszeń? Mogę zobaczyć?

- No, no, nie powiem, milutki jesteś... - Miśka odezwała się zimno.

Kroiłam cytrynę, starając się uchwycić najdrobniejsze dźwięki. Modliłam się, żeby Miśka była miła. I wtedy nagle usłyszałam jej ostry szept:

- Ja też co nieco słyszałam o tobie i szczerze mówiąc, nie bardzo mi się podobasz. Znam takich jak ty. Też próbowali ze mną swoich sztuczek. Ewka jest zaślepiona, łatwo nią manipulować, ale pamiętaj, ma przyjaciół, którzy się o nią troszczą, więc uważaj...

Zamarłam w nożem i cytryną w dłoniach. Po chwili Miśka wróciła do kuchni i uśmiechnęła się do mnie słodko.

-Pójdę już - powiedziała, wyraźnie z siebie zadowolona. - Twoje życie, twój wybór. Aha, mówiłam ci, że jesteś kretynka?

-Matko, Miśka, to nie jest Maciek! - szepnęłam. - To mój partner do pozowania, Leszek. Bardzo miły i kulturalny człowiek. W dodatku z twojej branży.

Miśka nadal się uśmiechała, ale bez przekonania.

-Zawsze się musisz wtrącać!

Wykrzywiła się.

-Dlaczego mi nie powiedziałaś...

-Nie zdążyłam. Szybciej plujesz jadem niż Brudny Harry prochem...

-Jest architektem?

-Przestrzeni.

Miśka gapiała się na mnie z ogłupiałą miną. Oparłam się o kuchenkę.

- I co teraz?

- Nic. Trochę gościa zatkało. Zaraz go odetkam - odparła niepewnie.

Wzięła cukierniczkę i wyszła z kuchni. Pomaszerowałam za nią z tacą zastawioną herbatą.

- Słodzisz? - Miśka przejęła rolę gospodyni. Leszek kiwnął głową - Z cytrynką? Proszę... Co to ja mówiłam... aha... no... co do moich ostrzeżeń... to... yhm... żartowałam. Zawsze tak gadam do facetów Ewki. Już taka ze mnie idiotka. - Miśka poklepała mnie po ramieniu. - Nooo... to ja już pójdę...

- Raczej troskliwa przyjaciółka - przerwał jej Leszek.

Miśka spojrzała na mnie, położyła na stół zaproszenia i roześmiała się:

- No to jak tak, kochani, to doradźcie...

\* \* \*

Siedziałam w łazience z maseczką na twarzy, z mokrymi włosami nasmarowanymi odżywką, czytając książkę i czekając, aż minie piętnaście przepisowych minut, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Poderwałam się z miejsca. Nie mogłam wyjść z łazienki, szczególnie, że miałam na sobie stary powyciągany szlafrok i całe to świństwo na twarzy, nie mogłam też udawać, że niczego nie słyszę. Krzyknęłam w przestrzeń, że ktoś puka. Przywarłam uchem do drzwi. Usłyszałam kroki Leszka w przedpokoju, odsunięcie zasuwki i ciche skrzypnięcie. A potem ciszę. A potem... potem głos: „Przepraszam, chyba pomyliłem mieszkania”. O mało nie padłam, tak jak stałam.

To był Maciek!

Leszek zagadnął o coś gościa, nie usłyszałam jednak ani co mówił, ani żadnej odpowiedzi.

Błyskawicznie zmyłam maseczkę i odżywkę, przebrałam się i wyszłam z łazienki. Leszek stał w kuchni i parzył herbatę. Spojrzałam na niego przerażona. Ubrany był w sportowe bokserki. Tylko w sportowe bokserki! Był uśmiechnięty, spocony i miał nabrzmiałe mięśnie. Podrapał się po nagiej piersi.

-Łazienka wolna? Trochę ćwiczyłem, chciałbym wziąć prysznic.

-Kto to był? - spytałam drżącym głosem.

-Jakiś gość. Pomylił mieszkania.

-Mówił coś?

-Niewiele. Za to gapił się na mnie... jakoś tak... - Leszek skrzywił się. - Miałem wrażenie, że chyba lubi, wiesz...

- Co?

- No, woli chłopców.

Usiadłam na krześle, patrząc na Leszka bez słowa. Oczami wyobraźni ujrzałam całą scenę: półnagiego Leszka,

zdezorientowanego Maćka. I nagle zaczęłam się śmiać. Histerycznie. Nie mogłam się opanować. Uspokoiliam się dopiero wtedy, gdy uprzytomniłam sobie wszystkie fakty.

-Otworzyłeś drzwi w takim stroju? Pólnagi?

-Tak. - Leszek patrzył na mnie podejrzliwie.

-A co mu powiedziałaś? Słyszałam, że coś mu powiedziałaś.

-Że nie mogę mu pomóc, bo mieszkam tu od niedawna... zaraz... dlaczego właściwie... czy to ktoś znajomy? - Leszek usiadł naprzeciw mnie, wpatrując się we mnie z powagą - ... czy to był twój narzeczony?

-Narzeczony? Nie, z pewnością to nie był mój narzeczony! - podniosłam głos. - Przepraszam. - Zabrałam herbatę i wyszłam z pokoju.

Pięć minut później zadzwonił telefon.

-Ewa? Jestem pod twoim blokiem. Chcę do ciebie wpaść i porozmawiać. Podaj mi numer mieszkania, bo coś mi się pokręciło - powiedział Maciek zimnym głosem.

-Nic ci się nie pokręciło.

-Słucham? - Maciek odchrząknął. - No dobra, kto to jest?

Leszek brał prysznic. Śpiewał. Przeniosłam się z aparatem do pokoju.

-Nikt. Przepraszam, ale nie mam czasu. Zdaje mi się, że już wszystko sobie wyjaśniliśmy. Proszę cię, żebyś więcej nie dzwonił.

-Ewciu... - Maciek jęknął w słuchawkę. - Powiedz mi, co to za

facet. Brat do ciebie przyjechał?

-Nie twoja sprawa.

- Jestem pewien, że brat. Ewka, nie dręcz mnie. Muszę cię zobaczyć. W tym momencie Leszek, mokry, owinięty ręcznikiem, wszedł do pokoju. Filek, który do tej pory drzemał na pufie, natychmiast zeskoczył na podłogę i podbiegł do wybranka swego kociego serca. Leszek, w doskonałym humorze, zawołał na cały głos:

-Chodź do mnie, maleńka! - złapał kota i przytulił go do policzka. - O tak, dobrze, mmm...

-Co tam się dzieje! - Maciek wrzasnął w słuchawkę. - Ewa, kto to jest?!

-Mój narzeczony! - powtórzyłam z gniewem już raz przerabiane kłamstwo i rzuciłam słuchawkę.

Leszek przerwał kocie amory i spojrzał na mnie zdumiony.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Pokazałam mu język i z płaczem uciekłam do łazienki.

\* \* \*

Od dwóch dni nie grzali. Siedziałam pod kocem okutana w ciepłe spodnie do konnej jazdy, które kupiłam dwa lata temu z mocnym postanowieniem zapisania się do klubu jeździeckiego, w bawełniany podkoszulek z długim rękawem, bluzkę, ciepły wełniany sweter i wełniane skarpety. Skulona na łóżku, gryząc długopis, obmyślałam plan na następny tydzień. Postanowiłam rozpocząć życie z kalendarzem w ręku, z ściśle wyznaczonym celem i szczegółowym planem realizacji. Odnalazłam porzucony Przewodnik Życiowy,

ciśnięty na półkę ze stertą papierzysk: do połowy napisanych listów, nigdy nie wysłanych, karteczek ze złotymi myślami, które miały zmienić moje życie, ale ich nie czytałam, mnóstwem porad domowych i słówek z angielskiego. Przywrócony do życia, spoczywał na moich kolanach jako baza dla nowo powstającego planu. Po pierwsze:

Wstaję o szóstej i gimnastykuję się.

Nie, to przesada. Wstawać o szóstej, żeby być nieprzytomną i robić wszystko o godzinę dłużej?

O szóstej trzydzieści...?

Siódma?

Dobrze: Ósma rano jestem na nogach. Gimnastykuję się wieczorem, wtedy mam więcej sił...

- Ewa, ktoś puka!

Otulona w koc, małymi kroczkami jak Japonczka, podreptałam do drzwi. Na klatce, jedną ręką oparty o framugę, stał gospodarz bloku.

-Żona mówiła, że ma pani sprawę - powiedział zasapany. Łypnął na mnie jednym okiem, drugie patrzyło na obrazek z górskim widokiem, skromną ozdobę klatki.

-Byłam dzisiaj u pana, bo od dwóch dni mam zimne kaloryfery. Co się stało?

-Nie czytała pani ogłoszenia? Jest awaria w magistrali. Naprawa potrwa jeszcze ze dwa dni.

Otworzyły się drzwi na końcu korytarza.

- Panie gospodarzu, kiedy będzie ciepło? - z drzwi wychyliła się

starsza kobieta w szlafroku i papilotach.

-Pani Władziu, mówię właśnie, że za jakieś dwa dni.

Gospodarz ruszył w jej kierunku.

-A jak tam karaluchy? Pomogło to trucie?

Zamknęłam drzwi. Przechodząc obok łazienki, zerknęłam do środka. Leszek stał przed lustrem, jedną nogę postawił na wannie. Golił się. Po cichutku położyłam się na jego legowisku. Było lodowate. Od podłogi bił taki chłód, że nie można było wytrzymać pięciu minut, nie mówiąc o całej nocy.

-Nie było ci wczoraj zimno? - weszłam do łazienki i sięgnęłam po szczoteczkę do zębów.

-Nie bardzo.

-Bo mi tak.

-Dało się wytrzymać.

-Trochę mnie to dręczy, możesz przeziębic nerki.

-Chcesz się zamienić?

Biłam się z myślami. Może mu zaproponować drugą połowę łóżka? Tak po koleżeńsku, bez aluzji. Przecież nie mogę pozwolić, żeby zachorował.

-Możesz spać...

-Nie.

-Dlaczego?

-Ustaliliśmy coś i chcę się tego trzymać.

Wzruszyłam ramionami. Nie pamiętałam, żebyśmy cokolwiek ustalali, ale niech mu będzie. Wygrzebałam z szafy dwa grube

ręczniki i podłożyłam je pod materac. Niewiele to dało.

Leszek położył się wcześniej. Zapaliłam nocną lampkę i w chłodnym półmroku przyglądałam się górze jego ciała. Naciągnął koc na głowę i zwinął się w kłębek, ale wiedziałam, że nie śpi. Leżałam pod kołdrą w grubym swetrze naciągniętym na koszulę nocną i wzorzystych skarpetach od babci, a mimo to czułam przenikliwe zimno. Próbowałam czytać, ale nie mogłam się skupić, zgasiłam więc lampkę i leżałam w ciemnościach, wpatrując się w niewyraźny zarys okna. Wiatr z głuchym łomotem uderzał w szyby i gwizdał w szparach. Dotknęłam swoich stóp. Mimo grubych skarpet były zimne jak u nieboszczyka. Kręciło mnie w kolanach.

-Leszek - powiedziała półgłosem. - Śpisz?

-Nie.

-Zimno?

-Trochę.

-Chodź.

-Gdzie?

-Na łóżko.

-Nie mogę.

-Dlaczego?

-Wiesz dlaczego.

-Bo się umawialiśmy?

-Yhm...

-Ale nie grzeją.

-Wytrzymam. Chyba że...



-Co?

-Chyba że tobie jest zimno?

-Jest.

Milczał.

-A ty masz najcieplejszy koc, moglibyśmy się nim dodatkowo okryć.

-Yhm...

-To przyjdiesz?

-Nie...

Czułam, że się łamie.

- Zimno mi - jęknęłam.

Leszek usiadł na swoim legowisku.

- Zimno ci?

-No przecież mówię.

Wypuścił powietrze.

-Dobrze. Ale tylko dziś. Wyjątkowo.

Wstał, podniósł koc i stanął nad łóżkiem. Przesunęłam się do ściany. Zarzucił koc na łóżko, szczelnie okrywając moje stopy, i wślizgnął się pod kołdrę. Leżeliśmy nieruchomo.

-Ciepłej?

-Nie.

- No to wracam. - Podniósł się na łokciu, ale wiedziałam, że żartuje.

-Leżysz na samym brzegu. Spadniesz.

Przysunął się. Nasze ciała się dotknęły.

-A teraz?

-Yhm...

Leżeliśmy przez chwilę, słuchając odgłosów dochodzących z za okna. I wtedy nagle Leszek zrobił coś, czego zupełnie się nie spodziewałam. Przekręcił się na bok, przysunął zupełnie blisko, przełożył przede mnie rękę i wtulił głowę w moje ramię. Poczułam na szyi ciepły oddech.

Leżałam w milczeniu wpatrując się w sufit. Kątem oka widziałam zarys jego nosa, czułam ciężar ręki na moim brzuchu. Jego włosy miękko dotykały mojego policzka. Leszek był gorący jak grzejnik, czułam, jak ciepło rozlewa się po moim ciele, aż po lodowate stopy.

- Leszek - wyszeptałam.

Odpowiedział mi regularny oddech.

Przymknęłam powieki. Uczucie błogości wypełniło całą moją świadomość. Było tak dobrze i bezpiecznie.

Weszłam do kawiarni i rozejrzałam się. Nad salą, jak miarowe buczenie trzmiela, unosił się gwar przytłumionych rozmów. W powietrzu czuć było zapach parzonej kawy. Nagle usłyszałam okrzyk Miśki i dostrzegłam jej rękę w półmroku i mgiełce papierosowego dymu. W rogu pomieszczenia przy dwóch złączonych stolikach siedziała spora grupa osób. Kilka par oczu utkwilo we mnie spojrzenie. Miśka siedziała Edkowi na kolanach i kiwała nogami, obok niej siedziała Sylwia objęta w pół przez czarnowłosego Jerzyka.

Dopiero teraz mogłam mu się dokładnie przyjrzeć. Miał długi nos i wąskie, nieprzyjemne w wyrazie usta. Po jego lewej stronie siedział Maciek. Mężczyźni zerknęli na siebie porozumiewawczo i uśmiechnęli się z przekąsem. Było tam jeszcze kilka osób, których nie znałam. Dwa miejsca były puste. Rozejrzałam się w poszukiwaniu Leszka. Nie było go.

- Nie przyjdzie - powiedział Maciek gasząc papierosa. Jerzyk poklepał go po ramieniu.

- Kto?

-A za kim się tak rozglądasz?

-Nie twoja sprawa.

-Ewa, bądź miła - ofuknęła mnie Sylwia i odsunęła się od stolika. Zobaczyłam okrągły brzusek.

-Sylwia, jesteś w ciąży?

Jerzyk napuszył się jak paw.

- Sylwia nie kręci nosem jak niektóre - powiedział i zaniósł się śmiechem. Maciek mu zawtórował. Po chwili skrzywił się:

-A wiecie, że Ewa zamieszkała z jakimś wymoczkiem?

Spojrzałam na Miškę. Czulałam, że zaraz przemówi mu do rozumu.

Miśka objęła Edka za szyję i przytuliła twarz do jego szorstkiego policzka.

- Nie martw się, Maciuś, przejdzie jej. Nalejcie Ewie piwa - zarządziła.

Spojrzałam na nią z wyrzutem. Jak mogła to powiedzieć?

Rozejrzałam się po obecnych. Byli jacyś dziwni, brzydcy i obcy. Poczułam tęsknotę za Leszkiem. Za dobrym, szczerym, ciepłym Leszkiem.

Nagle przez salę przebiegł kot.

- Zapalisz?

Maciek podsunął mi pod nos paczkę papierosów.

- Nie palę.

- Nie bądź nudna. Wyluzuj.

Odepchnęłam jego rękę.

- Dajcie jej spokój - odezwał się Edek. - Niech lepiej Maciek dalej opowiada.

Pozostali przyjęli to z aplauzem.

- No więc... - Maciek założył nogę na nogę i pociągnął łyk piwa.

- ... na czym to ja...? Aha... Teraz będzie pikantny fragment.

Obecni zaklaskali w dłonie. Jurek zagwizdał na palcach.

Salę ponownie przeciął kot.

- No więc, mówiłem wam, że mam w sypialni wielkiego pawia.

Jest bardzo sugestywny, jeśli wiecie, co mam na myśli. Dziewczyna nie kazała długo się prosić, nie chciała nawet herbaty... - zaniósł się śmiechem, patrząc na mnie z satysfakcją.

Wstałam. Przy wejściu na zaplecze stał Filek. Zrobiłam krok w jego stronę, ale kot czmychnął przez wahadłowe drzwi. Ruszyłam za nim. Zobaczyłam koniec ogona znikający na zakręcie wąskiego korytarza. Biegłam, ile sił. Wpadłam na przestronną klatkę schodową i stanęłam przed drzwiami windy. Nacisnęłam guzik, usłyszałam

szarpnięcie i skrzypienie lin wielkiego dźwigu. Elektroniczne cyfry szybko się zmniejszały. Winda zjeżdżała z góry. Zatrzymała się. Przesunęły się automatyczne drzwi i w środku ujrzałam... Leszka. Serce zabiło mi mocniej. Wyciągnął do mnie rękę. Zrobiłam krok w jego stronę, ale drzwi zamknęły się, zanim zdążyłam wejść. Postać Leszka przesunęła się w dół i zniknęła.

- Leszek, Leszek!!! - waliłam pięściami w zamknięte drzwi. - Leeszeek!!!

Ktoś chwycił mnie za ramię i delikatnie potrząsnął. Otworzyłam oczy.

- Ciii... To tylko sen. Spokojnie. - Leszek delikatnie gładził mnie po włosach. - Spokojnie, maleńka. Śpij.

Wtuliłam się w jego ciepłe ramię.